

MINISTERSTWO PRAWDY

PRZEŁOŻYŁA IWONA MICHAŁOWSKA-GABRYCH



CARLOS AUGUSTO
CASAS

MO
VA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

**CARLOS AUGUSTO
CASAS**

**MINISTERSTWO
PRAWDY**

Z JĘZYKA HISZPAŃSKIEGO PRZEŁOŻYŁA
Iwona Michałowska-Gabrych



Moim dwóm bohaterkom

– mamie i siostrze Glorii

CZĘŚĆ I



*Wolność jest wtedy, gdy możemy mówić, że dwa i dwa to
cztery*.*

– George Orwell, *1984*

* G. Orwell, *1984*, przeł. J. Dzierzowski, Warszawa 2022, s. 90.

1

Był zimny, słoneczny kwietniowy dzień. Zegary wskazywały trzynastą. Wpatrzeni w ekrany telefonów komórkowych przechodnie nie zwracali najmniejszej uwagi na mijającą ich szybkim krokiem kobietę. Nawet gdy któryś z tych technozombiaków się z nią zderzył, szedł dalej bez słowa jak gdyby nigdy nic. „Nikt już nie zwraca sobie głowy przeproszaniem – pomyślała. – Jedyne, co nas łączy, to pośpiech”.

Ona też się spieszyła. Była umówiona z kimś, kto mógł potwierdzić wszystkie jej przypuszczenia. Potrzebowała jedynie dowodu. Czegoś namacalnego, co pozwoli jej w końcu ujawnić całą prawdę.

Stukot obcasów o chodnik przywodził jej na myśl gorączkowe pocałunki dwojga kochanków, którzy spotkali się po długiej rozłące. Do roku 2030 samochody na benzynę zniknęły z ulic zastąpione przez znacznie cichsze auta elektryczne. Niespodziewanie jednak ciszę przerwały chóralne okrzyki. To dwadzieścioro, może trzydzieścioro starszków protestowało, wymachując transparentami i wznosząc stare hasła w stylu: „Naród zjednoczony jest niezwyciężony!”.

Stali przed bramą Ministerstwa Prawdy – szarego gmachu wpatrującego się w nich beznamiętnie setkami okien. Surowy w swoim dostojeństwie, jak większość biurowców, sprawiał wrażenie niezniszczalnego i obojętnego na protesty maluczkich. Kobieta zwolniła. Ciekawe, przeciwko czemu protestowali. Pospiesznie naniesiony sprayem napis na płótnie głosił: „Korporacje, precz z mediów! Żądamy prawdy!”. Policjanci otoczyli manifestantów kordonem niczym przeciwciała odcinające wirusa, żeby nie

zainfekował reszty organizmu. Na jednego emeryta przypadał prawie cały radiowóz. Naprzeciwko utworzyła się gigantyczna kolejka złożona głównie z młodych ludzi czekających na otwarcie salonu, w którym tego dnia miał mieć premierę najnowszy model smartfona.

„Już tylko starzy protestują – pomyślała kobieta. – Tylko oni pamiętają przeszłość i rozumieją, jak bardzo się stoczyliśmy. Gdybym tylko zdołała ujawnić...”

Nie dokończyła myśli, bo wpadła na nią odcięta od rzeczywistości dziewczyna ze słuchawkami na uszach. Ludzka masa szła jak bydło na rzeź, nie bacząc na protest. Każdy myślał tylko o tym, żeby jak najszybciej zrobić swoje, cokolwiek to było. Ona zresztą też. Spieszyła się na spotkanie. Spuściła głowę w obronie przed nieprzyjemnym wiatrem i pomaszerowała dalej.

Kawiarnia Pod Papugą była jedną z wielu sieciówek sprzedających napoje pobudzające w przeróżnych kombinacjach pod absurdalnymi nazwami i po jeszcze bardziej absurdalnych cenach. Kobieta weszła do lokalu i szybko zamknęła drzwi, ale i tak wleciał za nią tuman pyłu i śmieci. Wystrój stanowił kiepską podróbkę eleganckich, wykwintnych knajpek z połowy dwudziestego wieku, nawet nieudającą, że jest czymś więcej niż prymitywną kopią. Oślepiająca blaskiem kafelków podłoga w szachownicę, złote lampy o okazałych kloszach ze starego mosiądzu imitującego brąz, drewniany bar z wytwornymi ornamentami bez jednego choćby wcięcia. Przypomniał jej się widziany w parku tematycznym *Dawid* Michała Anioła z papier *mâché*. „Nic już naprawdę nie ma, wszystko tylko się wydaje. Istnieją wyłącznie pozory”, pomyślała.

Ale przynajmniej w lokalu było ciepło, a zapach kawy niósł się po nim niczym wspomnienie kogoś niedawno utraconego. Kelnerzy

w nieskazitelnych biało-czarnych mundurkach kręcili się po sali z tacami pełnymi parujących kartonowych kubków. Kobieta powiodła wzrokiem wokół i szybko zlokalizowała człowieka, z którym była umówiona. Siedział oparty plecami o ścianę w najbardziej oddalonym od drzwi kącie. Wydał jej się atrakcyjny. Czarne włosy ułożone na żel, nieśmiertelny niebieski garnitur typowy dla wysokich urzędników państwowych – i leżący na nim lepiej niż na większości – oraz ta pewność siebie właściwa mężczyznom u władzy nawykłym do wydawania rozkazów. Gdy napotkał jej wzrok, uśmiechnął się i gestem przywołał ją do siebie. Nie miała pojęcia, dlaczego przeszył ją dreszcz.

Mężczyzna podniósł się i dał jej znak, by usiadła.

– W końcu mamy okazję poznać się osobiście – powiedziała. – Korespondencja elektroniczna jest wyzuta z wszelkich emocji.

– Zwłaszcza gdy trzeba ukrywać wiadomości pod osłoną banalnych pogawędek. Przyznaję, że nie przepadam za pustosłowiem. Można by rzec, że bliższa niż proza jest memu sercu poezja – zażartował jej rozmówca.

– Mam nadzieję, że rozumie pan konieczność takiego kamuflażu. Nigdy nie wiadomo, kto może to czytać. W dzisiejszych czasach e-maile nie są bezpieczne.

– W dzisiejszych czasach najbezpieczniej jest zakładać, że nic nie jest bezpieczne. Ale co za gbur ze mnie, nawet nie zapytałem, czy ma pani ochotę na coś do picia...

Poprosiła o cappuccino. Przywołał kelnera władczym gestem z gatunku tych, które obalają imperia.

Gdy czekali, mężczyzna nie przestawał mieszać w kubku drewnianym patyczkiem udającym łyżeczkę. Przygnębił ją ten widok.

Rozmówca jakby czytał jej w myślach.

– Tęsknię za prawdziwymi łyżeczkami i filiżankami. Pani pewnie jest za młoda, by pamiętać dawne kafejki i przytulne bary sprzed epoki sieciówek.

– Aż tak młoda nie jestem, ale dziękuję za komplement. Owszem, pamiętam je.

Kelner przyniósł cappuccino oraz woreczek ze słodzikiem. W lokalach już od lat nie wolno było używać cukru. Kobieta upiła łyk, po czym serwetką wytarła pianę z górnej wargi.

– To było wyjątkowe przeżycie – kontynuował mężczyzna. – Każdy bar inaczej przygotowywał kawę, przekąski, jedzenie... Każdy miał na wszystko swoje sposoby. Nie to, co teraz. To espresso smakuje tak samo jak wszystkie espresso w każdej Kawiarni Pod Papugą na całym świecie. Identycznie. I to nas uspokaja. Uwalnia od konieczności podejmowania decyzji, od niepewności, której doświadczaliśmy w konfrontacji z nieznanym, nawet jeśli było to coś tak banalnego jak kosztowanie kawy i ocenianie jej smaku. Wymieniliśmy wolność na bezpieczeństwo.

Po tych słowach duszkiem opróżnił kubek.

– Potrzebuję pańskiej pomocy. – Kobieta przeszła do rzeczy.

– Cóż, kiedy ktoś godzi się na rozmowę z dziennikarką, zwykle zakłada, że chodzi jej o coś innego niż darmowe cappuccino. Albo przynajmniej o coś więcej.

Przewaga niewątpliwie była po jego stronie.

– Wiem, co się dzieje w pokoju sto jeden Ministerstwa Prawdy.

– Skoro pani wie, to po co przychodzi pani do mnie? – zapytał nieco protekcjonalnie.

– Nie mam dowodów. Jedynie świadectwa osób, które pragną pozostać anonimowe.

Z bliska mężczyzna wyglądał dość pospolicie. Poszczególne rysy jego twarzy analizowane pojedynczo wydawały się asymetryczne i toporne. Oczy poruszające się gorączkowo niczym uwięzione w szklanych kulkach owady, orli nos typowy dla tych, którzy szukają guza, kości policzkowe tak wydatne, jakby miały lada chwila przedrzeć się przez skórę. Miał jednak w sobie atrakcyjność wielkiego kota emanującego nieposkromioną siłą.

– Innymi słowy, zna pani wyłącznie plotki. Przypuszczenia snute przez osoby bez twarzy – podsumował. – I myśli pani, że będę pierwszym, który pokaże twarz?

– Skądże. Potrzebuję od pana jakiegoś namacalnego dowodu. Dokumentu, nagrania, czegokolwiek, co potwierdzi te świadectwa. Jako pracownik ministerstwa z pewnością może mi pan coś takiego załatwić.

Mężczyzna niespodziewanie zaczął stukać drewnianym patyczkiem w blat, rozglądając się po lokalu. Chciał mieć pewność, że nikt ich nie podsłuchuje. Oprócz ich stolika zajęte były tylko dwa. Przy jednym jakaś kobieta pisała coś na klawiaturze komputera, bezskutecznie usiłując strząsnąć z siebie okruchy croissanta. Przy drugim para młodych ludzi ignorowała się nawzajem, całą uwagę skupiając na ekranach telefonów. Przez twarz mężczyzny z ministerstwa przemknął krótki uśmiezek, a kobietę ponownie przeszył dreszcz.

– Jeśli mam pani pomóc – rzekł mężczyzna – musi mi pani wyjawić, z kim rozmawiała. Sama pani rozumie, że nie mogę ryzykować posady z powodu bredni paru pomyleńców.

– Dobrze pan wie, że nie mogę ujawnić źródeł, ale zapewniam, że są to osoby wiarygodne, a ich zarzuty bardzo poważne. Nie marnowałabym pańskiego czasu, gdyby chodziło o zwykłe plotki. Z pewnością pan także słyszał co nieco na temat tego, co się dzieje w tamtym pokoju. Musimy ujawnić prawdę.

Mężczyzna powoli oparł się z powrotem o ścianę, splatając palce na karku.

– Ech, dziennikarze. – Westchnął głęboko. – Nic, tylko pytacie.

Coś się w nim zmieniło. Nie chodziło jedynie o pozycję. Jego spojrzenie stało się harde, jakby miała przed sobą zupełnie innego człowieka.

– Ale nigdy nie odpowiadacie. Lubicie zadawać pytania, ale sami nie udzielacie odpowiedzi. Bardzo to nieładnie z waszej strony.

Zaciskał pięści i patrzył na nią z intensywnością, która w końcu przeszła w nienawiść. Znowu przypominał wielkiego kota, ale nie był już piękny. Bestie wydają się piękne, tylko kiedy siedzą w klatce i nikomu nie zagrażają. Teraz jednak ktoś otworzył klatkę – i tym kimś była ona.

– To nie pan korespondował ze mną przez te wszystkie miesiące.

– Ależ owszem, moja droga. To ja. Szukała pani kontaktu z wysokim urzędnikiem Ministerstwa Prawdy i ma go pani przed sobą. Choć z żalem stwierdzam, że nie pracuję w tym wydziale, o który pani chodziło. Proszę spojrzeć, co znalazłem w pani skrzynce.

Wyjął mały brązowy pakunek przypominający kształtem książkę. Tym razem kobieta wiedziała, dlaczego czuje dreszcz.

– Powinna pani częściej sprawdzać korespondencję – zauważył urzędnik, rozrywając opakowanie. – To kolejny zwyczaj, który zatraciliśmy, odkąd banki przestały przysyłać nam listy. Bo przecież nikt inny od dawna tego nie robi. Oprócz łyżeczek brakuje mi kartek z życzeniami urodzinowymi. Wiele można z nich było wyczytać o osobie, która je wysyłała – mówił, metodycznie rozwijając opakowanie.

Skończywszy, podsunął kobiecie książkę przed nos. Było to 1984 George'a Orwella. Przerażoną twarzą dziennikarki zawładnęły nerwowe tiki.

– Wie pani, co to znaczy, prawda? Przyjaciele, którzy nie chcieli pokazać twarzy, próbowali panią ostrzec przed tym spotkaniem. Szkoda, że to my pierwsi znaleźliśmy książkę. Jak pani myśli: kto jest nadawcą?

Zdesperowana dziennikarka rozglądała się frenetycznie, szukając sposobu ucieczki. Musiała się stąd wydostać... ale jej ciało nie chciało słuchać rozumu. Tkwiła na miejscu sparaliżowana strachem jak królik złapany w snopy reflektorów.

– Wie pani co? – kontynuował mężczyzna. – Niepotrzebne mi pani odpowiedzi, bo już je znam. Słyszałem naprawdę sporo. Choćby rozmowy, które prowadziła pani z przyjaciółmi. Tak, z tymi rzekomymi „anonimowymi świadkami”. Spiskowanie przeciwko ministerstwu, plany destabilizacji. Proszę nie robić takiej miny. Nie trzeba było zabierać komórki na tajne schadzki. Nawet sobie pani nie wyobraża, ile możemy zrobić, kiedy włamiemy się do telefonu. Wiem wszystko. Nie wierzy mi pani? Zademonstruję.

Zamknął oczy, udając, że się koncentruje, i zaczął masować skronie palcami obu rąk niczym jasnowidz przed podaniem właściwej liczby.

– Widzę imię... imię informatora... to dziennikarz, jak pani, tyle że emerytowany... już prawie mam jego nazwisko, widzę pierwsze litery... Gabriel... Gabriel Romero!

I nagle otworzył szeroko oczy. Zimne, pozbawione blasku niczym oczy jakiejś gotyckiej lalki. Pochylił się ku rozmówczyni przez stolik, sięgając do kieszeni marynarki.

– Świat byłby lepszy, gdyby ludzie nie zadawali takich pytań jak pani – stwierdził.

Pod blatem palce zacisnęły się na jej udzie niczym wnyki, a zaraz potem coś ją ukłuło. Spuściła wzrok i dostrzegła znikającą w kieszeni mężczyzny strzykawkę.

– Lubi pani poezję? Nikt już jej nie czytuje. Jest zbyt subtelna na te bezduszne czasy. Pewnie nie zna pani Cesara Vallejo. *W istocie jesteście trupami życia, którego nigdy nie było. Smutny to los od zawsze być martwymi*¹.

Ogarnęło ją dziwne uczucie. Chciała krzyknąć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Nagle zobaczyła zbliżającą się podłogę, a chwilę później, już nieruchoma, słyszała, jak kelner krzyczy do kogoś, by wezwał pogotowie. Jej ciało zaczęło miotać się w konwulsjach, głowa uderzała o posadzkę, kończyny nie słuchały woli. Nie czuła niczego z wyjątkiem chłodu kafelków na plecach. Na myśl o tym, że podwinęła jej się spódnica, ogarnął ją groteskowy wstyd. Nie chciała umierać na oczach gapiów z odsłoniętą bielizną. Odejść w taki sposób? Teraz, gdy wciąż miała tyle do zrobienia? Nagle cały jej widok przesłoniła twarz mężczyzny. Jego promienny uśmiech był ostry niczym brzytwa.

– Świat jest znacznie lepszym miejscem, gdy nie znamy prawdy.

¹ C. Vallejo, *Estáis muertos*. Wszystkie cytaty, których tłumacza nie podano, zostały przetłumaczone przez Iwonę Michałowską-Gabrych.

2

Dlaczego postanowiłaś zostać dziennikarką?

– Żeby poznać prawdę i przekazać ją społeczeństwu.

Natychmiast pożałowała tych słów. Co jej odbiło, by opowiadać takie banały? Wyszła na naiwną i łatwowierną, czyli w skrócie na idiotkę. Którą oczywiście była. Siedziała naprzeciw pana Sancheza-Bravo – redaktora naczelnego „Obserwatora Cyfrowego” – który miał zdecydować o przyjęciu jej na praktyki, ale w tym momencie wolałaby się znaleźć milion lat świetlnych od jego gabinetu. I może tak właśnie miało się zaraz stać, bo z wyrazu twarzy mężczyzny patrzącego na nią sponad okularów wnioskowała, że zdecydowanie bliżej jej do drzwi niż do własnego biurka w redakcji.

– Jestem przekonany, że na studiach dziennikarskich takie odpowiedzi są wysoko oceniane. Ale my nie jesteśmy na studiach. Jesteśmy w gazecie. A ja jestem jej naczelnym. Witamy w prawdziwym świecie. A teraz daj sobie spokój ze sloganami o nieocenionej wartości przenajświętszej informacji i po prostu powiedz, dlaczego chcesz być dziennikarką. Chcę usłyszeć prawdę.

Julia spuściła oczy, rozpaczliwie szukając odpowiedzi. Zauważyła, że drżą jej kolana, a dłonie nerwowo rozciągają brzeg spódnicy. Wbiła wzrok w paznokcie, jakby właśnie sobie uświadomiła, że zaniedbała ich pielęgnację. To był jej podstawowy błąd. Dało się zauważyć z daleka, że je obgryza, co oczywiście dobitnie świadczyło o neurotyczności i braku

pewności siebie. Najwyraźniej zamiast praktyk potrzebowała terapii. I po cholerę włożyła ten kostium? Dobrze, że chociaż buty miała wysokie. Typowa pokojówka: elegancki czarny żakiet i biała bluzka bez dekoltu. Choć jeśli spojrzeć obiektywnie, nie wyglądała aż tak źle. Może chodziło o makijaż? Spędziła przed lustrem godzinę, uparcie zamalowując dziecinne rysy, aż zniknęły pod pokładami różu, cienia do powiek i kredki do ust. Dobrze, że przynajmniej w ostatniej chwili porzuciła pomysł podkreślenia włosów. Zamiast tego upięła je w kitkę odsłaniającą regularne rysy twarzy. Ech, te okropne włosy – czarne, proste i toporne niczym zasłona okienna. Odziedziczyła je po matce.

Po matce... To właśnie w takich chwilach, gdy potrzebowała pomocy, najbardziej za nią tęskniła. Była dzieckiem, gdy mama zginęła w wypadku. Słabo ją pamiętała, ale starała się pielęgnować nieliczne wspomnienia: zapach matczynych dłoni, głos, który wieczorami szeptał jej bajki, uczucie bezpieczeństwa w opiekuńczych ramionach. Wspomnienia są jednak kruche i rozsypują się, gdy zbyt długo je pielęgnowujemy. Niektóre z nich już teraz się zacierały. Nie potrafiła przywołać z pamięci twarzy matki. Zamiast niej pojawiał się obraz z wiszących w domu zdjęć: statyczny, płaski, pozbawiony życia.

– Czekam na odpowiedź, Julio. Czasem najtrudniej jest powiedzieć prawdę – naciskał redaktor, nie spuszczając z niej wzroku.

– Ojciec nie chciał, żebym została dziennikarką. Uważa, że skoro jemu nie wyszło to na dobre, to i mnie nie wyjdzie. Chciałabym mu udowodnić, że się myli. Że poradzę sobie lepiej niż on.

Sánchez-Bravo położył łokieć na stole i oparł brodę na dłoni, zasłaniając usta palcami. Tak wyszukana poza nie mogła być spontaniczna. W jego oczach Julia dostrzegła uśmiech.

– Już lepiej. Znacznie lepiej. Tym razem powiedziałaś prawdę, ale niecałą.

Zdezorientowana wbiła w niego wzrok.

– Dokończę za ciebie – kontynuował Sánchez-Bravo. – Naprawdę chodzi ci o to, żeby mu dowalić. Prawda? Prześcignąć go. Osiągnąć coś, co jemu się nie udało. Jestem za. W dzisiejszych czasach uraza bywa najlepszą motywacją. Świetnie. Kiedy możesz zacząć?

Dezorientacja ustąpiła miejsca euforii.

– Przyjmuje mnie pan?

– Jasne, chociaż nie mam pojęcia, co cię tak cieszy. Bezpłatne praktyki oznaczają, że musisz być do dyspozycji w każdy dzień tygodnia o dowolnej godzinie, będziesz się zajmować wszystkimi tematami, których nie chce nikt inny, i w dodatku nie dostaniesz za to złamanego grosza.

– Brzmi rewelacyjnie.

– Powiedz to mojej córce Beatriz. Ze sto razy próbowałem ją przekonać, żeby przyjęła tę pracę. Nic z tego. Studiujecie razem, prawda?

– Hmm, jesteśmy na tym samym roku, ale ona studiuje w trybie A, a ja w B. Właściwie to dzięki niej tu jestem. Dzięki niej i dzięki panu. W trybie B nie mamy dostępu do praktyk. To Bea mi powiedziała, że kogoś szukacie, odkąd tamta dziennikarka...

– Marta Alonso. Ni stąd, ni zowąd padła trupem w kawiarni parę dni temu. Zatrzymanie akcji serca. Duża strata. Była dobrą dziennikarką. Lubiała koloryzować, jeśli wiesz, co mam na myśli, ale zawsze zachowywała profesjonalizm. Wstrząsające są te niespodziewane śmierci. I proszę, przestań mi już dziękować. Za miesiąc będziesz mnie nienawidzić za to, że cię przyjąłem. Chodźmy. – Wstał zza biurka i dał znak, by ruszyła za nim przez biuro z przedzielonymi szkłem boksami. – Oprowadzę cię po redakcji.

Spodziewała się aury uroczego chaosu – bieganiny, wolności i zaangażowania – którą wytworzyły wokół redakcji prasowych filmy i seriale: przestronnej sali pełnej zawałonych papierami biurków, rozbrzmiewającej nieustannym stukotem klawiatur, natarczywymi dzwonekami telefonów i okrzykami dziennikarzy komunikującymi pilne wieści. Ledwie jednak przestąpiła próg „Obserwatora Cyfrowego”, doznała zawodu: w małym i skąpo oświetlonym pomieszczeniu stały zaledwie trzy zestawione ze sobą pary biurków. Od pozostałych pokoi, których użytkownicy w całkowitej ciszy wpatrywali się w ekrany komputerów, odgradzały redakcję szklane ścianki. Nie dzwoniły żadne telefony i nikt donikąd się nie spieszył. Przypominało to raczej jakieś ponure biuro.

– Gdzie mam siedzieć? – zapytała Julia, starając się ukryć rozczarowanie.

– Siedzieć? Tu? Daj spokój! – zachnął się Sánchez-Bravo. – Będziesz pracować z domu. Jak większość naszych ludzi. Dzięki pracy zdalnej redakcje czasopism internetowych uwolniły się od konieczności utrzymywania staroświeckich i niewydajnych biur, które były wielkie i powolne niczym dinozaury i wyginęły jak one. Przez ostatnie lata świat informacji bardzo się zmienił. Podobnie jak ich odbiór. Żeby przetrwać, musieliśmy wymyślić je na nowo. Ludzie, którzy zmęczeni wracają z pracy, nie mają najmniejszej ochoty czytać nudnych wiadomości o tym, jak to źle jest na świecie. Chcą czegoś, co pomoże im się oderwać i nie zmusi do myślenia: seriali, filmów, gier wideo. Naszym głównym rywalem jest rozrywka, a ponieważ nie możemy go pokonać, postanowiliśmy się z nim sprzymierzyć. Mamy za zadanie przerabiać wiadomości na rozrywkę.

Julia popatrywała na niego z niejakim zdumieniem.

– Niektóre wiadomości się zbyt poważne, by je traktować rozrywkowo – odezwała się. – Weźmy zamach z ofiarami albo konferencję

prasową, na której prezydent ogłasza podniesienie podatków.

– I tu właśnie dziennikarze, w tym ty, muszą się wykazać. Sprawić, by nawet takie wieści brzmiały atrakcyjnie. Pamiętaj, że jeśli się nie uda, odbiorcy zamiast nas czytać, będą grać na komórkach lub oglądać serial.

– Więc dziennikarze zajmują się teraz rozrywką, a nie informacją?

– Jednym i drugim, Julio. Jeśli chcemy, żeby media nie zginęły, musimy to połączyć. Na szczęście mamy do dyspozycji technologię. Dzięki temu znamy na przykład gusty naszych odbiorców, wiemy, co interesuje subskrybentów. Wystarczy zbadać, jakie witryny odwiedzają, czyje profile obserwują, gdzie robią zakupy. Na bazie tego algorytm ustala, jakie wiadomości powinny do nich dotrzeć. Wcześniej to odbiorcy szukali informacji w gazetach, radiu czy telewizji. Dziś, dzięki big data, to informacje szukają odbiorców. Ale powiedz: jak ci się podoba nasza redakcja? – Wykonał zamaszysty gest, jakby otwierał niewidzialne drzwi.

– Inaczej ją sobie wyobrażałam – mruknęła Julia z twarzą kogoś, kto właśnie zobaczył, jak karoca zmienia się w dynię.

– Zauważyłem. Nowi tak mają. Zresztą i tak nie będziesz tu spędzać wiele czasu. A teraz pomówmy o twoich obowiązkach. Będziesz odpowiedzialna za jeden z najważniejszych działów. Nazwaliśmy go „Dziś w sieci”.

Patrzyła na niego baranim wzrokiem.

– No co masz taką minę? Wiem, wiem. Nie jest to klasyczny dział typu „Wydarzenia” czy „Polityka”, ale przynosi nam największe profity. W zeszłym tygodniu ludzie oszaleli na punkcie zdjęcia sukienki. Nie mogli się zgodzić, jaki ma kolor. Dla jednych była biało-złota, a dla innych niebiesko-czarna. Jakieś zjawisko optyczne czy coś. Wrzuciliśmy ją na portal i mieliśmy milion wyświetleń. A im więcej wyświetleń, tym więcej forsy od reklamodawców. Dzięki temu możemy jeść trzy razy dziennie,

choć to niezdrowe, i spłacać hipotekę. A twoim zadaniem w „Obserwatorze” będzie właśnie wyszukiwanie, co danego dnia hula w sieci.

– Proszę nie myśleć, że narzekam. Mówiłam już, że jestem panu bardzo wdzięczna za tę szansę. Zastanawiam się jednak, czy nie mógłby mnie pan przydzielić do innego działu. Chciałabym podczas tych praktyk jak najwięcej się nauczyć, a nie sądzę, żebym to zrobiła, zajmując się tak... trywialnymi sprawami.

– Jeśli czekasz wystarczająco długo, wszystko staje się trywialne.

Nagle w głębi sali pojawiła się jakaś postać otoczona wianuszkami ochroniarzy. Wysoka, krocząca energicznie jak ktoś, kto zawsze wie, dokąd zmierza. Władcze spojrzenie, lekceważący uśmiešek w kąciку ust. Typ człowieka, w którego obecności nikt się nie śmieje. Jego ubiór, postawa, gesty – wszystko to wydawało się zaprojektowane specjalnie po to, by wzbudzać respekt. Taki sam, jaki wzbudza wymierzony w ciebie rewolwer. Respekt wywołany strachem. I Sánchez-Bravo ewidentnie mu uległ.

– O rany, już jest... hmm... Julio, muszę cię przeprosić. Przyspieszyli mi spotkanie, a mój... on... nie może czekać. Jutro zadzwonię i wyjaśnię ci, co masz robić. A teraz... Varona! Chodź no tu! Odprowadź Julię do wyjścia.

Zza jednego z nielicznych biurków wstał około sześćdziesięcioletni facet. Obdarty i zaniedbany, sprawiał wrażenie kogoś, kto dawno przestał się przejmować, co myślą o nim inni. Luźna pstrokata odzież ukrywająca wydatny brzuch, gęsta szpakowata broda, długie i rozczochrane włosy – ostatnia pozostałość po burzliwej młodości – pomarszczona twarz kogoś, kto wiele się w życiu śmiał... choć zdawało się, że worki pod oczami kryją miliony niewylanych łez. Nie miała pojęcia dlaczego, ale od razu go polubiła.

– Julio – rzekł Sánchez-Bravo – oto Alfredo Varona, jeden z nielicznych dziennikarzy, którzy wciąż przychodzą do redakcji. Pozwalamy mu na to, bo nie ma domu z prawdziwego zdarzenia. Żona pokazała mu drzwi. Ile to już czasu?

– Jedenaście lat – mruknął Varona.

– Nie masz pojęcia, jak jej zazdroszczę. Przedstawiam ci naszą nową praktykantkę, Julię Romero. Jutro zaczyna pracę. Postaraj się jej nie wystraszyć już pierwszego dnia. Zaopiekuj się nią. A ty, Julio, wyświadcź mi przysługę: zadbaj o to, by twój ojciec wiedział, że dla mnie pracujesz. Jestem pewien, że będzie zachwycony. A teraz przepraszam, czekają na mnie.

Z tymi słowy Sánchez-Bravo pospiesznie oddalił się na spotkanie z tajemniczym sfinksem i jego ochroniarzami, rozpluwając się w powitalnych i czołobitnych gestach.

– Liczy, że pańcio poklepie go po główce i powie: „Dobry chłopczyk” – mruknął Varona, obserwując tę scenę wraz z Julią.

– Kto to? – zapytała.

– Nie znasz Wielkiego Brata?

– Wielkiego Brata?

– Ciii... – Przyłożył palec do warg. – Jeśli chcesz mieć jakąś przyszłość w dziennikarstwie, lepiej, żeby nie słyszał, że go tak nazywasz. Mnie już wszystko jedno. Jestem jedynie zmierzającym w stronę ostatniej kropki akapitem, który wszyscy przestali czytać. Ale ty dopiero zaczęłaś pisać pierwsze słowa swojego artykułu, więc musisz uważać. Doradca Generalny Ministerstwa Prawdy niezbyt dobrze reaguje na krytykę, nawet w postaci czegoś tak niewinnego jak przydomek.

– A skąd ten przydomek?

– Za dużo chcesz wiedzieć jak na pierwszy dzień. Ten dureń Sánchez-Bravo wspomniał, że nazywasz się Romero. Co za zbieg okoliczności. Pracowałem z niejakim Gabrielem Romero.

– Co za zbieg okoliczności: mam ojca, który dokładnie tak się nazywa. I był dziennikarzem.

Varona stanął jak wryty na środku korytarza. Spojrzał na nią zupełnie innym wzrokiem, jakby był świadkiem cudu. Całą jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Córka wielkiego Romero! Nie do wiary. Przecież... ja nawet cię znałem, gdy byłaś mała! Jezu! Opowiadaj, co tam u taty. Jak się miewa.

– Niewesoło. Przez większość czasu jest smutny i marudny.

– No tak. Biorąc pod uwagę to, co się stało z twoją mamą... i co mu zrobili... Teraz rozumiem, dlaczego nasz nieszczęsny szefunio chciał, żeby twój ojciec się dowiedział, dla kogo pracujesz. Będzie załamany.

– Nie wiedziałam, że się znają.

– Przez jakiś czas pracowali razem. Nie znosili się. Bardzo się różnią. Ja byłem po stronie twojego ojca, bo niełatwo wytrzymać z kimś takim jak Sánchez-Bravo.

– Coś między nimi zaszło? Wolałabym, żeby nikt mnie nie wykorzystywał do załatwiania starych porachunków.

– O ile mi wiadomo, nic poważnego. Po prostu każdy z nich inaczej pojmował dziennikarstwo. Jak sama widziałaś, Sánchez-Bravo lubi się łączyć do możnych, podczas gdy twój ojciec wolał ich gryźć w rękę. Jeden dostawał nagrodę, a drugiemu zakładali kaganiec. Gdybym ci opowiedział, co ja przeżyłem z twoim ojcem! Facet umiał pisać i umiał pić. Muszę do niego zadzwonić. Nadal tak lubi gin?

Teraz to ona stanęła jak wryta.

– Owszem. Nadal pije. Choć jedyne, co mu z tego przychodzi, to gorycz, którą wyładowuje na mnie. Tak to już jest z pijakami. Kumple ich uwielbiają. Za to kiedy ojciec pije w domu, widzę w nim tylko upodłonego człowieka.

3

Wiatr strącał z chmur krople deszczu jak z twarzy uderzonego chłopca, który próbuje powstrzymać płacz. Gabriel Romero szedł szybko, znów prześladowany przez to dziwne doznanie w opuszkach palców, jakby nieustannie przesuwiał nimi po ostrzu nożyka do golenia. W górę i w dół.

Czekanie na ten makabryczny moment, w którym ciało zmienia się w ranę. W górę, w dół. Podniecający dreszcz ryzyka, który trwa, póki krzywda nie stanie się nieodwracalna.

Jeśli tylko ty znasz tajemnicę, jesteś człowiekiem, który żyje w strachu.

To właśnie teraz czuł. Madryt zmieniony w wielką fabrykę wrogości napawał go strachem. Jakby miastu wyrosły kły, a ściany budynków groziły ostrymi krawędziami. Nie mniej straszni byli ludzie, wszyscy z nastroszonymi kolcami, żeby nikt nie ważył się do nich podejść. Niemal pogardliwie obojętni na to, co spotyka innych. Prości i sterowalni niczym marionetki, którym się wydaje, że są wolne, bo postanowiły nie widzieć poruszających nimi sznurków. Strach. Gabriel żył z nim od dawna. Od tak dawna, że przestał zauważać ucisk w żołądku. Myślał, że już go nie ma. Że ustąpił. I wtedy zadzwoniła ta dziennikarka. Dzięki niej po latach znów poczuł się ważny. Zapytała, co wie, a on wyjawiał jej cztery szczegóły. Drobiazgi. O pokoju sto jeden nawet nie wspomniał. Kiedy żyjesz w lęku, ostrożność staje się twoją drugą naturą. Pokazał jej, w którym kierunku ma podążać, ale nie powiedział, co znajdzie na końcu drogi. Teraz nie żyła,

a strach Gabriela przeszedł ze stanu lotnego w coś, co znów dławilo go w piersi niczym bryła, uderzało w skronie jak młot i wysuszało gardło.

Jeśli tylko ty znasz tajemnicę, trawi cię choroba.

Rozejrzył się kilka razy, nim przeszedł przez ulicę. Elektryczne auta były tak ciche, że człowiek nie uświadamiał sobie ich bliskości, póki nie było za późno. Mimo kiepskiej pogody postanowił usiąść na tarasie lokalu, w którym był umówiony. Do stołu podszedł gładkolicy kelner.

– Dzień dobry, na co ma pan ochotę?

– Jeśli będzie pan łaskaw, poproszę czarną kawę z kapką koniaku.

Uśmiech na twarzy kelnera ustąpił miejsca zakłopotaniu.

– Niestety – powiedział, próbując zapisać zamówienie na tablecie – tej kombinacji nie ma w naszym menu. Mogę zaproponować czarną kawę, kawę z mlekiem, z mlekiem sojowym, espresso, cappuccino, vanilla flavour, caramel mocha...

– Nie rozumiem, w czym problem. Nie macie koniaku?

– Owszem, mamy, tyle że...

– W takim razie wlej pan kapkę koniaku do czarnej kawy i skasuj, ile chcesz.

– Niestety na tym właśnie polega problem. Nie mogę panu podać takiej kawy, bo nie zezwala na to nasz program – wyjaśnił młodzieniec, pokazując Gabrielowi ekran z osobnymi ikonkami dla każdego napoju. – Komputer dopuszcza tylko te napoje, które widnieją na liście. Bez możliwości modyfikacji. Mogę zaproponować czarną kawę, kawę z mlekiem, z mlekiem sojowym, espresso, cappuccino, vanilla flavour, caramel mocha...

– W porządku. Wspominał pan, że koniak macie, prawda?

– Owszem.

– W takim razie czy może mi pan przynieść osobno kapkę koniaku, a osobno czarną kawę?

Kelner ponownie zerknął na ekran.

– Oczywiście.

– Program pozwala?

– Tak, właśnie sprawdziłem. Już przynoszę.

Gabriela ogarnęła głęboka nienawiść do wszystkich tych sieciówek, które wykończyły małe biznesy. Sieciówki odzieżowe, gastronomiczne, zabawkowe, kawiarniane... To przez nie miasta zatraciły tożsamość, upodabniając się do siebie nawzajem. Tęsknił za szlachetną elegancją starych kawiarenek, swojskością dzielnicowych knajpek, bezpiecznym półmrokiem nocnych barów. Dziś wszystko było monotonne, przewidywalne i nudne. Na myśl, że to już nie jego świat, znów coś ścisnęło go w żołądku. Coraz lepiej rozumiał, że nie ma czego szukać w tej epoce. Jego dom, dzielnica i miasto stały się skansenem. A skanseny nie są tworzone po to, by w nich żyć.

Wrócił kelner z odrobiną koniaku i czarną kawą.

– Niech pan spojrzy. – Gabriel wlał alkohol do parującego napoju. – To nie było takie trudne, prawda?

– Cieszę się, że mogliśmy panu pomóc.

– Pomóc? Chyba się... Ech, niech pan lepiej zdradzi, gdzie ma pan szczelinę do wrzucania napiwków.

– Nie rozumiem.

– Żartowałem. Proszę się nie przejmować.

W polu widzenia pojawił się mężczyzna, z którym był umówiony. Cały jego ubiór otaczała aura bogactwa: brązowa dyplomatka, szary garnitur w kratę w stylu angielskim i karmazynowe lakierki błyszczące niczym lustra. Z pewnością miał dużo pieniędzy, ale wątpliwy gust. Gabriel

z przyjemnością skonstatował, że elegancja pozostała jedną z nielicznych rzeczy, których nie można kupić.

– Przepraszam za szczerość, ale wyglądasz okropnie – stwierdził bez ogródek nowo przybyły, sadowiąc się przy stoliku.

Miał rację. Byli równolatkami – obaj liczyli pięćdziesiąt osiem lat. Razem studiowali dziennikarstwo. A jednak tamten wyglądał znacznie młodziej. Należał do ludzi, którym upływ czasu nie tylko nic nie zabrał, lecz wręcz przeciwnie – dodał uroku. Siwizna objęła głównie skronie, każda zmarszczka wydawała się specjalnie zaprojektowana, by podkreślić szlachetność oblicza, a cała postać tchnęła młodzieńczą energią kogoś, kto codziennie uprawia sport. Uśmiech zaś odsłaniał uzębienie równie olśniewająco białe, co sztuczne. Gabriel znów poczuł się staro. Spojrzał na swoje dłonie. Plamy starcze mnożyły się niczym złowrogie wielokropki przepowiadające nieunikniony kres. Siwe włosy wygrywały z kasztanowymi, skóra stawała się coraz bardziej przezroczysta, a w oczach zagnieździły się typowe dla alkoholików czerwone pajęczyny. Jasne było, że życie potraktowało każdego z tych mężczyzn całkiem inaczej.

– Masz telefon? – zapytał Gabriel.

– Wariat z ciebie – stwierdził przybyły, pokazując mu zawartość kieszeni. – Nie da się podsłuchiwać rozmów za pomocą telefonu.

– Zrobiłeś to, o co prosiłem?

– Wiesz, co by było, gdyby ktoś zrobił nam teraz zdjęcie i wrzucił do internetu? Moja reputacja ległaby w gruzach. Wiele ryzykuję, spotykając się z tobą, Gabrielu. Tobie nie zależy, bo nie masz nic do stracenia. A ja owszem. Żeby Fernando Portela, szef działu informacji telewizji publicznej...

– Wiem, jaka z ciebie sycha. Nie musisz mi o tym przypominać. Poprosiłem cię o przysługę ze względu na dawne czasy.

Fernando się rozejrzył. Nikt nie celował do nich z obiektywu telefonu. Uff.

– Nie stało się nic wyjątkowego, panikarzu. Ta dziennikarka...

– Marta Alonso.

– Niech ci będzie. Marta Alonso po prostu dostała w kawiarni nagłego ataku serca. I tyle. Miała wadę genetyczną, która predysponowała ją do takich schorzeń. Widziałem raport z autopsji i rozmawiałem z lekarzami, którzy próbowali ją ratować. Jej śmierć nie ma w sobie nic podejrzanego. Przestań widzieć wszędzie upiory, Gabrielu. Za jej śmierć odpowiada wyłącznie chore serce.

Gabriel się zamyślił.

– Mogli sfałszować autopsję, a lekarzy kupić. Nie byłby to pierwszy raz.

– Skończ już, dobra? Prosiłeś mnie, żebym zebrał więcej dowodów, więc je zebrałem. Dajmy temu spokój. Co u Julii? Jak sklep?

– Coraz piękniejsza, coraz inteligentniejsza. I coraz bardziej odległa. Czasem myślę, że dobrze robi, oddalając się ode mnie, ale i tak mnie to boli. Nie mogę patrzeć, jak własna córka staje się dla mnie kimś obcym. A sklep? Kiepsko. Nikt już nie kupuje antyków. Nikogo nie obchodzi przeszłość. Wszyscy chcą nowinek. Ostatnich krzyków mody. Starocie się wyrzuca.

– A ty? Jak się czujesz?

Nie znalazł odpowiedzi. Był niemal zawiedziony, że dziennikarka zmarła z przyczyn naturalnych. Wolałby usłyszeć, że ją zabito, nawet jeśli wiązałoby się to z powrotem lęku i poczucia, że jest śledzony iznaczony. W przeciwnym bowiem razie był po prostu pijakiem, który wymyśla nieistniejących wrogów. Biednym, chorym na samotność, godnym pożałowania człowieczkiem, który stracił wszystko i szuka winnych, bo nie

ma odwagi przyznać, że zawinił wyłącznie on. Tak, był tym człowieczkiem, a spojrzenie Fernanda Porteli to potwierdzało. Ale nie wszystko sobie wymyślił. Coś widział, coś wiedział.

Jeśli tylko ty znasz tajemnicę, jesteś sam na świecie.

– Muszę iść – powiedział przepraszająco Portela, wstając z krzesła. – Ludzie, którzy z tobą rozmawiają, mają nieprzyjemny zwyczaj tracić pracę, a ja wolałbym tego uniknąć.

– Niektórzy nawet umierają.

– Pójdę prosto do lekarza, żeby cię uspokoić. Słuchaj, o czym gadałeś z kelnerem? Kiedy przyszedłem, miałem wrażenie, że się kłócicie.

– Od tego patrzenia w ekrany komputerów i telefonów ludzie stają się coraz bardziej tępi. Młode pokolenie ma atrofię mózgu.

– Wiesz, jak to brzmi? Jakbyś był rozżalony, że się starzejesz, i wyładowywał żal na młodych i na postępie. Tak jak to zwykle bywa między pokoleniami.

– To coś znacznie poważniejszego, Fernando. Nie o mnie tu chodzi. Rozejrzyj się wokół. Nie widzisz, w co się zmieniło nasze społeczeństwo? Oddaliśmy kontrolę nad własnym życiem. Wolimy, żeby inni zarządzili nim za nas. Jesteśmy jak dzieci, które potrzebują tylko zabawy i rozrywki. Chcemy słuchać w kółko tej samej bajki, by czuć się bezpieczni. Gdybyśmy dorośli, musielibyśmy stawić czoło złym wieściom, które przynosi nam życie, więc się od tego migamy. Nie chcemy odpowiedzialności. Nie chcemy nic wiedzieć. Odkryliśmy, że im głupszy jesteśmy, tym mniej mamy zmartwień. Wskoczyliśmy w objęcia ignorancji i tulimy się do niej radośnie.

– Straszny z ciebie defetysta, Gabrielu. Nie wiem, czy przyszło ci do głowy, że twój sposób widzenia świata nie odpowiada jego rzeczywistemu stanowi rzeczy ani temu, jak widzą go inni. Być może to, co nazywasz

ignorancją, dla nich oznacza radość. Radość, której i ty mógłbyś od czasu do czasu zaznać. Odrobina wytchnienia dobrze by ci zrobiła. Żegnaj, Gabrielu. Nie dzwoń do mnie więcej.

Gdy tylko się upewnił, że Gabriel już go nie widzi, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki telefon, wybrał numer z listy kontaktów i wcisnął zielony guzik. Po pierwszym sygnale odezwał się męski głos:

– Myślisz, że uwierzył w atak serca?

– Nie wiem – odparł Portela. – Ale przynajmniej zaczął się zastanawiać.

– To za mało. Może znowu zacząć gadać z dziennikarzami. Wiele osób chciałoby wejść w posiadanie tajemnic.

– To alkoholik. Po prostu coś sobie roi. Nie sądzę, by stanowił zagrożenie.

– Nóż pozostaje nożem, nawet jeśli od dawna nie był ostrzony.

– Co chcecie zrobić?

– Gdybyś wiedział, ile problemów rozwiązała poezja... Świat potrzebuje jej więcej.

4

Gdy Julia weszła do domu, ojciec siedział przy stole w salonie i pił gin z gwinta. Tym razem jednak, w przeciwieństwie do wszystkich wcześniejszych, nie było jej go żal. Poczwała w trzewiach jedynie głęboki wstręt.

– Nie za wcześnie zaczynasz pić?

Gabriel podniósł wzrok. Spojrzenie miał utkwione daleko, bardzo daleko. Tam, gdzie kończyła się butelka.

– Pory dnia obowiązują tylko tych, którzy piją dla rozrywki – odparł. – Ja na odmianę jestem alkoholowym eskapistą. Dzięki procentom udaje mi się uciec przed rzeczywistością. A do ucieczki odpowiednia jest każda pora.

– Bardzo zabawne, tato. Boki zrywać. Szkoda, że nie władasz własnym życiem tak dobrze jak słowami. Mam nadzieję, że po powrocie z uczelni nie zastanę cię leżącego na podłodze łazienki w kałuży wymiocin jak poprzednio. Bo możesz mi wierzyć, to nie było zabawne.

– Spokojnie, to się nie powtórzy. Tym razem planuję stracić przytomność w kuchni – zażartował i pociągnął kolejny łyk.

– Tato, mówię serio. Mógłbyś przynajmniej pić ze szklanki. Nie wydawałbyś się tak zestresowany.

– To nie stres, to głód czułości. Nikt oprócz butelki już mnie nie całuje.

– Nie bez przyczyny, tato. Nie bez przyczyny.

Odstawił flaszkę na stół i pogładził szkło z czułością, jakby obejmował nieziszczalne marzenie. Jak gdyby dzięki temu mógł poczuć ciepły oddech

drugiej osoby.

– Dopiero teraz idziesz na uczelnię? To skąd wróciłaś?

Nie tak wyobrażała sobie chwilę, w której powie mu o praktykach w „Obserwatorze Cyfrowym”. Nie miała ochoty na rozmowę ze zgorzkniałym i bezwolnym pijakiem, którym z każdym dniem stawał się Gabriel Romero. Nie. Opowie mu wieczorem. Wszystko zaplanowała: zrobi kolację dla obojga, pogadają sobie sympatycznie o starych czasach, jak ojciec z córką, a potem usiądą na sofie i włączą jeden ze starych filmów Scorsese, które oboje tak lubią. Dopiero wtedy opowie mu o praktykach i o tym, co naprawdę dla niej znaczą. Nie chodziło o ostatni podryg młodzieńczego buntu ani o to, żeby sprzeciwić się ojcu. Po prostu chciała zostać dziennikarką. Czuła głęboko w trzewiach, że podjęła dobrą decyzję i że jeśli nie zrealizuje swoich planów, do końca życia będzie nieszczęśliwa.

W jej wyobraźni ojciec wszystko rozumiał i przytulał ją tak długo, aż ekran robił się czarny, pojawiał się na nim napis „koniec”, a publiczność zaczynała klaskać. W rzeczywistości jednak Julia wiedziała, że pijak, którego ma przed sobą, nie wystąpi w żadnym szczęśliwym zakończeniu. Na jego widok ogarniały ją mdłości.

– Nie byłam jeszcze na uczelni, tato. Miałam rozmowę w sprawie pracy – obwieściła lodowato, jakby chciała go ukarać za naiwność.

Pajęczyna czerwonych żyłek rozlała się po białkach oczu Gabriela. Patrzył na córkę zdezorientowany, prowokująco unosząc do ust butelkę.

– Będę miała praktyki w „Obserwatorze Cyfrowym”. Jutro zaczynam.

Pił duszkiem, z zamkniętymi oczami, jak gdyby alkohol był ostatnim rozżarzoną gwoździem, którego mógł się chwycić, zanim spadnie.

– I zamierzam ciężko pracować, żeby dostać tam stałą posadę – kontynuowała. – Przy okazji, mój nowy szef, pan Sánchez-Bravo, kazał cię

pozdrowić. Podobno się znacie. Jak to się stało, że on został redaktorem naczelnym, a ty zająłeś się wrózeniem z butelki?

Gabriel wzdrygnął się i wbił wzrok w Julię niczym raki w śnieg.

– Dlaczego mi to robisz? Dlaczego tak mnie karzesz? Jedyne, czego zawsze dla ciebie chciałem, to żebyś nie została jedną z tych...

– Z jakich tych, tato? Dziennikarzy, którzy mają pracę i zajmują się czymś innym niż picie o jedenastej rano?

– Nie chcę, żeby moja córka uczestniczyła w maskaradzie, w którą zamieniło się dziennikarstwo. Nie oglądasz wiadomości? Nie czytasz gazet? Powiedz mi: czym one są? Groteskową wyliczanką anegdot i błahostek sztucznie rozdmuchanych tak, by wydawały się ważne. Pustych bredni, przy których masy się bawią i śpią spokojnie, podczas gdy to, co naprawdę istotne, przechodzi nam przed oczami na paluszkach albo w ogóle zostaje przemilczane. To właśnie robią ludzie pokroju Sancheza-Bravo. Dbają o to, żeby z każdym dniem przybywało ignorantów. Bo ignorantami łatwiej manipulować. O to ci chodzi? Chcesz być kolejnym trybikiem w wielkiej fabryce baranów?

– I kto to mówi? Wielki Gabriel Romero – szydziła, zbliżając się do niego. – Wielki Romero, który jest tak ważny, że prowadzi program w telewizji albo dział w gazecie stojący na straży szlachetnej dziennikarskiej profesji? Gdzie tam! Prowadzi sklep z antykami! Tam nikt go nie ruszy, bo jest po prostu kolejnym antykiem w swojej kolekcji.

Każde słowo paliło go we wnętrzu niczym głęboka rana. Raniło duszę, wykrwawiało serce. Usiłował powstrzymać krwotok, zatykając uszy drżącymi dłońmi. Ale Julia nie odpuszczała. Zbliżyła twarz do jego twarzy i wyszeptała mu do ucha:

– Jak to możliwe? Dlaczego tak wybitny dziennikarz nie dostaje godnych propozycji pracy? Cóż, może ma to coś wspólnego z faktem, że

nie ma nawet telefonu komórkowego. Myśli, że ktoś podsłuchiwałby jego rozmowy. Pewnie te, które prowadzi z butelką. Muszą być pasjonujące... Choć moim zdaniem on po prostu się boi. Robi w gacie na myśl o tym, że ktoś mógłby naprawdę zaproponować mu posadę, a on znów by nawalił...

Gabriel chwiejnie podniósł się z krzesła. To było nie do zniesienia. Musiał stąd wyjść. Odejść tam, gdzie nie słyhać jej słów. Ruszył korytarzem, trzymając się ściany.

– Dokąd to się wybierasz? Chcesz zagrzebać się w swojej norze? Potrafisz tylko uciekać. Leć! Leć i ukryj się przed prawdą.

Zdyszany dowlóknął się do łazienki, zamknął za sobą drzwi i osuwał się po nich, aż usiadł na podłodze. Brakowało mu tchu, a pierś wydymała się niczym miech akordeonu.

– Tego samego chciałeś dla mnie! Miałam siedzieć jak mysz pod miotłą, ale mi się znudziło! – Po czym córka zadała ostateczny cios: – Nie poradziłeś sobie ze śmiercią mamy i myślisz, że możesz spędzić resztę życia ukryty na dnie butelki!

Zaległa cisza.

Drzwi łazienki się uchyliły i spomiędzy nich a futryny wyjrzała wymęczona twarz ojca.

– Córeczko, proszę, daj mi spokój. Błagam, nie mów nic więcej. – Po tych słowach znów zamknął się w środku.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, co zrobiła. Ta makabryczna rozkosz, którą czerpiemy z okrucieństwa, wiedząc, że pozostaniemy bezkarni. Ta łatwość, z jaką łamiemy uschniętą gałąź...

– Tato... tato, przepraszam... Chciałam tylko... Otwórz, proszę... – Usiadła na podłodze jak on i szeptała, gładząc opuszkami palców powierzchnię drzwi.

Z drugiej strony dobiegł ją szloch.

– Przepraszam za wszystko, co powiedziałam. Ja tylko chciałam, żebyś zrozumiał moją decyzję. Przysięgam, że nie zamierzałam cię zranić.

Poczucie winy łaskotało ją w żołądku, jakby był wyłożony aksamitem.

– Wiem, co myślisz. Czasem widzę to w twoich oczach – wyznał Gabriel, wykorzystując dzielące ich drzwi, by nie musieć uciekać przed jej spojrzeniem. – Myślisz, że byłoby lepiej dla wszystkich, gdybym to ja zginął w wypadku zamiast twojej matki.

– Nie mów tak.

– Wiesz co? Ja też codziennie mam takie myśli.

Usłyszała jego płacz – płacz rozdartego na strzępy człowieka, który nigdy nie stanie się na powrót całością.

Ucałowała opuszki palców i znów pogłaskała drzwi. Potem zostawiła go w spokoju. Tak było lepiej. Wróciła do salonu, wzięła torbę i wyszła. Ostatnie słowa ojca wciąż płonęły w jej trzewiach. Trudno było pogodzić się z myślą, że wolałaby, aby to on zginął zamiast matki. Bolało, bo była to prawda.

Gdy Gabriel w końcu wyszedł ze swej kryjówki, w salonie czekała na niego tylko butelka. Przyssał się do niej w poszukiwaniu ulgi. „Tyle trwa szczęście – pomyślał. – Tyle co pocałunek albo pociecha, jaką przynosi łyk alkoholu”.

Jeśli tylko ty znasz tajemnicę, jesteś nędznym alkoholikiem.

Powinien opowiedzieć Julii całą prawdę. Miała prawo wiedzieć, co się stało. Ale wtajemniczając ją, sprowadziłby na nią niebezpieczeństwo. „Oni” mogliby po nią wrócić. Lepiej było trzymać gębę na kłódkę jak dotychczas. Chronić dziewczynę. A jednak to, że własna córka nim gardzi, że uważa go za bezużytecznego pijacznę chowającego się za butelką ze strachu przed porażką, stawało się coraz trudniejsze do zniesienia. Chciałby, żeby

wiedziała, kim naprawdę jest jej ojciec. Co zrobił, co odkrył. Gdyby знаła prawdę, może byłaby z niego dumna. Ale nie. Lepiej milczeć. Zbawić ją od tajemnicy, uchronić przed prawdą. Bo prawda jest niebezpieczna. Prawda może zabić.

Gdy odstawiał butelkę, jego wzrok padł na regał wypełniony nagromadzonymi przez lata książkami. Były jak starzy przyjaciele – nie widzisz ich często, lecz wiesz, że w potrzebie nigdy cię nie zawiodą. Nie rozumiał, jak można żyć bez książek. Dzień bez lektury uważał za stracony. Wiedział, że żyje w społeczeństwie, w którym widok książek w domu stawał się coraz bardziej niecodzienny. Wszyscy twierdzili, że zajmują za dużo miejsca i że wygodniejszy jest format cyfrowy. W rzeczywistości jednak mało kto jeszcze czytał. Ze stronicami wygrywały ekrany. Z wiedzą – rozrywka. Ludzie zaczęli wyrzucać książki do kosza. Wkrótce zebrano się ich tyle, że aby mieszkańcy mogli swobodnie się ich pozbywać, postawiono specjalne kontenery, które co tydzień opróżniano. Szlachetna zawartość lądowała na wysypisku, by następnie zostać spalona. Setki, tysiące woluminów traktowano jak puste kartki w zeszycie, makulaturę, ochłapy interesujące tylko żebraków.

„Świetna metafora tego, w co zamieniło się nasze społeczeństwo. Ludzie gardzą kulturą i wiedzą, a hołubią głupotę i jeszcze są z tego dumni”, pomyślał Gabriel.

Jego wzrok padł na stojące pośrodku regału zdjęcie żony. Postawił je tam, bo Cecilia uwielbiała otaczać się książkami. Tak długo przyglądał się jej twarzy, aż naszło go wspomnienie tamtego wieczoru, jakby przez cały czas czaiło się w pobliżu. Nudny wykład, na który heroicznie się z nim wybrała. To, jak obejmowali się po drodze w obronie przed chłodem. Późniejsza kolacja przy świecach. Głodne dłonie, które szukały się pod stołem. Jej uśmiech, który rozświetliłby jaskinię. Dołki w policzkach

pojawiające się przy uśmiechu i budzące w nim taką czułość. Był uzależniony od brzmienia jej śmiechu. I od pocałunków, które tchnęły w niego życie. Wszystko było idealne. Gdy w drodze do domu prowadził auto, nie spuszczał z niej wzroku. Takie życie wtedy wiódł: bezpieczne jak droga z nią u boku.

Potem, niczym pierwsza kula wypadająca z bębna maszyny losującej, nadciągnęła tragedia. Wszystko wydarzyło się błyskawicznie. Huk pękającej opony. Wypadnięcie z drogi. Koziołkowanie. Krzyki, których nikt nie słyszał. Zgrzyt wyginającego się metalu. Wciąż koziołkowanie. Brzęk rozbijanego szkła. Coś mokrego i kleistego na twarzy. I jeszcze więcej koziołkowania, aż w końcu wszystko znieruchomiło. Gabriel był oszołomiony. Z rozbitej głowy sączyła się krew. Spojrzał na Cecilie. Siedziała w fotelu obok przypięta pasem bezpieczeństwa. Twarz zasłaniały jej zmierzwiłone włosy. Z brzucha niczym ogromny pazur wystawało coś metalowego. Gabriel czuł, że traci przytomność. „Nie – myślał – nie teraz! Muszę jej pomóc. Muszę ją stąd wydostać”. Szarpał się z pasem. Krew z rany na głowie zalewała mu oczy. Ciągnął i ciągnął, lecz nie zdołał się oswobodzić. Kręciło mu się w głowie i miał wrażenie, że spada. „Już, najdroższa. Jestem przy tobie”. Ale ręce nie chciały go słuchać, a oczy się zamykały. Cecilia była cicho, zbyt cicho. A ten przeklęty pas nie chciał się rozpiąć! „Zaczekaj, najdroższa, wytrzymaj jeszcze trochę”. I wtedy, zaraz przed tym, jak stracił przytomność, usłyszał ten głos. Męski głos recytujący poezję opowiadającą o wydrażonych ludziach:

*...i oczy mając, weszli w drugie Królestwo śmierci...*²

Pociągnął z butelki, ale tym razem gin okazał się słony od łez.

² T.S. Eliot, *Wydrżeni ludzie* [w:] Cz. Miłosz, *Mowa więziona*, przeł. Cz. Miłosz, Warszawa 1985, s. 177.

5

Ojciec mawiał, że budynek wydziału dziennikarstwa na Uniwersytecie Madryckim przypomina bunkier chroniący przyszłych dziennikarzy przed prawdą o ich zawodzie – tą, z którą będą musieli się skonfrontować, gdy opuszczą te mury. Tą, której nie uczono na zajęciach.

Julia nie mogła przestać myśleć o tym, co się wydarzyło w domu. Nie powinna tak okrutnie traktować ojca. Niezależnie jednak od tego, jak bardzo się tym zadręczała i samobiczowała, nie skłamała, gdy mówiła, że czasami – jak tego dnia – wolałaby towarzystwo matki. Nie mogła siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak ojciec stacza się po równi pochyłej. Czasem trzeba wszystko zburzyć, by zacząć budować od nowa. Może musiała przekroczyć granicę, aby przestał ją traktować jak dziecko. Powinni się nawzajem przeprosić. Ona za formę, a on za treść. Tak czy owak, w jej odczuciu nie zaszło nic, czego nie można by naprawić uściskiem, powiedzeniem: „Kocham cię” i kolejnym seansem *Ojca chrzestnego*, który w ich domu miał niemal status religii.

Przekroczyła próg uczelni z pewnością kogoś, kto czyni to dzień w dzień od czterech lat. Na parterze grupka siedmiorga studentów wykrzykiwała hasła popierające zrzeszenie studentów i krytykujące rektora. Julia pomachała koledze trzymającemu głośnik. Nazywał się Collado i był prezesem zrzeszenia. Na jej widok przestał krzyzczeć i podszedł do niej.

– Cześć, Julio. Będiesz dziś na zebraniu? Rektor chce nam odebrać siedzibę. Potrzebujemy więcej osób, żeby go przekonać. Zrzeszenie używa

tego pomieszczenia od ubiegłego wieku!

– Nie wiem, czy dam radę. Ale z tego, co widzę, furory nie robicie.

Przez chwilę patrzyli na studentów. Młodzi ludzie wchodzili i wychodzili, nie zwracając uwagi na protestujących.

– Dzisiejsi studenci mają gdzieś i politykę, i ruchy studenckie – mruknął ponuro Collado. – Nasze pokolenie odpuściło walkę o swoje prawa. A jeśli nie będziemy o nie walczyć, ktoś przyjdzie i nam je zabierze.

– Dlaczego rektor chce wam odebrać siedzibę?

– Mówi, że zrzeszenie praktycznie nie istnieje.

– To prawda?

Collado rzucił okiem na rozkrzyczaną gromadkę.

– A jak myślisz? Niedawno wśród studentów dziennikarstwa przeprowadzono ankietę dotyczącą planów na przyszłość. Większość planowała gry wideo, ćpanie i imprezy.

– I seks. Nie zapominaj o seksie.

Przez twarz chłopaka przemknął lekki rumieniec. Julia uwielbiała, gdy udawało jej się go wywołać. Zawsze ją to wzruszało.

– N... no tak. Jasne. Seks też był na liś...

– Julia!

Piętro wyżej, przechylona przez barierkę, machała do nich Beatriz.

– To twoja koleżaneczka z trybu A – prychnął Collado.

Kryzys „zmusił” uniwersytety do restrukturyzacji. Budżet państwa nie był już w stanie pokryć wszystkich kosztów kształcenia. Uczelnie ratowały się przed zamknięciem, szukając różnych sposobów finansowania i dzieląc studentów na dwie grupy: tych z trybu A, płacących za naukę nie mniej niż dwa tysiące euro miesięcznie, i tych z trybu B, pokrywających jedynie wpisowe i koszty powtarzania kursów, których nie zaliczyli. Wśród

korzyści trybu A były między innymi: skrócenie nauki o rok – magisterkę robiło się w cztery lata – maksymalnie trzydzieścioro studentów na roku, sale wyposażone w najnowsze zdobywcze technologie i dostęp do praktyk w firmach. Studenci trybu B na odmianę uczęszczali na zajęcia w grupach ponadstuosobowych. W większości sal nie wystarczało dla nich ławek, więc niektórzy musieli przez cały wykład stać albo siedzieć na podłodze. Zdobycze techniki ograniczały się do klasycznego duetu tablica–kreda, a studia trwały pięć lat. Pierwszą konsekwencją zmian stanowiło to, że szukające pracowników firmy już w ogłoszeniach informowały o niebraniu pod uwagę absolwentów trybu B.

– Nie wiem, jak możesz się zadawać z tymi ludźmi – mruknął Collado. – Odkąd się tu zjawili, wszystko trafił szlag.

– „Z tymi ludźmi”? Mam znajomych i w A, i w B. Nie obchodzi mnie liczba zer na ich kontach. Nawiasem mówiąc, zrzeszenie głosowało za podziałem studentów na tryby.

– Wtedy nawet do niego nie należałem...

– Muszę iść. – Julia klepnęła go przyjacielsko w ramię.

– Przyjdiesz na zebranie? – zapytał prosząco.

Odwróciła głowę, nie przestając iść.

– Wygląda na to – zaczęła, wskazując brodą garstkę protestujących – że szykuje się bardzo kameralne spotkanie. Może nawet intymne.

– Nie kuś.

– A potrzebujesz pokusy?

Collado znów się zarumienił, a Julia oddaliła się z lekkim uśmiechem.

Na pierwszym piętrze, z łokciami wspartymi o poręcz, czekała na nią Beatriz. Była znacznie wyższa od Julii i nosiła ciuchy z doskonale widocznym logo projektanta, żeby nikt nie miał wątpliwości co do ich ceny.

Proste blond włosy jak zawsze lśniły nieskazitelnym blaskiem złotej kaskady. Obrazu dopełniał idealny makijaż, jakby zaraz po zajęciach miała iść na imprezę, co zresztą często się zdarzało.

– Co to za konszachty z bohaterem klasy robotniczej? – zapytała z ironią, witając się z Julią i posyłając dwa całusy w powietrze obok jej policzków.

– Collado? To fajny chłopak.

– Upierdliwy. Z gatunku tych, którzy zawsze muszą mieć rację. Ale gadaj: dostałaś te praktyki?

– Tak! Jutro zaczynam. Serio, Bea, nie wiem, jak ci dziękować.

– To ja powinnam dziękować tobie. Ojciec wreszcie przestanie mi suszyć głowę, żebym zaczęła zdobywać doświadczenie zawodowe pod jego okiem.

– Podziękuj ode mnie i jemu.

– Sama mu podziękuj, jak się jutro spotkacie. Ja prawie go nie widuję. Komunikujemy się elektronicznie. On mnie prosi, żebym nie wracała zbyt późno, a ja go proszę o pieniądze. No co, nie patrz tak na mnie! Według statystyk wiele par ze względów ekonomicznych w ogóle nie decyduje się na dzieci. Czyli że dla naszych starych jesteśmy luksusem, no nie? A za luksusy się płaci.

– Nie mam pojęcia, czy jesteś cyniczna, czy odmóżdżona.

– Po kieliszku cyniczna. Po więcej niż dwóch odmóżdżona. Nawiasem mówiąc, dzisiaj jest impreza.

– Nie mogę. Muszę być wcześniej w domu.

– Przestań. Będzie tam tabun fajnych facetów gotowych naopowiadać nam kłamstw. Nie może cię zabraknąć.

– A co z godziną policyjną?

– Pracujesz w gazecie. Nie obowiązuje cię godzina policyjna. Poza tym jesteś mi coś winna za to, że załatwiłam ci praktyki.

– Szantażystka.

– Wpadnę po ciebie o dziewiątej. Przy okazji: jak przyjął wiadomość twój ojciec?

6

Wiatr niczym lodowate ostrze przemierzał wszystkie zakątki miasta w poszukiwaniu ofiar.

Gabriel wyszedł z bramy i podniósł kołnierz. Musiał otworzyć sklep, ale najpierw zamierzał zajść do supermarketu. Skończył mu się gin, a bez tego antidotum nie był w stanie stawić czoła rzeczywistości. Ulicami pędziły do swoich biur przyodziane w mundurki mrówki robotnice. Po skończonej pracy, zadowolone ze spełnienia obywatelskich obowiązków, zmieniały się w konsumentów. Żał mu było tych wszystkich nieszczęśników, którzy dali się nabrać, że wystarczy wypchać torbę produktami, by zaznać szczęścia.

Skręcił za róg i zobaczył na ścianie napis:

**NIE SŁUCHAJ NAS,
JUŻ I TAK NIE ŻYJEMY.**

Supermarket znajdował się w miejscu dawnego kina. Ostatnie sale kinowe zamknięto z braku publiczności kilka lat temu. Ludzie woleli oglądać filmy w domach. Tak było wygodniej, prościej i bardziej pospolicie. Zgodnie z duchem czasów.

„Najpierw zamknęli kina, potem małe księgarnie, a na koniec papierowe gazety. Życie daje coraz to nowe znaki, że mój świat się kończy”, pomyślał Gabriel.

Nikt nie rozmawiał. Głęboką ciszę świątyni konsumpcjonizmu przerywały jedynie nadawane przez megafon reklamy. Wszyscy koncentrowali się na tym, co lubili najbardziej: na zakupach. Gabriel ruszył prosto do działu z alkoholem, wziął dwie butelki najtańszego ginu i ustawił się w kolejce do kasy samoobsługowej, bo innych już nie było. Nawet ochroniarza zastąpiła kamera monitoringu... Również fabryki w znacznym stopniu zautomatyzowano, a tysiące robotników niewykwalifikowanych straciło pracę. Na znalezienie nowej nie mieli najmniejszych szans, bo ich stanowiska przestały istnieć. Tysiące bezrobotnych tłoczyły się na peryferiach miasta, żyjąc ze skąpych zasiłków, które państwo wypłacało im nie tyle w trosce o swoich obywateli, ile w celu uniknięcia rozruchów. Rzeczywiście, dawniej ludzie skazani na bezrobocie z bronią w rękę ruszyliby do walki o swoją godność. Dziś jednak każdy miał telewizor, telefon komórkowy, komputer. Zbyt wiele możliwości rozrywki, by zawracać sobie głowę rewolucją.

Wychodząc z supermarketu, poczuł znajome ukłucie strachu. Miał wrażenie, że z chodnika po przeciwległej stronie jezdni ktoś go obserwuje. Kątem oka dostrzegł mężczyznę w niebieskim garniturze, ale kiedy obrócił głowę w jego stronę, zobaczył tylko potok ludzi pędzących przed siebie, zderzających się i gnających dalej bez słowa.

Jeśli tylko ty znasz tajemnicę, jesteś człowiekiem, który ma zwidy.

Uniósł metalową sztabę zamka, wszedł do sklepu i zatrzaskał drzwi przed wiatrem, który w proteście podzwaniał szybami. Wnętrze wypełniał kolorowy chaos rozsianych bez ładu i składu staroci. Wyglądały, jakby schroniły się tu przed upływającym czasem, który czyhał na zewnątrz, by je zdegradować do rangi rupieci. Tu wciąż były użyteczne, piękne, a nawet praktyczne. Pozostawały sobą. A Gabriel czuł się w tym cudnym bałaganie

jak w domu. Może jego córka miała rację: on też zmieniał się w antyk. I cieszyło go to.

Jak co dzień zrobił przegląd towaru, witając się ze wszystkim po kolei. Bargueño o kanciastych kształtach, globus z barkiem w środku, majestatyczne popiersie generała, którego wciąż nie udało mu się zidentyfikować... i książki, które ratował ze śmietnika: *Don Kichot*, *Sto lat samotności*, *Celestyna*, *Moby Dick*, *Wielki Gatsby*, *Długie pożegnanie*, *Campos de Castilla*...

Wiedział, że nigdy ich nie sprzeda, ale nie mógł znieść widoku tych arcydzieł wyrzuconych do kontenera obok resztek jedzenia i śmieci. „Wielbimy błyskotki, a klejnoty wyrzucamy w błoto”, pomyślał.

Codziennie otwierał któryś z tych klejnotów, by przeczytać kilka stron. Bo książka, której nikt nie czyta, jest martwa. Wystarczy jednak zatracić się w jej słowach, by ożyła. Tym razem wziął do ręki *Długie pożegnanie*:

Bywaj, amigo. Nie będę się z tobą żegnał.

Zrobiłem to wtedy, kiedy to jeszcze coś oznaczało³.

Poczuł w środku to cudowne ciepło, którego doznawał przy kontakcie z urzekającą literaturą. Cudowny koktajl piękna i mądrości. Eksplozję jasności wewnątrz mózgu. Postawił książkę obok pozostałych i usadowił się przy biurku. Za jego plecami na różnych wysokościach wisały półki pełne maszyn do pisania. Znajdowały się tam: remington 7, olivetti valentine, olympia SM9 i jego ulubiony underwood 5 odziedziczony po ojcu. Gabriel wciąż go używał. Te maszyny były zdolne do cudu przeobrażenia idei, projektów czy myśli w coś rzeczywistego, namacalnego. Nie to co komputery, które produkowały twory niematerialne, znikające, gubiące się i podatne na manipulacje.

Zdjął z półki starego underwooda, postawił na biurku i zaczął pisać. Stukot klawiszy zawsze go uspokajał. Przymknął oczy. Nagle z umieszczonego w drzwiach otworu na listy wypadła jakaś paczuszka owinięta w papier kraftowy. Gdy ją podnosił z podłogi, zauważył, że drżą mu ręce. Wiedział, co znajdzie w środku, lecz bał się momentu, w którym wszelkie nadzieje prysną. Rozdarł papier i jego oczom ukazała się okładka 1984 George'a Orwella. Ostrzeżenie, które potwierdzało jego najgorsze obawy. Musiał uciekać. Uciekać jak najdalej. Otworzył szufladę, w której trzymał kopertę z gotówką zgromadzoną z myślą o tej chwili. Ale zostało mu jeszcze coś do zrobienia. Usiadł przed underwoodem i zaczął pisać.

Julio, córeczko...

Miał czas zaledwie na kilka akapitów. Potem nożyczkami odciął pustą część kartki, a tę zapisaną złożył tyle razy, ile się dało, i ukrył w banknocie dziesięcioeurowym, po czym włożył go do kieszeni. Ostatnim spojrzeniem omiótł swoje starocie: bagueño, popiersie generała, książki. Jak długo pozostaną martwe, nim ktoś znów je przeczyta? Na myśl o śmierci poczuł dreszcz.

Wyszedł na ulicę i szybko skierował się w stronę stacji. Najlepiej uciekać pociągiem. Bilety nie były imienne, więc ci, którzy deptali mu po piętach, mogli go zgubić przynajmniej na pewien czas. Pierwszy przystanek: Lizbona. Stamtąd ewakuuje się do Maroka, by następnie przemieszczać się na południe Afryki. Im dalej od zaawansowanej technologii, tym lepiej. Nagle wydało mu się, że kątem oka dostrzega po swojej prawej stronie ubranego na niebiesko mężczyznę, który przygląda mu się z chodnika. Odwrócił głowę, lecz tamten zdążył zniknąć. „Już tu są”, pomyślał.

Przyspieszył i skręcił w boczną uliczkę. Musiał znaleźć łącznika, zanim zostanie zauważony i zanim wyjedzie. Próbował wtopić się w tłum. Chciał pozostać niewidoczny, ale musiał przekazać list... I wtedy go zobaczył. Na rozłożonej na ziemi tekturze siedział żebrak. Przed nim stał kubek z paroma monetami. Gabriel podszedł i nie zatrzymując się, włożył do kubka banknot z ukrytym wewnątrz liścikiem. Żebrak podniósł wzrok. Przez chwilę, która zdawała się wiecznością, patrzyli sobie w oczy, nawiązując milczące porozumienie. Gdy tylko Gabriel spojrział z powrotem na ulicę, znów dostrzegł tamtych. Tym razem nie miał wątpliwości. Dwaj mężczyźni w niebieskich strojach obserwowali go z uśmiechami ostrymi jak brzytwa. Rzucił się do ucieczki.

Jeśli tylko ty znasz tajemnicę, jesteś człowiekiem, który ucieka.

Dobiegał do stacji Atocha. Nie zwalniając kroku, obejrzał się przez ramię. Teraz było ich więcej. Rozdzielali się, by go osaczyć. Pędził, nie zatrzymując się na światłach i lawirując między samochodami. Ryzyko wpadnięcia pod koła było niczym w porównaniu z dostaniem się w łapy tych typów. Klaksony rozbrzmiewały wokół niego niczym rozpaczliwe krzyki. Wbiegł na stację, ale oni już tam byli. Pośrodku holu stał facet w niebieskim garniturze, wskazując uciekiniera palcem. Perfidny uśmiech rozchodził się po jego twarzy niczym epidemia. Gabriel spuścił głowę i wmieszał się w grupę studentów z walizkami. Musiał znaleźć automat biletowy. Były rozsiane po całej stacji, co stanowiło jedną z niewielu zalet pozbycia się żywych kasjerów. Znalazł jeden obok toalet i wpisał cel podróży, co rusz oglądając się za siebie. Wsunął banknoty w szczelinę, lecz automat ich nie przyjął. „Tylko nie to! Nie teraz!”, rozpaczliwie błagał w duchu mężczyzna.

Powtórzył procedurę, lecz urządzenie znów wypluło pieniądze. Usłyszał za plecami jakiś raban. Tym razem było ich trzech. Biegli i rozglądali się na

wszystkie strony. Skulił się jeszcze bardziej.

– Nie rób mi tego – szeptał. – Nie teraz. Przyjmij wreszcie te cholerne banknoty.

Szczelina w ostatniej chwili wciągnęła gotówkę. Zabłyśło zielone światelko i automat wyrzucił bilet. Gabriel pochwycił go z ulgą niczym list żelazny, po czym, nie podnosząc głowy, ukrył się w toalecie. Zgodnie z przypuszczeniami była zatłoczona, więc musiał poczekać na swoją kolej. Gdy zwolniła się jedna z kabin, wszedł do środka i przekręcił zamek. Zamierzał odczekać kilka minut i pobiec do pociągu tuż przed odjazdem, żeby nie zdążyli go przyskrzynieć. Zza drzwi dobiegały rozmowy. Skulił się na sedesie, czując na ramionach ciężar strachu próbujący go zdusić, wcisnąć w ziemię. Oddychał głęboko, ale powietrze przeobraziło się w bryłę i nie dawało się wciągnąć w płuca. Zamknął oczy i próbował się uspokoić. Dobrze, że chociaż przekazał wiadomość dla Julii. Będzie wiedziała, co do niej czuje i co...

Nagle coś się zmieniło. W toalecie zaległa cisza. Czyżby wszyscy wyszli? Przykucnął, usiłując coś dostrzec przez szparę pod drzwiami, i omal nie krzyknął ze zgrozy. Zobaczył sześć par czarnych buciorów lśniących jak nocne morze, skierowanych czubkami ku kabynie, w której się znajdował. Nad nimi zaczynały się niebieskie nogawki. Cichutko, bezszelestnie usiadł z powrotem na sedesie, podciągając kolana pod brodę i wciąż żywiąc naiwną nadzieję, że go nie znajdą. Wtedy zaczęli gwałtownie otwierać i zamykać drzwi kolejnych kabin. Trzask, trzask. Trzask, trzask. Chciał, żeby przestali. Chciał się wydostać. To było ponad jego siły. Już miał krzyknąć, lecz trzaski ustały i w szczelinie pod drzwiami pojawiły się czarne buty.

– Dzisiaj nikt nie docenia ciszy. Żyjemy w nieustannej pochwałę hałasu. Skądś znał ten głos.

– Jest pan taki sam jak wszyscy, panie Romero. Powinien pan siedzieć cicho. Ale nie. Wy, dziennikarze, zawsze musicie szemrać, mamrotać kłamstwa, szeptać sobie do ucha swoje wymysły.

Na dźwięk sunącego po drewnie drzwi paznokcia Gabriel skulił się jeszcze bardziej.

– Popęnił pan błąd, rozmawiając z tą dziennikarką. Pańskie słowa były trucizną, która ją zabiła.

– J... ja nic jej nie powiedziałem. Zamieniliśmy tylko parę słów...

– Ciii... Co przed chwilą mówiłem? No właśnie, panie Romero. Powiedział pan już stanowczo za dużo. Teraz musi pan zamilknąć. Na zawsze.

Skrzydło zatrzeszczało, zawiasy jęknęły. Ktoś napierał na klamkę, próbując otworzyć drzwi.

– Tamtej nocy pańskiej żony nie powinno być w samochodzie. Celem był tylko pan.

Wtedy go olśniło, do kogo należy ten głos. Słyszał go w noc wypadku. Kolejny paznokieć zaczął drapać drewno. A po nim następny.

Jeśli tylko ty znasz tajemnicę, jesteś trupem.

Drzwi zaczynały się wyginać. Z jednego z zawiasów wypadł trzpień. Po twarzy Gabriela popłynęły łzy. Niezdolny wykrztusić słowa, tylko żałośnie bełkotał niezrozumiałe prośby o litość. Nagle hałasy zamilkły i rozległ się ten sam głos co przedtem.

– Przyszedłem, żeby znów zacytować panu *Wydrążonych ludzi* Eliota. To na pożegnanie, panie Romero.

A którzy przekroczyli tamten próg

I oczy mając, weszli w drugie Królestwo śmierci

Nie wspomną naszych biednych i gwałtownych dusz

*Wspomną, jeżeli wspomną,
Wydrążonych ludzi
Chochołowych ludzi⁴.*

A potem drzwi wyskoczyły z zawiasów.

³ R. Chandler, *Długie pożegnanie*, przeł. K. Klinger, Warszawa 2003, s. 517.

⁴ T.S. Eliot, dz. cyt., s. 177.

CZĘŚĆ II



*Kłamstwo ma skrzydła i fruwa, a prawda czołga się w ślad
za nim.*

– Miguel de Cervantes, *Don Kichote**

* Powyższego zdania (w oryginale: *La falsedad tiene alas y vuela, y la verdad la sigue arrastrándose*) próżno szukać w dziele Cervantesa. Trudno powiedzieć, czy autor dał się nabrać przypisującym mu je stronom internetowym, czy też bawi się z czytelnikiem – wszak cała niniejsza powieść traktuje o kłamstwach (przyp. tłum.).

7

Julia nudziła się jak mops. Wsparta łokciami o bar bawiła się kieliszkiem, patrząc, jak kostki lodu topnieją i topnieją, aż w końcu znikają.

„Tak samo jest ze snami – pomyślała. – Jezu. Tylko po pijaku stać mnie na takie głębokie refleksje”.

Obejrzała się przez ramię w poszukiwaniu Bei. Zlokalizowała ją od razu – przyjaciółka nadal rządziła na parkiecie otoczona gromadką łaszących się wasali. Im więcej odsłaniała, tym bardziej nieprzystępną odgrywała.

Impreza zapowiadała się nieźle: modna dyskoteka, alkohol bez limitów i mnóstwo fajnych chłopaków, których przedstawiła Julii Bea. Niestety gdy tylko usłyszeli, że ich nowa znajoma studiuje w trybie B, natychmiast zaszła w nich subtelna zmiana – odtąd patrzyli na nią z lekka pogardliwie, jak na kamień szlachetny, który okazał się bezwartościową imitacją. Julia nie mogła tego znieść. Postanowiła zaszyć się przy barze i pić, dopóki nie znienawidzi wszystkich uczestników imprezy. Powoli zbliżała się do tego momentu.

– Cześć. Jesteś sama?

Obok niej zmaterializował się typ tak nijaki, że miała ochotę ziewnąć. By wzbudzić czyjeś zainteresowanie, musiałby chyba się podpalić. Pamiętała, że ich sobie przedstawiono, ale jego imię wyparowało jej z głowy. Po kolejnym kieliszku to samo stałoby się z jego twarzą.

– Tak – odparła wpatrzona w pustkę przed sobą. – I wolałabym, żeby tak zostało.

– Nie bądź taka ważna, dziewczyno z trybu B. Gdyby nie Bea, w ogóle by cię tu nie było i nie miałabyś okazji poznać kogoś takiego jak ja.

Omam nie zakrztusiła się ze śmiechu. Już miała go werbalnie zmasakrować, ale poczuła, że ktoś kładzie jej dłoń na ramieniu.

– Cześć, kochanie. Długo czekałaś?

Obok niej stał wysoki chłopak z włosami o nieokreślonej barwie: ni to ciemny blondyn, ni to jasny szatyn. Oczy miał ciemne i głębokie jak studnia bez dna, a na twarzy – niepewny uśmiech. Garnitur i krawat niespecjalnie do niego pasowały. Nie z racji rozmiaru, tylko dlatego, że nie było mu w nich do twarzy. Wyglądał jak dziecko przebrane za dorosłego.

– Nie przedstawiś mi kolegi? – zapytał.

Była tak zdezorientowana, że nie przyszło jej do głowy, by skłamać.

– To nie kolega. W ogóle go nie znam.

– Nie wiedziałem, że pani jest umówiona. Przepraszam – powiedział nijaki typ.

Zmiana w jego zachowaniu wyraźnie wskazywała na to, że nowo przybyły budzi w nim respekt. Zanim jednak się oddalił, wbił w Julię spojrzenie ostre jak nóż.

– Nie potrzebowałam twojej pomocy, żeby się pozbyć tego palanta – oznajmiła, strząsając z ramion rękę wysokiego chłopaka.

Uniósł ręce w geście poddania.

– W to nie wątpię. Ale nie dlatego podszedłem. Od pewnego czasu cię obserwuję i mam wrażenie, że jesteśmy dwiema najbardziej znudzonymi osobami na tej imprezie.

W miarę słuchania go Julia uświadamiała sobie, że chłopak jej się podoba. Ta rozkoszna nieśmiałość, z jaką spuszczał wzrok, gdy do niej mówił. Bezcelność, z jaką przełamał lody. Fascynujące połączenie łobuzerii i dziecięcego zawstydzenia. By jak najszybciej wyzwolić się spod jego czaru, zamówiła kolejny rum z colą i kiedy tylko go dostała, wypła duszkiem pół szklanki. Potem przeniosła wzrok na chłopaka i stwierdziła, że procenty zrobiły swoje: teraz nienawidziła go równie mocno jak pozostałych uczestników imprezy. No dobrze, może odrobinę mniej.

– Postanowiłem więc złożyć ci uczciwą propozycję. Zrobię wszystko, żeby już iść do domu. Jestem zmęczony, nie podoba mi się muzyka i nie mam ochoty więcej pić. Ale jeśli kumple zobaczą, że wychodzę sam, nie wypuszczą mnie. Będą mnie obejmować, odciągają, nazywać dezerterem. Wiesz, jak to jest. Masz coś przeciwko temu, żeby posłużyć mi za pretekst? Odnoszę wrażenie, że ty też niezbyt dobrze się bawisz. Jeśli wyświadczysz mi tę przysługę, w zamian odwiozę cię do domu.

Zlustrowała go od stóp do głów. Chciała powiedzieć temu zarozumialcowi, gdzie może sobie wsadzić swoją propozycję, ale alkohol pozbawił ją błyskotliwości. Poza tym faktycznie się nudziła, a stopy w szpilkach domagały się wytchnienia.

– Naprawdę bardzo byś mi pomogła, Julio – kontynuował chłopak.
– Skąd wiesz, jak mam na imię?
– Bea nas sobie przedstawiła.
– Hm. Przykro mi, ale ja twojego imienia nie pamiętam.
– Nie szkodzi. Max.
– Bardzo mi miło, Max. A teraz, skoro jesteś tak uprzejmy i pomożesz mi się stąd wyrwać, chodźmy.

Z trudem zwlokła się z hokera i ruszyła przez tłum do wyjścia.

– Ten gość, który się do mnie wdzieczył, czuł przed tobą respekt. Gdy tylko cię zobaczył, mina mu zrzędła – zauważyła, podnosząc głos, by Max ją usłyszał.

– Ha. Nie czuł respektu przede mną, tylko przed miejscem, w którym pracuję.

– Czyli?

– Ministerstwem Prawdy.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, uderzyło w nich zimne powietrze. Cuchnęło śmieciami i tanim żarciem. Teraz centra wszystkich zachodnich miast śmierdziały fast foodami. Kina, teatry i sale koncertowe przekształcono w bary, w których jadło się rękami. W roku 2030 oblizywanie palców stało się atrakcyjniejsze niż słuchanie IX symfonii Beethovena. Zamiast przeżyć kulinarnych – wszystko na jedno kopyto. Julia przyłgnęła do Maxa, by się ogrzać, i poczuła, że chłopak się wzdrygnął.

– Nie rób sobie nadziei – powiedziała. – Interesujesz mnie tylko jako źródło ciepła. Bez wahania wymieniłabym cię na grzejnik.

– Jeszcze nikt mnie nie porównał do grzejnika. Widzę, że wiesz, jak sprawić mężczyźnie przyjemność.

– Przypominam ci, że miałam być tylko pretekstem, który pozwoli ci uciec z imprezy i nie wyjść na mruka.

– Pani Pretekstowa i Pan Grzejnik. Brzmi nieźle. Moglibyśmy zostać parą roku.

– Jak już, to Pretekstówna. A tak przy okazji: tylko mi się wydaje czy ze mną flirtujesz?

– Myślałam, że to oczywiste. Czyżby tak słabo mi szło?

– Widywałam grzejniki, które miały więcej wdzięku niż ty – mruknęła, wyławiając z kieszeni telefon. Ekran informował ją o dwudziestu

nieodebranych połączeniach z nieznanego numeru.

– A więc studiujesz dziennikarstwo z Beą? Moja praca w ministerstwie też ma pewien związek z branżą informacyjną – zauważył Max.

Ale Julia go nie słuchała. W mgnieniu oka przestało jej być do śmiechu. Przeraziło ją tych dwadzieścia nieodebranych połączeń. Trwoga w niej pęczniała i brała we władanie całe ciało.

Wcisnęła „oddzwoń” i czekała. Po dwóch dzwonekach ktoś odebrał.

– Wreszcie! Julio, gdzie jesteś?

– Nie wiem, z kim rozmawiam. Mam dwadzieścia nieodebranych połączeń z tego numeru.

– Tu Alfredo, Alfredo Varona. Twój nowy współpracownik z „Obserwatora Cyfrowego”. Julio, stało się coś strasznego. Twój ojciec...

Poczuła, jak zimne ostrze przeszywa ją na wskroś niczym motyla przybijanego szpilką do tablicy.

– Twój ojciec nie żyje.

Milion dzieci rozsłochało się w jej wnętrzu. Milion lusterek roztrzaskało się w drobny pył. Milion miast spłonęło i obróciło się w popiół.

Samochód Maxa zahamował przed wejściem do Instytutu Medycyny Sądowej. Otrzeźwiona przez adrenalinę i rozpacz Julia wyskoczyła z auta i wbiegła do budynku, nie oglądając się za siebie. W środku wszystko wydawało się posępne – twarze, rozmowy, meble, płyty podłogowe, kolor ścian. Jak gdyby każdy, kto przekracza próg tego gmachu, na zawsze zostawał skażony smutkiem. Albo może to świat stał się smutniejszym miejscem, odkąd zabrakło w nim jej ojca.

Na końcu mrocznego korytarza czekał Varona. Przytuliła się do niego. Zaskoczony zawahał się, nim odwzajemnił uścisk.

– Jak to się stało? – zapytała, czując, jak oczy zachodzą jej łzami i rozmywają obraz.

– Niewiele mi powiedzieli. Wszystko wskazuje na to, że Gabriel... twój ojciec... odebrał sobie życie.

– Co? To niemożliwe!

– Jak wyjdą, wyjaśnię ci to dokładniej.

– Ale... jak to? Mój ojciec nigdy...

– Podobno rzucił się z Wiaduktu.

Odmawiała zrozumienia tych słów, jakby wypowiadał je w nieznanym języku. Jakby nie były przeznaczone dla niej. Myślała, że jeśli nie dopuści do siebie tragedii, ta sobie pójdzie. Ale nie. Ona nie wpadła z wizytą, lecz postanowiła się rozgościć. W głębi korytarza otworzyły się drzwi. W stronę dziewczyny ruszyła grupa mężczyzn.

– Pani Julia Romero? – zapytał facet o pociągłej twarzy i przylizanych żelem czarnych włosach posiwiałych na skroniach. Emanował przyrodzoną elegancją właściwą ptakom drapieżnym. – Bardzo mi przykro z powodu pani ojca. Nazywam się Lucas, jestem lekarzem sądowym, który przeprowadzał autopsję. A to inspektor Valverde z policji, który jako pierwszy przybył na miejsce zdarzenia.

– Czy może mi pan powiedzieć coś więcej? Podobno mój ojciec popełnił samobójstwo, ale przecież to niemożliwe... To musi być pomyłka...

– Ciało znaleziono u stóp Wiaduktu, a obrażenia wskazują na upadek z wysokości. Pierwsza sekcja potwierdziła te przypuszczenia. Czekamy na wyniki drugiej, znacznie dokładniejszej, lecz nie należy się spodziewać dużych rozbieżności. Naprawdę mi przykro.

– Ale... to bez sensu. Ojciec nie miał powodów, by się zabić.

– Autopsja wykazała również wysoką zawartość alkoholu we krwi. Nigdy się nie dowiemy, czy po prostu spadł z Wiaduktu, czy się z niego rzucił.

Julia zorientowała się, że stojący za lekarzem inspektor kręci głową.

– Mogę go zobaczyć? – zapytała.

– Odradzam. Zwłoki są mocno uszkodzone wskutek upadku. Lepiej, żeby zachowała pani w pamięci obraz ojca takiego, jaki był za życia. – Lekarz ujął ją za ramię i poprowadził ku wyjściu. – Proszę się o nic nie martwić. Zajmiemy się całą biurokracją. Niech pani odpoczywa. Czasami los traktuje nas zbyt okrutnie, ale trzeba się podnieść i żyć dalej. Zwłaszcza w pani wieku, gdy ma się przed sobą całe życie.

Przytulił ją zdawkowo, słabo ukrywając fakt, że ów fizyczny kontakt wywołuje w nim dyskomfort, po czym odszedł w głąb korytarza.

– Chodźmy stąd. – Varona ujął ją pod rękę. – To, czego ci teraz trzeba, możesz znaleźć tylko w jednym miejscu: w barze.

Już mieli wyjść, ale zatrzymał ich jakiś głos.

– Chwileczkę, pani Romero.

Inspektor Valverde zbliżył się do nich na kilka kroków i dał jej znak, że chce porozmawiać bez świadków.

– Zaczekam na zewnątrz – powiedział Varona i ruszył ku drzwiom wychodzącym na ulicę.

Inspektor dyskretnie podał Julii wizytówkę.

– Proszę dzwonić, kiedy tylko pani zechce. Na prywatny numer lub do biura.

Wizytówkę wydrukowano konwencjonalną czcionką, ale na odwrocie widniał odręczny napis: „Muszę z panią porozmawiać na osobności”.

– Inspektorze, idzie pan? – zawołał lekarz.

– Muszę iść – rzekł inspektor, patrząc Julii w oczy o parę sekund dłużej, niż wymagała tego sytuacja.

Varona tymczasem ukrył się w krzakach za rogiem. Wyjął z paczki ostatniego papierosa, jakby wydobywał klejnot. Rozejrzał się, by mieć pewność, że nikt go nie widzi, i zapalił. Od roku 2025 palenie tytoniu było bezwzględnie zakazane. Każdy, kogo na tym przyłapano, musiał się liczyć z wysoką grzywną, a przemytnikom groziło więzienie. Delegalizacja zaowocowała gigantyczną podwyżką cen na czarnym rynku: w 2030 roku jeden papieros wart był trzydzieści euro. Varona rozkoszował się gorzkim posmakiem pozostawianym w gardle przez tytoń i uczuciem triumfu, gdy wypuszczał dym ustami i nosem niczym smok pochrapujący po zrównaniu z ziemią kilku miast. Nagle zobaczył wychodzącą tylnymi drzwiami instytutu postać, która ewidentnie się wymykała i próbowała zniknąć w mroku. Rozpoznał ją. Był to facet z Ministerstwa Prawdy.

8

Poeta kilkakrotnie zastukał w drzwi knykciami. Sekretarka Wielkiego Brata już go powiadomiła, że na niego czekają, ale należał do tych, którzy uważają, że lepiej przesadzić z kulturą niż wyjść na gburę. Dopiero gdy usłyszał: „Proszę”, otworzył drewniane drzwi. Zajmujący całe najwyższe piętro gmachu Ministerstwa Prawdy gabinet był w istocie wielką salą wyłożoną boazerią, z mięciutkimi jak gąbka wykładzinami i dostojnymi fotelami obitymi skórą. Ilekroć Poeta wkraczał w te progi, wyobraźnia podsuwała mu obraz wnętrza gigantycznej trumny. W głębi, za swoim olbrzymim biurkiem, siedział Doradca Generalny, Wielki Brat we własnej osobie. Oczywiście gdyby usłyszał, że Poeta tak go nazywa, ten ostatni straciłby nie tylko pracę.

– Usiądź, proszę, i zaczekaj chwilkę. Zaraz porozmawiamy – rzekł Doradca wpatrzony w blat biurka niczym generał przyglądający się mapie operacji wojennych. W rzeczywistości był to ogromny ekran dotykowy, za pomocą którego kontrolował wszystkie wydarzenia, nie tylko w ministerstwie. Miał podgląd kanałów telewizyjnych, mediów społecznościowych, serwisów informacyjnych i wszystkiego, co przesyłały tysiące kamer zainstalowanych przez Ministerstwo Prawdy w biurach, domach, hotelach i każdym innym miejscu, które mogło interesować Doradcę Generalnego. Wszędzie. Dlatego właśnie nazywano go Wielkim Bratem. – W radzie ministrów można usłyszeć więcej głupot niż w przedszkolu. Gdyby nie my, nie wiem, co by się porobiło z tym społeczeństwem. Doprawdy, do czego dziś potrzebny jest minister? Do

inaugurowania wydarzeń, przecinania wstęg, uśmiechania się do zdjęć i tyle. Czego można się spodziewać po kimś, kto jest zależny od ludzi głosujących co cztery lata? Wyobrażasz sobie coś głupszego?

– Powiadają, że większość zawsze ma rację – odparł ironicznie Poeta, sadowiając się w skórzanym fotelu, który stęknął pod jego ciężarem.

– Och, daj spokój. W to mogą wierzyć tylko oni – rzekł Wielki Brat, wskazując jedno z ogromnych okien. – Nieszczęśnicy tłoczący się tam, w dole. Ale i ty, i ja wiemy, że to nieprawda. Na świecie jest mnóstwo ludzi, którzy wolą coca-colę od wina Rioja. Czy to oznacza, że coca-cola jest lepsza od wina Rioja? Nie. Znaczą jedynie, że masami można manipulować. A jeśli pozostawi się je samym sobie, mogą doprowadzić społeczeństwo do upadku. Ale my im na to nie pozwolimy. Prawda?

Poeta wiedział, że pytanie jest retoryczne, i ani myślał na nie odpowiadać. Nie pierwszy raz odwiedzał ten gabinet.

– Spójrz na tych staruszków, którzy codziennie manifestują przed naszym budynkiem. Straszni z nich natręci. Protesty zaczęły się tutaj, ale od tamtej pory rozprzestrzeniły się na trzy kolejne ministerstwa, siedziby banków i środków przekazu. Kto wie, dokąd jeszcze dotrą. Niby wciąż jest ich garstka, ale coraz większa. Kielkuje mi w głowie pomysł na pozbycie się tych protestów raz na zawsze, żeby ich nie oglądać, ilekroć przychodzę do pracy. Ktoś powinien się zatroszczyć o tych biedaków, żeby nie musieli spędzać całych dni na ulicy i marznąć. A ty, Poeto, lubisz staruszków?

– Nieszczególnie.

– Mnie brzydzą. Są tacy wåtli, cuchną moczem i tak nieznośnie powłóczą nogami. Nie wiem, jak mogliśmy pozwolić, żeby się posunęli tak daleko. Ale nie dlatego tu jesteś. Doniesiono mi, że nasz problem z panem Gabrielem Romero rozwiązał się w sposób drastyczny – kontynuował Doradca Generalny.

- Codziennie jakiś pijak spada z mostu.
 - Nie, nie codziennie.
 - Szkoda, że mosty zatraciły ten romantyczny wymiar i teraz służą tylko do pokonywania przeszkód w terenie.
 - Przyznaję, że wena stanowi jedną z twoich największych cnót i obiekt mojej zazdrości. Dlaczego jednak pozbyliście się go właśnie teraz?
 - Pan Romero nawet po śmierci żony nie umiał utrzymać języka za zębami. To wiedzieliśmy od dawna. Niektórzy nie rozumieją nawet najbardziej wyrazistych sygnałów. Problem w tym, że znalazł kogoś, kto go słuchał.
 - Dziennikarkę, którą przyprawileś o atak serca. Rozumiem twoją logikę. Jeśli nie podoba ci się program w radiu, nie niszczysz tranzystorów, tylko stację. A jego córka? Narobi nam problemów? Podobno chce iść w ślady swego kłopotliwego tatusia i zostać dziennikarką.
 - Bez obaw. Wszystko jest pod kontrolą. Nasi ludzie trzymają się tak blisko niej, że praktycznie można ich uznać za jej narządy wewnętrzne.
 - Wiesz co? Cieszę się, że mam już z głowy tego Romero. Chociaż mimo nabazgrania o nas mnóstwa artykułów nigdy nie stanowił prawdziwego zagrożenia, był męczący jak włókienka mięsa, które wlało ci między zęby i którego nijak nie możesz się pozbyć.
 - Wystarczyło porządne szczotkowanie.
 - Nawiasem mówiąc, czego się napijesz? Kawa, coca-cola?
 - Lepiej rioja.
- Roześmiali się, ukazując idealne, bielutkie uzębienia.

9

Potrzebujesz porządnego śniadania.

Ledwie przekroczyła próg, niczym neon na tle nocnego nieba rozbłysło w jej głowie pytanie: „Co ja tu w ogóle robię?”. Alfredo Varona zabrał ją do Rozdroża – baru należącego do sieci lokali stylizowanych na średniowieczne tawerny i specjalizujących się w sprzedawaniu studentom taniego alkoholu w dużych naczyniach. Kelnerzy byli groteskowo przebrani za rycerzy w piankowych zbrojach, na ścianie wisiły plastikowe łańcuchy i szkle, a w herbie sieć miała idiotycznego pijanego smoka stojącego na tylnych łapach i trzymającego kufel piwa. Teraz, nad ranem, lokal świecił pustkami. Stoły i krzesła zbiły się w ciasną gromadkę w niespokojnym oczekiwaniu na nowy dzień i kolejne pijackie żniwa. Zapach środków czyszczących był tak ostry, że Julii łzawiły oczy. Jeśli Varona zamierzał ją podnieść na duchu, to źle wybrał miejsce.

– Słuchaj, Alfredo. Wiem, co próbujesz zrobić, i jestem ci wdzięczna, ale nie mam ochoty przebywać w tym miejscu.

– Chociaż o tym nie wiesz, to właśnie takie miejsce jest ci teraz potrzebne. I mnie też. Podają tu najbardziej pożywne śniadania w całym Madrycie. Poza tym barman to mój kumpel.

Poczuła ukłucie, jakby ktoś dźgnął ją szpilką w serce, a za gardło złapało ją poczucie nieodwracalności. Jej ojciec odszedł na zawsze.

– Wierzysz... wierzysz w to, że tata odebrał sobie życie? – zagadnęła.

– Jeśli pytasz o człowieka, którego znałem przed dwudziestu laty, bez wahania odpowiadam, że nie. Ale on był już kimś innym. Kiedy życie traktuje cię tak podle, jak potraktowało jego, trudno zgadnąć, co może ci przyjść do głowy. Naprawdę nie wiem, Julio.

– Dlaczego porzucił dziennikarstwo? Z powodu wypadku?

– Nie tylko, choć pewnie między innymi. W tamtym okresie napisał kilka artykułów o Ministerstwie Prawdy, które wywołały sporo szumu. Dostało się wielu ważnym osobom, które jeździły służbowymi limuzynami i piastowały wysokie stanowiska. Aż nagle się okazało, że Gabriel wykorzystał w swoich artykułach fałszywe informacje. Wszyscy się na niego rzucili: rząd, koledzy z pracy, media społecznościowe. Słono za to zapłacił. Wyleciał z gazety i cała branża traktowała go jak trędowatego.

– A co było w tych artykułach?

– Nie pamiętam dokładnie. Coś o manipulacjach wyborczych. Wiem, że miał informatora w Ministerstwie Prawdy. Potem powiedzieli, że wszystko, czego się od niego dowiedział, było kłamstwem, ale mnie osobiście nie przekonała ta wersja. Moim zdaniem zaszło tam coś dziwnego. Twój ojciec nigdy nie opublikowałby informacji bez ich sprawdzenia. Nigdy. Tego akurat jestem pewien. Potem wydarzyła się ta sprawa z twoją mamą. Dwa ciężkie ciosy jeden po drugim. Każdego by to złamało.

W tym momencie barman włączył ogromny telewizor umieszczony w kącie lokalu. Na ekranie pojawiła się grupa manifestujących emerytów.

– Powinniśmy się wstydzić! Do czego to doszło, żeby o nasze prawa musieli walczyć emeryci! Jasne, że tak! Jestem z wami! Wszyscy powinniśmy tam być!

Julia upiła łyk kawy, nie zwracając uwagi na okrzyki barmana. Poczowała, jak pokrzepiające ciepło rozlewa się po jej ciele.

– Kiedy ostatnio widziałam ojca, pokłóciliśmy się.

– Daj spokój. – Varona objął ją ramieniem. – Gdyby ojcowie odbierali sobie życie, ilekroć pokłócili się z córkami, z tego miasta zniknęliby wszyscy mężczyźni. Nie próbuj się o nic obwiniać.

– Ale może ta kłótnia dała mu do myślenia... Może sprawiła, że...

– Dość. Nie zadręczaj się. Nie wiemy, dlaczego twój ojciec to zrobił. Nie wiemy nawet, co naprawdę się wydarzyło.

– Sugerujesz się tym, co napisał na wizytówce ten policjant?

– Między innymi.

– Jak myślisz: o czym on chce ze mną rozmawiać?

– Przyprowadziłem cię tu właśnie z zamiarem przeanalizowania tego, co zaszło w Instytucie Medycyny Sądowej. Bo wydarzyły się tam dziwne rzeczy. Ale nie rozmawiajmy o tym jak córka i były współpracownik twego ojca, tylko jak dwoje dziennikarzy, zgoda?

Po chwili namysłu skinęła głową. Nie miała ochoty przebywać dłużej w tym miejscu cuchnącym wybielaczem i stęchłym piwem, ale alternatywą był powrót do pustego domu, na który nie czuła się gotowa.

– Żeby jasno myśleć, muszę się napić – oświadczył Varona.

Jak na zawołanie za ladą naprzeciw nich pojawił się barman – zwalisty czarnoskóry facet z krótko ostrzyżoną głową. Zbroja rycerska była na niego przykrótka, a do tego wydawała się sflaczała jak rozmoczony biszkopt.

– Alfredo, nie chcę tu kłopotów.

– Chicho, to mi się w tobie podoba. Zawsze powiesz mi coś miłego. Dlatego tak lubię ten bar.

– Co ci podać?

– Whisky, jak zawsze.

– Wiesz, że o tej porze podajemy tylko tradycyjne śniadania. Komputer kasy fiskalnej nie pozwala nam sprzedawać napojów alkoholowych przed

trzynastą.

– Więc poproszę kawę po irlandzku.

– W porządku. Jaką sobie życzysz?

– Bez śmietanki i bez kawy.

– Alfredo, ty skurczy...

– Kasy są dla ludzi, a nie ludzie dla kas.

I obaj roześmiali się porozumiewawczo.

– Co dla ciebie? – zwrócił się do Julii Alfredo.

– Kawa z mlekiem. Z kawą i mlekiem, jeśli mogę prosić.

Nie przestając się uśmiechać, barman poszedł przygotowywać zamówienie.

– Dziennikarka, która nie pije? To kolejny znak, że zbliża się koniec świata – jęknął Varona.

– Owszem, piję, ale nie na śniadanie.

– Śniadanie to najważniejsza napitka dnia.

Barman przyniósł im zamówienie: kawę z mlekiem i whisky. Varona podniósł szklaneczkę do ust z gorliwością dewota całującego relikwię.

– Wiadomość na wizytówce sugeruje, że za śmiercią twojego ojca kryje się coś więcej. Pierwsza autopsja właściwie wykazała tylko śmierć, a nie jej przyczyny. Ten inspektor...

– Valverde – odpowiedziała.

– Valverde, jeśli dobrze zrozumiałem, przybył na miejsce zdarzenia pierwszy. Może zobaczył coś, czego nie napisał w raporcie.

– Na przykład?

Varona pociągnął łyk whisky.

– Jeśli nie masz odwagi tego powiedzieć, ja to zrobię. Coś, co mogłoby świadczyć o tym, że twojego ojca zamordowano.

Zapadła niezręczna cisza.

– Co mi radzisz?

– Pogadaj z tym inspektorem i dowiedz się, co chce ci powiedzieć. Jeśli powie coś konkretnego, dyskretnie badaj to dalej. Jeśli nie, zapomnij o tym i żyj swoim życiem. Chicho, rycerzu w smętnej zbroi, potrzebuję twojej pomocy, by się rozprawić ze smokiem pragnienia! W tej szklance jest za dużo powietrza!

Chicho podszedł do nich z butelką whisky i napełnił szkło.

– Zwolnią mnie przez ciebie – mruknął.

– Nie musisz mi dziękować, że pozbędziesz się tego durnego stroju.

– Ta kolejka jest na koszt firmy.

Po tych słowach barman oddalił się z uśmiechem, który chyba nigdy nie schodził mu z ust.

– Dziwne, uświadomiłam sobie, że prawie nie znałam własnego ojca – zauważyła Julia. – Nie wiem, jakie były jego marzenia, lęki, ambicje. Tak to bywa z rodziną. Najmniej wiemy o ludziach, których najbardziej kochamy.

– On kochał ciebie, a ty jego. To wystarczy.

– Niby tak, ale chciałabym móc mu powiedzieć...

– Śmierć nie lubi pożegnań, więc zawsze zostawia nas z niewypowiedzianymi słowami. Kochałaś ojca, a on o tym wiedział. Teraz powinnaś żyć tak, żeby mógł być z ciebie dumny. A wracając do tego, co się wydarzyło w instytucie: kiedy stałem na zewnątrz, widziałem, jak wychodzi stamtąd facet, którego znam. Facet z Ministerstwa Prawdy. Tego samego, o którym pisał twój ojciec.

– I co to twoim zdaniem oznacza?

– Nie wiem, ale coś dziwnego. Najpierw ta sprawa z Valverdem, a potem to. I nie są to jedyne dziwne rzeczy, które się tam wydarzyły. Nie wiem, czy zauważyłaś...

– Na Wiadukcie od lat są bariery zapobiegające samobójstwom, wysokie na... czekaj, sprawdzę na telefonie... dwa metry i dziesięć centymetrów. Jeśli autopsja wykaże, że w chwili śmierci ojciec był pijany, to jakim cudem wdrapał się na barierę i skoczył?

– Będzie z ciebie świetna dziennikarka.

10

Drzwi mieszkania, które dzieliła z ojcem, przypominały zaciśnięte usta i zmarszczone brwi dziecka, które obiecuje sobie, że już nigdy się nie odezwie. Julia wzięła głęboki oddech i zanurzyła się w tej straszliwej próżni, która czekała na nią w środku. Gęstej, ciężkiej, przytłaczającej. Próżni, która pozostawia po sobie to, co nieodwracalne i nienaprawialne. Próżni, która nigdy nie zniknie, choćbyś ze wszystkich sił starał się ją czymś wypełnić. Pozostałości trenu wleczonemu za sobą przez śmierć. Julia weszła do domu, wstrzymując oddech, jakby nurkowała w oceanie smutku.

Wszystko wyglądało jak przedtem: stół w salonie, wstrętne zasłony w niemodne wzory, nieodkurzony dywan... A jednak w rzeczywistości wszystko zmieniło się na zawsze. Chodziła po mieszkaniu, jakby była tu obca. Cichutko, niemal z pietyzmem. Nogi zaprowadziły ją do pokoju ojca. W materacu wciąż widniało zagłębienie utworzone przez jego ciało na przestrzeni lat, jakby łóżko czekało na powrót właściciela. Poczowała ucisk w gardle i starała się powstrzymać łzy, bo wiedziała, że najgorsze dopiero nadejdzie: wtedy, gdy cały ból minie, a ona znów będzie się śmiać i bawić, być może nawet zazna prawdziwego szczęścia. Kiedy postać ojca odejdzie w niepamięć. Kiedy jego rysy się rozplyną, a jego wspomnienie będzie jedynie króciutkim ukłuciem bólu niczym zła myśl, którą natychmiast od siebie odsuwamy. Przytuliła pamięć o ojcu jak ktoś, kto obejmuje kolumnę dymu, nim rozwieje ją czas. Wspominała dotyk jego szorstkich dłoni;

pewność, jaką czuła, gdy trzymała go za rękę. Niezachwianą, całkowitą pewność, której miała już nigdy nie zaznać.

Otworzyła szafę i zobaczyła ojcowskie garnitury wiszące bezużytecznie jak flagi bez ojczyzny, jak porzucone młodzieńcze marzenia. Weszła do środka, między marynarki i koszule, by ostatni raz poczuć jego zapach, dotyk jego ubrania na skórze, ostatnią pożegnalną pieśczętę. Wtedy łzy popłynęły jej po policzkach, piękne i próżne niczym spadające gwiazdy.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek do drzwi. Wolałaby zostać w bezpiecznej szafie i dalej wspominać ojca, ale... „Życie zawsze nas znajdzie”, pomyślała. Natrętny, nieprzyjemny dźwięk zmusił ją do opuszczenia kryjówki.

Przed otwarciem drzwi wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że po drugiej stronie czekają problemy.

Niemal całe pole widzenia przysłoniła jej zwalista sylwetka inspektora Valverdego.

– Przepraszam, że niepokoję, ale muszę z panią pilnie pomówić.

Odsunęła się na bok, by wpuścić go do domu. Problemy miał wypisane na twarzy. Zatraskany uśmiech, a w oczach lęk. Pożałowała, że mu otworzyła. Że wpuściła go do swojego życia.

– Proszę usiąść. Napije się pan czegoś? Herbaty, kawy?

– Dziękuję. – Pokręcił głową. – Mam niewiele czasu, ale muszę pani powiedzieć coś ważnego. – Jego palce splatały się i rozplatały nerwowo niczym węże w rytuale godowym. – Moim zdaniem wczoraj w instytucie nie powiedziano pani całej prawdy. Pewne szczegóły śmierci pani ojca nie są do końca jasne, nawet jeśli lekarze sądowi starają się, hmm... wytłumaczyć je w taki czy inny sposób. Zacznę jednak od tego, że to nie ja pierwszy znalazłem się w miejscu zdarzenia. Kiedy otrzymałem wiadomość o możliwym samobójstwie i pojechałem pod Wiadukt, byli tam już ludzie

z Ministerstwa Prawdy. Ogrodzili miejsce wypadku i rozkazywali wszystkim, jakby to oni prowadzili sprawę. Pierwszy raz spotkałem się z czymś takim, a pracuję w policji od dwudziestu lat.

Nieudolnie starała się ukryć zaskoczenie.

– Nie sądziłam, że państwo interesuje się samobójstwami. Wyjaśnili to jakoś?

– Skąd. Oni nie mają w zwyczaju nikomu niczego wyjaśniać. Powiedzieli coś w stylu: „Akurat przejeżdżaliśmy niedaleko Wiaduktu i zobaczyliśmy, że ktoś spada”. Ale nie to jest najważniejsze. Chodzi o to, co odkryłem w związku ze zwłokami pani ojca.

Wzdrygnęła się. „W związku ze zwłokami pani ojca”. Nie przywykła jeszcze do tego, że od tej pory śmierć będzie nierozzerwalnie związana z jej nazwiskiem – jak akcent z przedostatnią sylabą, a ból ze łzami.

– Pierwsze, na co zwróciłem uwagę, to miejsce, w którym leżało ciało. Zaledwie metr od filarów Wiaduktu. W przypadku samobójstwa to nietypowe. Pozwoli pani, że wyjaśnię: samobójca na ogół skacze, a nie rzuca się pionowo w dół. To sprawia, że ląduje w pewnej odległości od podstawy mostu. Z pani ojcem było inaczej.

– Lekarz sądowy mówił, że ojciec był pijany. Może po prostu spadł. To by wszystko wyjaśniało.

– Nie wszystko. Ja też pomyślałem, że spadł przypadkiem, więc dokładnie obejrzałem ciało. I wie pani co? Przedramiona były całe.

Julia zrobiła wielkie oczy.

– Kiedy ktoś spada w przepaść, wszystko jedno, czy mamy do czynienia z samobójstwem, czy z wypadkiem, instynktownie zasłania twarz rękami, próbując ją chronić. – Inspektor skrzyżował dłonie przed twarzą. – Przedramiona pani ojca nie mają obrażeń wywołanych uderzeniem

o ziemię. Może to oznaczać dwie rzeczy: albo był nieprzytomny, kiedy spadał, albo...

– Albo nie mógł się zasłonić rękami, bo były związane – dopowiedziała z narastającym zdenerwowaniem Julia.

– To samo pomyślałem. Dlatego dokładniej przyjrzałem się przegubom dłoni i dostrzegłem czerwone otarcia na całej ich szerokości. Otarcia po więzach, które w tajemniczy sposób pominięto podczas pierwszej autopsji. Mam poważne obawy, że to samo stanie się podczas drugiej.

Julia wstała i zaczęła przemierzać salon w tę i z powrotem, poruszając się niczym wahadło Newtona.

– To by znaczyło, że ojca zamordowano. Myśli pan...?

– Nic nie myślę. Jeśli chodzi o Ministerstwo Prawdy, jestem ślepy i głuchy.

– Ale policja będzie to badać, prawda? W końcu mówimy o morderstwie.

– Cóż... Opowiedziałem pani to wszystko, bo uważam, że córka ma prawo wiedzieć, jak zginął jej ojciec. Jeśli się dowiedzą, że panią odwiedziłem, dadzą mi popalić. Nie, nie będzie żadnego śledztwa. Moi zwierzchnicy uznali wyniki autopsji i zamknęli sprawę. Samobójstwo i kropka.

– Ale przecież widział pan ciało i ma dowody na to, że było inaczej.

– Radzę mnie posłuchać. – Inspektor wstał i ruszył w stronę drzwi. – Ta sprawa śmierdzi. A rzeczy śmierdzą po to, żebyśmy się od nich odsuwali. Proszę się zadowolić świadomością, że ojciec nie zostawił pani samej z własnej woli. Ktoś mu pomógł.

– Mam siedzieć z założonymi rękami, wiedząc, że zabito mi ojca? To chce mi pan powiedzieć?

– To najlepsza rada, jaką dostała pani w życiu. Nie wiem, w co się wplątał pani ojciec, ale proszę tego nie ruszać. Na pani miejscu opowiedziałbym o sprawie jego dawnym przyjaciołom z gazety. Niech oni się tym zajmą. Dziennikarze robią dużo hałasu, dzięki czemu szczury uciekają. Ale proszę im nie dawać mojego numeru. Nie chcę, żeby któreś nocy ktoś mi pokazał widok z Wiaduktu. Mnie albo pani.

– Ale przecież widział pan ślady na nadgars...

– Nic nie widziałem, nic nie wiem ani nic pani nie powiedziałem. Rozumiemy się? W ogóle mnie tu nie było.

Nim wyszedł, obserwował ulicę przez szybę w drzwiach. Musiał się upewnić, że nikt go nie śledzi. Nie zauważył nikogo siedzącego beczynn timer w zaparkowanym aucie, podejrzenie wolnych zamiataczy ulic ani przechodniów, którzy przystawaliby przypadkiem właśnie przy tej bramie, by zawiązać sznurowadła. Na zewnątrz było niemal pusto. Uspokojony wyszedł z budynku, nie przestając się rozglądać na wszystkie strony. I wtedy ją zobaczył. Umieszczona wysoko na rogu bez mrugnięcia okiem obserwowała go kamera monitoringu. On też spojrział prosto w jej obiektyw. Takich kamer w mieście były tysiące. Służyły do kontroli ruchu ulicznego. Mimo to, gdy się odwracał, poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku. A to zdarzało się wyłącznie wtedy, gdy ktoś go obserwował.

11

Problemy. Varona z pewnością je miał. W szczególności z utrzymaniem pionowej pozycji. Gdy dotarł do redakcji „Obserwatora Cyfrowego”, osunął się na krzesło z gestem, który bardziej przypominał rezygnację niż gotowość do przystąpienia do pracy. Młodszy koledzy zerkali na niego z dezaprobatą, lecz nie ośmielili się otworzyć ust.

– Czego się gapicie? Pewnie nawet nie wiecie, co mi dolega. To się nazywa kac. Przypomina poczucie winy po tym, jak dobrze się bawiliśmy, robiąc coś złego. Chociaż pewnie i tak nie wiecie, o co chodzi. No co tak siedzicie? Idźcie do baru, tematy same do was nie przyjdą. Trzeba ich poszukać, a bar jest na to najlepszym miejscem!

Młodzi dziennikarze wrócili do swoich zadań, ignorując go, jakby był prorokiem obwieszczającym pośrodku ulicy koniec świata.

– Jasne, jasne. Gapcie się w te ekrany. Chociaż całkiem możliwe, że to one gapią się na was. Chcą was zahipnotyzować, żebyście tańczyli tak, jak wam zagrają. Wpatrujcie się w nie uważnie, a jak doliczę do trzech, ty zmienisz się w psa, a ty w kurę. – Varona zaczął szczekać i gdakać, a oni z dziwnym zażenowaniem ukryli się za monitorami.

– To najciekawsza rzecz, jaką od ciebie usłyszałem, odkąd tu pracujesz – rzucił karcącym tonem Sánchez-Bravo, opierając się o biurko Varony.

– Jedyne naczelnym twojego formatu potrafi docenić wielkie idee – odparł Varona i dorzucił parę szczeknięć.

– Wiem, że rodziny niektórych barmanów bez pomocy twojej wątroby nie przeżyłyby do pierwszego i gdybym cię zwolnił, miałbym je na sumieniu, ale nie przeciągaj struny, Varona. Nie przeciągaj struny. O jedenastej Ministerstwo Prawdy organizuje konferencję prasową. Jak zawsze wysłuchasz jej na streamie i napiszesz krótki tekst z najważniejszymi informacjami. Potem pójdziesz do domu i zamkniesz dzina z powrotem w butelce, zgoda?

Varona włączył komputer, wspominając czasy, kiedy dziennikarze śledzili konferencje prasowe rządu na żywo, a nie przez internet. Odkąd jednak zabroniono im zadawać pytania, nie było sensu się fatygować na miejsce. Wystarczyło włączyć komputer i słuchać. Zajrzał do skrzynki pocztowej i znalazł kilka reklam środków na kaca. „Skąd oni, u licha, mogą to wiedzieć? – zastanawiał się. – Te przekłete urządzenia coraz bardziej mnie przerażają!”

– Przyszedł mi do głowy pomysł na sprawdzanie autentyczności informacji – powiedział do Sancheza-Bravo. Ten przewrócił oczami, odwrócił się i ruszył do swojego gabinetu. – Wszyscy wiedzą, że dzieci i pijacy zawsze mówią prawdę – kontynuował mimo to Varona. – Proponuję więc zatrudnić w redakcji wiecznie pijane dziecko i przed publikacją czytać mu wszystkie wiadomości. Wtedy będziemy wiedzieć, które są prawdziwe, a które nie. Musisz przyznać, że to genialny pomysł. Innowacyjny, niezależny od najnowszych technologii. Zaproponuj go swoim zwierzchnikom. Jeśli chcesz, możesz powiedzieć, że sam to wymyśliłeś.

Jeden z młodszych kolegów mimowolnie się uśmiechnął. „No proszę – pomyślał Varona. – Nadzieja wciąż się tli”.

– Dam ci radę – rzekł Sánchez-Bravo, nie odwracając się i nie przestając się oddalać. – Lepiej zrobisz, jeśli postarasz się mnie nie wkurzać. Ktoś twojego pokroju nie powinien szukać problemów.

– A czego mam szukać? Jestem dziennikarzem. Moja praca polega na szukaniu problemów.

„Dopóki nie stracę jej przez pijaństwo albo nie zostanę otruty – pomyślał. – Ciekawe, co będzie pierwsze”.

Kliknął w link wirtualnej sali konferencyjnej, popijając czwartą tego ranka kawę z automatu. Musiał wytrzeźwieć, zanim wysłucha kolejnej porcji rządowej propagandy.

Po zwyczajowym wstępie minister prawdy przystąpił do prezentacji najnowszego projektu. Gdy skończył, Varona pociągnął łyk swojej cykuty z kofeiną i przesunął kursor, by jeszcze raz odsłuchać nagranie. Musiał się upewnić.

Chcemy państwu przedstawić w możliwym skrócie projekt ustawy o godnej starości. Statystyki wskazują, że duży odsetek starszych obywateli, którzy całe życie pracowali, żyje samotnie, a co więcej, samotnie umiera. Aby temu zapobiec, w odpowiedzi na rosnące zapotrzebowanie społeczne rząd zobowiązuje się do utworzenia na terenie całego kraju sieci rezydencji o wysokim standardzie mieszkalnym i sanitarnym, w których nasi emeryci będą mogli spędzić ostatnie lata w towarzystwie i otrzymać zasłużoną specjalistyczną opiekę. Kto będzie mógł skorzystać z luksusowych domów seniora? Każdy, kto przekroczy wiek emerytalny wynoszący obecnie siedemdziesiąt lat. Oczywiście pobyt będzie bezpłatny, a o wszystkie potrzeby emerytów zadba państwo. Oznacza to konieczność obniżenia świadczeń emerytalnych, których część

przeznaczona zostanie na sfinansowanie rezydencji. Za wypłatę pensjonariuszom pozostałej części środków odpowiadać będzie administracja domów. Pobyt będzie całkowicie dobrowolny z wyjątkiem przypadków, w których emeryt cierpi na jakąś chorobę lub dolegliwość zdiagnozowaną przez właściwego specjalistę...

Przy drugim odsłuchaniu słowa ministra nie zmieniły się ani na jotę. Wzburzony Varona energicznie wkroczył do gabinetu Sancheza-Bravo, nie zadając sobie trudu pukania.

– Widziałeś, co te sukinsyny chcą zrobić?

Redaktor naczelny ze znużoną miną odłożył na biurko okulary do czytania i wygodnie rozsiadł się w fotelu, by rozkoszować się przedstawieniem.

– Kto taki?

– System, rząd, Ministerstwo Prawdy... Chcą zamknąć usta emerytom, zamykając ich w domach starców.

– Domyślam się, że minister użył nieco innych słów. Nie powiedział: „Zamkniemy emerytów”.

– Och, daj spokój. Dobrze wiesz, jak to działa. Jeśli chcesz, żeby ludzie jedli kamienie, najpierw oblewasz je czekoladą, a potem zawijasz w sreberka i mówisz, że to cukierki. Wyciągają z rękawa projekt ustawy i mają czelność nazwać go „Ustawą o godnej starości” dokładnie wtedy, kiedy emeryci w całym kraju protestują przeciwko systemowi. Ciekawy zbieg okoliczności, prawda?

– Nie widzę związku między jednym a drugim. O ile dobrze słyszałem, minister powiedział, że zamieszkanie w takiej rezydencji będzie dobrowolne.

– Z wyjątkiem osób cierpiących na jakąś chorobę lub dolegliwość. Znasz wiele osób po siedemdziesiątce, których nic nie boli?

– Przez ten alkohol roisz sobie niestworzone rzeczy.

– Roję sobie? Nie, te niestworzone rzeczy rodzą się w przytulnych biurach wysokich urzędników. A rolą dziennikarzy, o czym być może zapomnieliś, jest demaskować ich knowania. Naprawdę tego nie dostrzegasz? Przecież to jasne jak słońce. Jak na przykład wytłumaczysz to, że chcą im odebrać świadczenia emerytalne? Wiem, co zaraz powiesz: że z tych pieniędzy sfinansują rezydencje i pokryją wszystkie koszty życia. Doskonale. Zamknijmy emerytów w domach starców, żeby nam więcej nie przeszkadzali swoimi demonstracjami, i każmy im za to zapłacić. Mało tego! Chcą ich mieć pod kontrolą. Wiedzą, że bez niezależności ekonomicznej nie istnieje żadna inna niezależność. Powtarzam ci, że to śmierdzi. Musimy zbadać tę sprawę. Jestem pewien, że kryje się za tym grubsza afera.

Sánchez-Bravo ze stoickim spokojem zaczął masować nasadę nosa, jakby próbował uzbroić się w cierpliwość, nim zacznie tłumaczyć dziecku po raz piąty to samo.

– Miałeś tylko obejrzeć nudną konferencję prasową i napisać nudną notatkę z najmniej nudnymi deklaracjami ministra. Nic więcej. A ty wpadasz bez pukania do mojego biura, żeby mi opowiedzieć o swoich najnowszych urojeniach dotyczących ni mniej, ni więcej, tylko Ministerstwa Prawdy.

– Czy my przypadkiem nie jesteśmy serwisem informacyjnym? Czy to nie tu publikuje się wiadomości?

– Masz szczęście, że te urojenia pozostały w czterech ścianach. I radzę ci nie wynosić ich na zewnątrz. Wolałbym myśleć, że nawet przy swoim skrajnym debilizmie nauczyłeś się czegoś z tego, co spotkało Romero.

Varona struchlał.

– Co ty opowiadasz? Według oficjalnej wersji popełnił samobójstwo. Wiesz coś więcej?

– Wyjaśnię ci to powoli, bo jesteś słaby na umyśle. Jeśli zadrzesz z Ministerstwem Prawdy...

Sánchez-Bravo wystawił w dół dwa palce na kształt nóg człowieka i zepchnął je drugą dłonią ze skraju biurka, wydając gwizd imitujący spadającą bombę.

– Takie ochlapusy jak Romero i ty mają tendencję do spadania z mostów – powiedział. – Wyświadczy sobie przysługę i zdejmij ten strój uczciwego dziennikarza. Jest na ciebie za duży. Napisz notatkę i niech będzie tak nudna, jak to tylko możliwe. Potem idź do baru i pij, bo jedynie to potrafisz robić, jak należy. I żeby mi to był ostatni raz, kiedy wchodzisz do tego gabinetu bez pukania. A teraz zejź mi z oczu.

12

Zamordowany. „Mój ojciec został zamordowany”. Powtarzała to niemal z ulgą. Słowa inspektora Valverdego nie pozostawiały cienia wątpliwości, a ona w swoim egoizmie potrafiła myśleć tylko o sobie. O tym, że śmierć ojca nie miała związku z ich ostatnią kłótnią. Przez moment czuła euforię, że uwolniła się od tego brzemienia, ale zaraz potem rzeczywistość zdzieliła ją obuchem w twarz. Ojca zamordowano i nikt nie zamierzał ruszyć palcem w sprawie znalezienia winnego lub winnych. Tu też Valverde postawił sprawę jasno. Gdyby jednak zgodnie z jego sugestią Julia poszła z tym do dawnych kumpli ojca, nie potraktowaliby jej poważnie. Bo jakie właściwie miała dowody? Żadnych. Autopsja wykazała samobójstwo, a jedynym, co ją podważało, były słowa inspektora, który jednak wyraźnie stwierdził, że nie zamierza się w nic mieszać. Dziennikarze uznaliby ją za smarkulę, która nie potrafi się pogodzić z faktami. Mogła liczyć jedynie na siebie. Sama musiała zdecydować, co dalej. Mogła albo zamknąć się w szafie ze wspomnieniami o ojcu i czekać, aż wyblakną, albo spróbować samodzielnie prowadzić śledztwo. Ale wiedziała, że słuszna jest tylko jedna droga. Miałaby żyć jak gdyby nigdy nic, udając, że to wszystko się nie wydarzyło? Nie. Musiała działać. Była to winna ojcu i samej sobie. Nie chciała każdego ranka z obrzydzeniem oglądać w lustrze kogoś, kto – jak Valverde – na widok nikczemności odwraca głowę. Przypomniała sobie słowa Varony: powinna myśleć jak dziennikarka, a nie jak córka.

Dlaczego zabito jej ojca? W co się wplątał? To były główne pytania, na które na razie nie znała odpowiedzi. Musiała się skupić na konkretach. Kiedy zaczęły się problemy ojca? Po artykułach, które napisał o Ministerstwie Prawdy. Tym samym, którego pracownicy znaleźli później jego ciało, a jeszcze później kręcili się po Instytucie Medycyny Sądowej. Dlaczego?

W jej głowie niczym kwiat wyrastający ze szczeliny w asfalcie torował sobie drogę pewien pomysł. Śmierć ojca musiała mieć coś wspólnego z Ministerstwem Prawdy. Może wszystko zaczęło się od tamtych artykułów. Musiała je przeczytać. Musiała poznać prawdę o tym, czego dowiedział się ojciec o Minis...

Znów ktoś zadzwonił do drzwi. Czyżby za nimi czekały kolejne problemy?

W pierwszej chwili nie poznała stojącego na korytarzu chłopaka.

– Cześć, Julio. Chciałem tylko sprawdzić, jak się czujesz.

– Max?

– O, zapamiętałaś moje imię.

– Imię? Myślałam, że to marka grzejników.

Roześmiali się oboje.

– Tak naprawdę przyszedłem, bo potrzebowałem pretekstu, żeby się spóźnić do pracy. A już zupełnie serio, wczoraj nie mogłem znaleźć miejsca do zaparkowania, a kiedy w końcu dotarłem do instytutu, powiedzieli mi, że już poszłaś. Chciałem się dowiedzieć, jak się czujesz i czy ci czegoś potrzeba.

– Dzięki, naprawdę to doceniam. Jak się czuję? Hmm, stosownie do sytuacji. To wszystko stało się tak szybko, że jeszcze do mnie nie dociera. Ale nie stój tak. Wejdz.

– Nie mogę, muszę lecieć do pracy. Jeśli chcesz z kimś pogadać albo masz dość samotności, możesz zadzwonić i coś wymyślimy.

– Szukasz pretekstu, żeby znów się ze mną spotkać?

– Słabo blefuję, co?

– Nie, wcale nie. Ale masz szczęście. W domu jest chłodno i chętnie bym się ogrzała, powiedzmy, dzisiaj koło ósmej wieczorem. I zjadła pizzę. Z czymkolwiek, byle bez papryki. Ciasto byle jakie, i tak zjadam tylko to z góry.

Twarz Maxa zajaśniała niczym płonący las. Epicentrum pożaru stanowią usta.

– Dobra... Okej... bez papryki... No to widzimy się wieczorem.

– A tak przy okazji, Max: mówiłeś, że gdzie pracujesz?

– Hmm... w Ministerstwie Prawdy.

Wtedy pomyślała, że może jego wizyta wcale nie zwiastowała problemów, tylko otwierała możliwości.

Julia doskonale wiedziała, od czego zacząć. Musiała przeczytać artykuły ojca o Ministerstwie Prawdy. Tyle że w żadnej z kilku wyszukiwarek nie znalazła ani jednej notatki podpisanej nazwiskiem Gabriela Romero. Jak gdyby zniknął nie tylko fizycznie, ale i wirtualnie. Dziwne, że owoce ponadtrzydziestoletniej pracy dziennikarskiej tak po prostu wyparowały. Przerażała ją ta wielka biała plama – jak gdyby ktoś wymazał z tego świata każdy ślad istnienia jej ojca i wszystkiego, co miało z nim związek. A to mogło oznaczać także ją. Zimny palec trwogi wypisał jej na plecach słowo „śmierć”. Musiała z kimś porozmawiać.

Varona opróżnił szklanekę. Ostatnia kropla zniknęła w jego gardle jak łza, a ścigający ją lód zatrzymał się na górnej wardze i pozbawił ją czucia.

– Jeszcze jedną, dziennikarzu?

Chicho, barman z Rozdroża, zamienił zbroję na jeszcze bardziej poniżający strój błazna w odcieniach szkarłatu i zieleni. Varona pomyślał, że możliwość zachowania godności w pewnych zawodach to luksus. Potem przypomniał sobie, co się wydarzyło w gabinecie Sancheza-Bravo. Nie, on sam również był pozbawiony godności. On też chodził w stroju błazna.

– Nie mówi się „jeszcze jedną”, tylko „kolejną”. I nie nazywaj mnie dziennikarzem. To zbyt wielkie słowo dla takiego planktonu jak ja.

W barze pełno było studentów, którzy postanowili zamienić zajęcia teoretyczne na praktyczną naukę o średniowieczu i jego „ceremoniach”. Wszyscy zamawiali coś o nazwie Elixir Merlina – podawany w dziesięciolitrowym garnku lokalny koktajl, na którego skład mogły wskazywać jedynie wysoka zawartość alkoholu i niezachęcający niebieski kolor. Studenci popijali go z plastikowych rogów i darli się jak opętani. Varona zawsze się zastanawiał, dlaczego wciąż przychodzi w to miejsce. Może dlatego, że zawsze znajdował tu usprawiedliwienie dla swojej depresji.

– Słyszałeś już o emerytach, dziennikarzu? – zapytał Chicho, dolewając mu rumu z colą.

– Że chcą ich zamknąć w domach starców? Coś tam słyszałem – odmruknął ponuro Varona.

– Nie wiem, co im się nie podoba. Mają jedne z najwyższych emerytur w Europie i zniżki na transport. W dodatku co rusz dostają podwyżki! My, pracujący, w ciągu ostatnich pięciu lat straciliśmy dziesięć procent siły nabywczej, a oni zyskali trzydzieści sześć! Trzydzieści sześć procent! I jeszcze mają czelność protestować.

– Skąd ty bierzesz te dane?

– Jak to skąd, dziennikarzu? Przez cały czas dostaję na telefon wiadomości o emerytach. Wszyscy je śledzą. Nikt o niczym innym nie mówi. Ty ich nie dostajesz? Ekonomiści i specjaliści z nie wiem ilu uniwersytetów wszystko nam dokładnie wyjaśnili. Jeśli chcemy w przyszłości otrzymywać jakąkolwiek emeryturę, trzeba starszków teraz pozamykać. Dzięki temu państwo nie będzie na nich tyle wydawać. Wiedziałaś, że ponad pięćdziesiąt procent naszych podatków trafia prosto do kieszeni tych pier... staruchów? I popatrz! Jak oni śmia! – Wystawił palec ku telewizorowi pokazującemu demonstrujących emerytów i strofujących ich obywateli.

– Z jakich mediów pochodzą te wiadomości, które dostajesz na telefon?

– A co za różnica, pismaku? Mówią to ludzie, którzy się na tym znają! Dalej, niech już pozamykają tych tupeciarzy! Cały dzień nic nie robią i jeszcze bezczelnie protestują!

– Przecież jeszcze dzisiaj rano sam ich popierałeś.

– Bo nie wiedziałem, że żyją sobie jak pączki w maśle!

– Ekonomiści i eksperci, których nie znasz, piszą wiadomości w nie wiadomo jakich mediach, a ty w nie wierzysz, bo przychodzą ci na telefon?

– Telefon nie kłamie, dziennikarzu. Jest jak internet.

Varona uniósł szklanę, jakby wznosił toast za ostatnie zdanie barmana. „Już się zaczęło – myślał. – Czy to też są moje urojenia, redaktorze naczelny? Co ja tu robię, pijąc z błaznem i rozmawiając o błazenadach, zamiast prowadzić śledztwo w sprawie tego, co się dzieje z emerytami?”

Przyłożył szklanę do ust w poszukiwaniu odrobiny płynnej otuchy. W tej samej chwili coś zawibrowało mu w kieszeni.

Wyjął komórkę. Na ekranie widniało nazwisko Julii. Odebrał.

– Jak się miewa moja ulubiona dziewczyna?

– Wciąż próbuję to przetrwać. Dzwonię w dwóch sprawach. Po pierwsze, odwiedził mnie inspektor Valverde. Jego zdaniem ojca zamordowano.

Opowiedziała o spotkaniu z policjantem i o śladach, które znalazł na ciele. Varona przysłuchiwał się jej, mając przed oczami obraz Sancheza-Bravo ze świsem zrzucającego z biurka człowieka uformowanego z palców.

– Musimy się skontaktować z jakimś niezależnym lekarzem sądowym, żeby przeprowadził kolejną autopsję – rzekł. – Tylko tak możemy potwierdzić wersję inspektora. Powinienem mieć namiary na jakiegoś.

– Dziwne, że ludzie z Ministerstwa Prawdy byli i na miejscu zdarzenia, i w Instytucie Medycyny Sądowej, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę to, że problemy ojca zaczęły się od napisania paru artykułów akurat o tym ministerstwie. Próbowałam ich szukać, żeby się dowiedzieć, co tam pisał, ale w całej sieci nie ma po nich śladu.

– Wcale mnie to nie dziwi. Skoro przedstawiały ministerstwo w złym świetle, musiały zniknąć. Całkiem możliwe, że władze uzyskały nawet oficjalny nakaz sądowy ich usunięcia – powiedział Varona, dając barmanowi znak, że chce kolejną szklanę.

– To by miało sens, gdyby zniknęły tylko artykuły o ministerstwie. Ale siedzę przy komputerze prawie od godziny i nie znalazłam nic związanego z ojcem. Żadnych artykułów, notatek, zdjęć. Zero.

– To wyjątkowo dziwne, nawet jak na ministerstwo...

– Przychodzi ci do głowy jakieś inne miejsce, w którym mogłabym znaleźć te artykuły?

– Archiwum „Czasu”, gazety, w której pracowaliśmy. Mają tam wszystkie numery. A jeśli nie tam, to w bibliotece.

– Świetnie. Dzięki. Będę cię informować.

– Julio... – Varona obracał szklanke w dłoniach. – Dlaczego to robisz?

– Co?

– Wplątujesz się w to wszystko... Jeśli zaczniesz drążyć, mogą przyjść i po ciebie. Wiesz o tym, prawda? Zanim rekiny poczują krew, najpierw dostrzegają ruch w wodzie. A ty znajdujesz się teraz pośrodku oceanu i powinnaś robić wszystko, by się nie ruszać. Dlaczego nie odpuścisz tej sprawy?

– Nie mogę. Jestem to winna ojcu. Poza tym chcę móc każdego ranka patrzeć w lustro.

Varona spojrział na szafkę z butelkami po drugiej stronie baru. Postać, którą zobaczył w lustrze, nie chciała mu spojrzeć w oczy.

– Muszę kończyć – powiedziała Julia. – Zaraz zadzwonię do „Czasu” i zapytam, czy mogę najbliższego ranka zajrzeć do archiwum. Wielkie dzięki za pomoc. Bądźmy w kontakcie.

Gdy się rozłączyła, podniósł swój rum. Oczami wyobraźni znów widział spadającego człowieka i słyszał gwizd. Mężczyzna w lustrze odwrócił się, by nie musieć na niego patrzeć. Barman w stroju błazna wciąż pomstował na emerytów.

Coś wewnątrz Varony eksplodowało. Gwałtownie odstawił drinka i zerwał się od stołu.

– Co jest, bracie? Nie smakuje ci mój rum? – zaciekawiał się barman.

– Zapomniałem, że mam coś do zrobienia. Zbyt długo już to odkładam. Idę poszukać problemów. W końcu to robota dla dziennikarzy.

Zanim wyszedł, obejrzał się za siebie. Facet w lustrze z uśmiechem patrzył mu w oczy.

13

Julia wyszukała w internecie adres gazety, w której pracowali dawniej jej ojciec i Varona. Chwilę wcześniej rozmawiała przez telefon z opiekunką archiwum – czarującą kobietą, która na dźwięk nazwiska Gabriela Romero nagle stała się mniej czarująca, lecz potwierdziła, że Julia może zajrzeć do archiwum w dowolnej chwili. Kiedy kombinowała, jak dojechać do siedziby „Czasu”, na ekranie jej komputera pojawiły się dziwne zakłócenia, coś jakby biały szum, a po nich – komunikat o tym, że urządzenie zostało zainfekowane wirusem.

– Nie, błagam, nie teraz! – jęknęła.

Jako użytkowniczka doświadczona, lecz nieobeznana w informatyce, kilkakrotnie wyłączyła i włączyła komputer. Bez skutku. Następnie spróbowała czegoś bardziej drastycznego: odłączyła urządzenie od prądu i włączyła ponownie. Znowu nic. Dała za wygraną. Będzie musiała zanieść sprzęt do serwisu albo nawet kupić nowy. Gdy tak dumiała, rozległa się przytłumiona muzyka z *Ojca chrzestnego*. Julia podeszła do szafki, na której leżała jej torebka, i tak długo w niej grzebała, aż wyłowila telefon.

– Halo?

– Pani Romero? Dzwonię z GO-Four. Dostarczamy pani internet szerokopasmowy i właśnie wykryliśmy, że pani komputer został zaatakowany przez wirusa.

– Och, dziękuję za kontakt! Nie wiem, jak to się stało. Nagle ekran zaczął się dziwnie zachowywać i wszystko padło.

– Spokojnie. To spotyka wielu naszych klientów. Wiemy, z jakim wirusem mamy do czynienia i jak go zneutralizować. Musi pani tylko wykonywać moje polecenia, a urzędzeniu nie stanie się krzywda. To prosta procedura, ale zajmie około pół godziny.

– A czy muszę być na miejscu? Nie da się tego załatwić zdalnie? – zapytała, myśląc o artykułach ojca.

– Niestety nie. Wirus nie pozwala mi się połączyć z pani komputerem. Jeśli mamy go naprawić, musi pani realizować moje polecenia. Postaram się, by to trwało jak najkrócej. Mam nadzieję, że nie ma pani nic bardzo pilnego do zrobienia poza domem.

Varona wstukał numer, obserwując szklane boksy, na które podzielono redakcję. Wyglądały jak wielkie akwaria. Przejrzyste ściany, które udawały, że ich tam nie ma, a jednak były. Czymże jest akwarium, jeśli nie klatką? Klatką z niewidzialnymi prętami. Takie są najniebezpieczniejsze, bo dopóki nie uderzysz w szybę, możesz myśleć, że jesteś wolny. A on właśnie w nią uderzył. „Szybę można zbić”, pomyślał jednak.

Po drugiej stronie ktoś wreszcie odebrał telefon.

– Nie do wiary! Któż to do mnie dzwoni po tylu latach? Człowiek, który nigdy nie powiedział „nie” kieliszкови i nigdy nie powiedział „tak” przed obliczem księdza. Stary, nieszczęsny pijak. Ile to czasu nie miałem od ciebie wieści... Cztery, pięć lat?

Varona odwrócił się plecami do towarzyszy, by nie mogli czytać mu z ust.

– Albo i więcej, Pizarro. Albo i więcej. I żałuję, że to o księdzu nie jest prawdą... Słuchaj, pracujesz jeszcze w „Informacjach”?

– Tak, jakoś wytrzymuję. A ciebie nie sposób wyciągnąć z „Obserwatora”, zgadza się? Wciąż tam siedzisz? Słyszałem, że Sánchez-

Bravo traktuje was jak niewolników. Tak przy okazji, powinieneś pamiętać, że nazywam się J.C. Pizarro nazywali mnie w szkole.

Pamiętał. Doskonale pamiętał, że Pizarro naprawdę nazywa się José Carlos. I że po obejrzeniu maratonu seriali o dziennikarzach kazał się nazywać J.C., a koledzy nabijali się za jego plecami z tych głupkowatych inicjałów. Pizarro myślał, że dzięki nim stał się bardziej wyrafinowany, bardziej... anglosaski, podczas gdy w rzeczywistości robił z siebie debila. Varona nigdy się nie zgadzał na nazywanie go J.C. i teraz też nie miał zamiaru tego robić. „Prędzej dam sobie język uciąć”, pomyślał. Zadzwoił do tego palanta wyłącznie dlatego, że tamten nie cierpiał Sancheza-Bravo, więc z pewnością ani myślał mu donieść o tej rozmowie.

– Sam wiesz, że niektórym władza uderza do głowy. Ale dzwonię, bo potrzebuję twojej pomocy. Podobno Ministerstwo Prawdy organizuje dla dziennikarzy wizytę w tych nowych placówkach, w których chcą zamknąć emerytów. Wiesz coś o tym?

– Jasne. Jutro. Ja już mam akredytację. Czyżbyście nie dostawali biuletynów?

– Pewnie jakiś praktykant skasował mail. – „Albo ktoś z redakcji nie chciał, żebym się dowiedział”, dodał w myślach Varona. – Jutro, mówisz?

– Tak. Autobusy wyruszają spod siedziby ministerstwa o jedenastej. Pojedziemy do pilotażowej rezydencji, która ma być wzorem dla wszystkich pozostałych. Nie wiem, co o tym sądzisz, ale moim zdaniem te domy to świetny pomysł. Emeryci będą mieli lepszą opiekę, a państwo zaoszczędzi pieniądze. Same korzyści.

– Nie rozumiem, Pizarro, jakim cudem przy twoim talencie nie mianowali cię jeszcze redaktorem naczelnym „Informacji”.

– Dzięki, Varona. Ale pamiętaj: nazywam się J.C.

– Do jutra, Pizarro.

Z ulgą wcisnął czerwony guzik na telefonie. Gdy odwrócił głowę, zobaczył, że Sánchez-Bravo wpatruje się w niego badawczo przez szklaną ścianę swojego gabinetu. I dobrze wiedział, że aby komuś zagrozić, nie trzeba używać słów.

Chmury blokowały drogę słońcu i kradły ulicom ciepło. Hamulce elektrycznego autobusu zapiszczały, jakby ktoś rozdrapywał asfalt. Julia wysiadła na przystanku jako jedyna. Ekran na wiacie wyświetlał jedną z klasycznych reklam społecznych Ministerstwa Prawdy zachęcających obywateli do współpracy.

Fotografuj, nagrywaj, przekazuj.

Twój telefon jest twoją bronią.

Zgłaszaj zachowania antyspołeczne
i udostępniaj je w mediach społecznościowych.

Niech sprawcy nie pozostaną bezkarni.

Rozejrzała się zagubiona. Była bardzo daleko od centrum, w dzielnicy Madrytu, w której zakłady przemysłowe przeważały nad zabudową mieszkalną. Nad blokami wzniesionymi w ubiegłym wieku górowały rozległe kompleksy industrialne. Szła chodnikiem w poszukiwaniu numeru 76, pod którym mieściła się siedziba „Czasu”. W roku 2025, gdy papierowe gazety odeszły do lamusa, zwolniono dwie trzecie personelu, a redakcja opuściła zajmowany od ponad stu lat budynek na Gran Vía. Teraz, jak wszyscy, publikowała jedynie w internecie.

Julia stanęła przed numerem 76. Musiała się pomylić. Budynek przypominał bardziej hangar z ciężką maszyną niż siedzibę portalu informacyjnego. Dopiero widok ogromnego szyldu z nazwą portalu napisaną spłaszczonymi literami utwierdził ją w przekonaniu, że jest we

właściwym miejscu. Weszła do środka i zdecydowanym krokiem ruszyła do recepcji. Nim tam dotarła, zaczepiła ją jakaś kobieta.

– Pani jest Julią, córką Gabriela Romero?

– Tak – odparła zaskoczona.

– Witamy w redakcji „Czasu”. Jestem Alicia, Alicia Sangermán. Zajmuję się między innymi archiwami. Rozmawialiśmy przez telefon. Mogę panią zaprowadzić do archiwum.

Prezentowała się bardzo profesjonalnie: zdecydowane gesty, elegancka i funkcjonalna fryzura, wyraźny, lecz nienachalny makijaż... Nawet urodę miała w sam raz: praktyczną, bezosobową. Jak meble w biurze. Była ładna, lecz nie tak, by przykuwać uwagę.

Julia ruszyła za nią przez labirynt pustych korytarzy, zastanawiając się, czy zdoła się stamtąd wydostać bez pomocy.

– Pokazałabym pani redakcję, ale większość dziennikarzy pracuje zdalnie – zagała Alicia.

– Wiem. Sama jestem dziennikarką. Pracuję w „Obserwatorze Cyfrowym” – odparła z dumą Julia, pomijając fakt, że jest praktykantką.

– W takim razie rozumie pani sytuację. „Obserwator” jest jeszcze mniejszy niż my. Czasy dla słowa pisanego nie są dobre, choć czy kiedykolwiek takie były?

Weszły do sali, w której znajdował się wyłącznie stół z czterema komputerami.

– Wszystkie numery „Czasu”, począwszy od pierwszego po najnowszy, są zdigitalizowane i przechowywane w chmurze połączonej z naszym intranetem, co oznacza, że można je przeglądać, jedynie jeśli się zna odpowiednie hasła. Proszę usiąść przy którymś z komputerów. – Podała jej karteczkę. – Wygenerowałam dla pani tymczasowe hasło, ważne do końca dnia. Zostanę z panią, na wypadek gdyby potrzebowała pani pomocy.

Julia podziękowała, usiadła przed ekranem i wpisała hasło w odpowiednie okienko. Następnie wystukała na klawiaturze nazwisko ojca i rok publikacji artykułów. Sangermán usiadła za jej plecami. Wyraźnie chciała mieć na nią oko, jakby się bała, że dziewczyna coś zepsuje. Po kilku sekundach czekania niczym prztyczek w nos na ekranie pojawił się komunikat: „Znaleziono wyników: 0”. Julia spróbowała ponownie, tym razem wpisując jedynie nazwisko ojca. „Znaleziono wyników: 0”. Zerknęła za siebie w poszukiwaniu wsparcia i wydało się jej, że dostrzega na twarzy Alicii cień uśmiechu.

- Jakiś problem? – zapytała tamta.
- Według tej wyszukiwarki w archiwum nie ma żadnego artykułu ojca.
- Niemożliwe.

Kobieta przegoniła ją od komputera i sama przy nim zasiadła. Wpisała inne hasło. „Znaleziono wyników: 0”. Kilkakrotnie ponowiła próbę i skutek zawsze był taki sam.

– Spróbujmy inaczej. Artykuły pani ojca ukazywały się w wersji drukowanej. Digitalizowano je strona po stronie. Może w ten sposób uda nam się je znaleźć.

Zaczęła bardzo szybko uderzać w klawisze, przechodząc między kolejnymi katalogami.

– Znała pani mojego ojca? – zagadnęła Julia. – Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, odniosłam takie wrażenie.

– Nie, nie miałam okazji go poznać, ale wiele o nim słyszałam. Łączę się z panią w bólu.

- A co konkretnie pani słyszała?
- Mam!

Nagle na ekranie zaczęły się pojawiać pełne strony wydań z roku 2023.

- Teraz musimy tylko zawęzić wyszukiwanie.

Po kolei wstukiwała litery, a te ostatecznie ułożyły się w słowa „Gabriel Romero”, i triumfalnym gestem wcisnęła przycisk szukania. „Znaleziono wyników: 375”, głosił komunikat. Kobieta ponownie ustąpiła miejsca Julii. Ta natychmiast otworzyła pierwszy dokument. Wyświetliła się strona z gazety. Niestety na trzech szpaltach zamiast tekstu widniała ogromna biała plama. Wzrok dziewczyny zagubił się w tej wielkiej otchłani, w którą przeistoczył się jej ojciec. W otchłani pożerającej wszystko, co miało z nim związek, jak gdyby Gabriel Romero nawet po śmierci wymachiwał białą flagą na znak poddania. Julia nie musiała nic mówić. Alicia Sangermán znów przegnała ją z fotela, by zasiąść przed komputerem.

– Niemożliwe – mamrotała do siebie.

Jej palce rozpościerały się na klawiaturze niczym nogi pająka owijającego ofiarę siecią. Na każdej stronie, którą otwierała, widniały te potworne białe plamy. Niczym luki w pamięci po pijackiej nocy. A więc ślady Gabriela wymazano nie tylko w internecie, lecz także w archiwum prasowym.

– Jak to możliwe, że nic nie ma? – zapytała Julia.

Alicia wyglądała na zdezorientowaną.

– Nie znajduję wytłumaczenia. Żeby zrobić coś takiego, ktoś musiałby ręcznie usuwać artykuły pani ojca strona po stronie. Ktoś, kto zna hasła do gazety. Nie wierzę, żeby ktoś mógł zadać sobie tyle trudu.

Julia nie czekała, aż kobieta skończy się tłumaczyć. Wyszła z pomieszczenia i ruszyła przez labirynt korytarzy. Musiała znaleźć wyjście, nawet jeśli nikt jej w tym nie pomoże.

14

Mężczyzna nie odrywał wzroku od czerwonej kropki mrugającej pośrodku ekranu. Z głośników dobiegał wyraźny głos młodej kobiety. Cała rozmowa się nagrywała, żeby mógł ją później odsłuchać i napisać notatkę. Ta cała Julia Romero miała nawet ładny głos. Szkoda, że musieli...

Drzwi pomieszczenia nagle się otworzyły i do środka wszedł Poeta w swoim nieodłącznym niebieskim garniturze, z przyklejonym do ust nieustającym uśmiechem przywodzącym na myśl rozwarte nożyczki.

– Jak sprawy? – zagadnął.

Mężczyzna westchnął, jakby chciał powiedzieć: „Nic nowego”.

– Obiekt bezskutecznie próbuje dotrzeć do artykułów ojca. Wszystko zgodnie z planem.

– Świetnie. – Poeta wszedł na krzesło i zaczął grzebać przy alarmie przeciwpożarowym.

Mężczyzna ze zdziwieniem obserwował jego ruchy.

– Mogę pana o coś spytać?

– Jasne – mruknął Poeta, schodząc ze stołka i otrzepując dłonie z kurzu. – Pod warunkiem że nie będzie to nic głupiego. Nie znoszę głupot. Mają podwójnie niszczycielską siłę. Po pierwsze, robią debila z tego, kto o nie pyta, a po drugie, zabierają czas pytanemu, który wie, że pytający debil i tak nie zrozumie jego odpowiedzi. A więc czy jesteś pewien pytania, które chcesz zadać?

– Chy... chyba tak.

– W takim razie proszę.

– Chodzi o nasz obiekt. Wiemy, czego szuka i co może znaleźć, a jednak pozwalamy mu kontynuować poszukiwania. Nie rozumiem, dlaczego od razu nie wyeliminujemy tej osoby. Uniknęlibyśmy tym samym przyszłych problemów. Jej ojca też powinniśmy byli wyeliminować znacznie wcześniej...

– Ciii... – Poeta przyłożył palec do ust. – Pozornie twoje pytanie nie wydaje się głupie, a w dzisiejszych czasach zawsze trzeba to docenić. Opowiem ci pewną historię.

Umilkł i wyjął z kieszeni starą srebrną papierośnicę z wygrawerowanym wizerunkiem greckiego boga Hermesa. Otworzył ją, ukazując szereg papierosów białych niczym zastygłe w wiecznym uśmiechu zęby trupa. Włożył jednego do ust, zapalił i zaciągnął się mocno. Gdy wciągał dym, czerwony żar na koniuszku stał się pomarańczowy.

– Za młodu miałem przyjaciela – kontynuował. – Kumpla z osiedla, który pracował jako likwidator plag. Tylko mi nie mów, że to nie piękna nazwa, nawet jeśli w pewnym sensie budzi obrzydzenie. Uwielbiałem, kiedy ktoś go pytał, czym się zajmuje, a on odpowiadał: „Likwidacją”. Mówił mi, że zdecydowanie najgorszą plagą, z jaką musiał się mierzyć, była plaga szczurów. Są sprytne, zwinne, a kiedy się je osaczy, atakują każdego. Nienawidził ich ze wszystkich sił. Mimo to, kiedy oczyszczał budynek, nigdy nie likwidował wszystkich szczurów. Zawsze zostawiał przynajmniej jedną parę. Zapytałem, dlaczego to robi, a on powiedział: „Jak wszystkie szczury zdechną, nikt nie będzie potrzebował likwidatorów”. Ty i ja jesteśmy likwidatorami. Musimy pozwolić szczurom chodzić. Niech ci z góry je widzą i wiedzą, że jesteśmy potrzebni. Że jeszcze jesteśmy im potrzebni. Rozumiesz już?

– Proszę pana, palenie jest zabronione. Ustawa o zdrowiu publicznym...

– A kto pali?

– Pan. W tej chwili widzę, jak pan...

Poeta przysunął twarz do jego twarzy, tak blisko, że mężczyzna zobaczył coś, co poruszało się w głębi jego oczu. Małe czarne figurki wijące się w spazmach, jakby płonęły.

– Mówisz, że widziałeś, jak palę? Jesteś tego pewien? – pytał natarczywie, dmuchając mu w oczy dymem.

Mężczyzna spuścił wzrok.

– Nie.

– Co: nie?

– Nie, proszę pana.

15

Gdy Julia wydostała się ze starego budynku, wciąż dygotała ze złości. Ale nie tylko. Choć ze wszystkich sił starała się temu zaprzeczać, czuła też strach. Strach przed tymi niezgłębionymi białymi plamami pośrodku stron. Były jak wielkie kęsy, którymi nicość zagarniała wszystko, co związane z Gabrielem Romero, jakby ktoś się zawziął, by zamordować także pamięć o nim. Nie zamierzała na to pozwolić. W oczekiwaniu na autobus sprawdziła na telefonie, jak najszybciej dojechać do miejskiej biblioteki. Budynek znajdował się w samym centrum, przy ulicy Conde Duque, więc niezależnie od wybranej trasy podróż musiała trochę potrwać.

„Przynajmniej nie będę musiała długo czekać”, pomyślała Julia, dostrzegłszy pojawiającą się na końcu ulicy niebieską sylwetkę autobusu.

Nagle jej telefon zasygnalizował nadejście SMS-a. Spojrzała na wiadomość i zrobiła wielkie oczy. To z uczelni! Pisano o jakichś problemach z jej dokumentacją. Brakowało ważnych danych i musiała je uzupełnić jeszcze tego samego dnia, jeśli chciała nadal zaliczać się w poczet studentów dziennikarstwa.

– O co tu chodzi? – powiedziała do siebie na głos, nie wsiadając do autobusu.

Kompletnie zdezorientowana zamówiła przez telefon taksówkę, która przyjechała po dwóch minutach i zawiozła ją na kampus.

Wzdłuż kontenerów, do których wyrzucano książki, przechadzali się dwaj żebracy. Jeden był młody, wysoki i potężny. Sylwetką przywodził na myśl

duże T. Na twarzy drugiego, starszego, życie wyrzeźbiło mnóstwo bruzd. Wciąż jednak nosił ślady tej wrodzonej elegancji, która nie ma nic wspólnego z ubiorem ani z pieniędzmi. Szli wolno, bacznie przyglądając się tytułom, jakby znajdowali się w jednej z tych starych księgarń, które istniały, zanim wszystkie książki zaczęto sprzedawać przez internet. Był czwartek. Dzień, w którym służby komunalne zabierały wyrzucone przez mieszkańców lektury. Starszy mężczyzna otworzył oprawiony w skórę tom i zaczął czytać na głos *Pieśń III z Piekieła* Dantego:

Przeze mnie droga w gród łez niezliczonych.

Przeze mnie droga w boleść wiekuistą,

*Przeze mnie droga w naród zatraconych*⁵.

– Zabili dziennikarza i sfingowali samobójstwo – mruknął młodszy.

– To na pewno oni? – zapytał starszy, podnosząc wzrok znad książki.

Młodszy pokiwał głową.

Szli dalej wzdłuż kontenerów, aż starszy znów się zatrzymał, by przekartkować kolejny gruby tom. Po drugiej stronie ulicy jakaś kobieta grała na skrzypcach. U jej stóp leżał karton przeznaczony na monety, ale wszyscy przechodzili obok obojętnie.

– Żyjemy w świecie, w którym literatura ląduje w śmietniku, a muzyka żebrze na ulicach – zauważył starszy. – Coraz trudniej zachować nadzieję. Coraz trudniej myśleć, że coś może się zmienić.

– Obserwują dziewczynę.

Starszy sposepniał.

– Wiem. Musimy zrobić wszystko, by ją uchronić.

– Już to robimy. Ale oni są potężni.

– A my jesteśmy niewidzialni. Żebraków nikt nie dostrzega. Od tak dawna nas ignorują, że już i reszta ludzi przestała wierzyć w nasze istnienie. To działa na naszą korzyść.

Młodszy ponownie przytaknął.

– Ona może być naszą ostatnią szansą, rozumiesz? Przekaż to pozostałym. Nie możemy pozwolić, żeby coś jej się stało – perorował starszy.

– Bez obaw, Wergiliuszu. Będzie tak, jak sobie życzysz.

Starszy przeniósł wzrok na trzymaną książkę. Był nią *Don Kichote*.

Wolność, Sancho, jest najcenniejszym darem używanym ludziom przez niebo; nie mogą się z nią równać skarby, jakie ziemia zamyka ani jakie morze kryje; dla wolności, jak dla czci, można i należy narażać życie; przeciwnie zaś, niewola jest największym złem, jakie może spotkać człowieka⁶.

W dziekanacie Julia wpadła w furję. Pracownik przyglądał jej się z obojętnością człowieka obserwującego, jak rosną drzewa.

– Jak to: nie ma żadnego problemu z moimi papierami? To po co ja tu pędzę jak szalona?!

– Pani Julia, tak? W dokumentach wszystko w porządku. Jest pani na czwartym roku, więc gdyby był jakiś problem, z pewnością wiedzielibyśmy o tym wcześniej.

– To dlaczego wysłano do mnie wiadomość, że pilnie muszę się tu zgłosić? No, dlaczego?!

– Powtarzam, że dziekanat nie wysyłał do pani żadnej wiadomości.

– Nie? W takim razie co to jest?! – wykrzyknęła, wchodząc w wiadomości na telefonie. – Wysłane... odebrane. O. – Wcisnęła zielony

guzik i pojawiła się lista SMS-ów otrzymanych w ciągu ostatniego miesiąca. Żaden nie pochodził z uczelni. Ten, który dostała, wyparował.

– To musiała być pomyłka. Sprzęt spłatał pani figla – stwierdził urzędnik z nieznośnie protekcyjną miną.

Julia wybiegła z sekretariatu jak huragan, myśląc, że spoliczkowanie za taką minę nie powinno być karane.

Wysiadła z taksówki, nim ta na dobre zdążyła się zatrzymać. Nie zaszczycając kierowcy pożegnaniem, popędziła w kierunku biblioteki miejskiej. Działo się coś dziwnego, a ona musiała rozwikłać tę zagadkę. Dzięki swojej nowej legitymacji dziennikarskiej uzyskała dostęp do terminala, na którym mogła przejrzeć katalog. Nieważne, że pod czujnym okiem pracownika, który wyglądał, jakby przeżywał katusze, ilekroć naciskała klawisz, jakby komputer był ze szkła. Wpisała tytuł gazety – „Czas” – rok 2023 i kluczowe słowa: „Gabriel Romero”. Także tym razem wyszukiwarka poinformowała o znalezieniu 375 dokumentów. Julia z duszą na ramieniu otworzyła pierwszy. Wzięła głęboki oddech. Strona zaczęła się ładować od góry i... wkrótce oczom dziewczyny ukazały się te same białe plamy w miejscach, w których powinny się znajdować artykuły jej ojca, niczym guzy na obrazie z rezonansu magnetycznego. Znowu? Odwróciła się do pracownika.

– Przepraszam, ale jak pan widzi, niektóre artykuły się nie wyświetlają. Z czego to wynika? – zapytała i zauważyła, że mężczyzna unika jej wzroku.

– To... to bardzo... bardzo dziwne. To musi być jakiś błąd w pliku. Jeśli pani chce, proszę zostawić mi swój numer telefonu, żebym mógł zadzwonić, kiedy... kiedy uda nam się rozwiązać problem.

– Nie, proszę się nie kłopotać. To nic takiego – wycedziła, nie odrywając od niego oskarżycielskiego wzroku, póki nie ulotnił się jak niepyszny. – Co za skur... – mruknęła pod nosem.

Ze złością uderzyła myszką o stół. I wtedy na jednej z białych plam rozwinęło się menu z różnymi opcjami. Jedna z nich pozwalała sprawdzić, kiedy dokonano ostatniej modyfikacji otwartego właśnie dokumentu. Julia kliknęła w nią i odkryła, że ktoś otwierał artykuł ojca niecałe pół godziny wcześniej.

– To niemożliwe... jakim cudem?

I wtedy, niczym chmury zwiastujące burzę, w jej głowie pojawiło się podejrzenie. Wyjęła z torebki telefon i zadzwoniła do „Czasu”. Po kilkakrotnym przełączaniu między działami i sekcjami w końcu połączono ją z kobietą o bezosobowej urodzie, która gościła ją w archiwum.

– Nie sądziłam, że dziennikarze „Obserwatora” są tak zawzięci – rzekła Alicia zamiast powitania.

– Czy mogłaby pani wyświadczyć mi przysługę? To zajmie tylko kilka minut.

Rozmówczyni westchnęła z rezygnacją.

– O co chodzi?

– Mogłaby pani jeszcze raz wejść do katalogu, w którym powinny być artykuły mojego ojca?

– Chwileczkę.

Julia w milczeniu słuchała stukotu klawiszy. Miała ochotę poganiać kobietę, ale się pohamowała. Sytuacja wymagała maksymalnego profesjonalizmu.

– Już otworzyłam jedną ze stron. Co teraz?

– Proszę najechać kursorem na białą plamę i wcisnąć prawy przycisk myszki. Może pani sprawdzić, kiedy ostatni raz modyfikowano dokument?

Znów rozbrzmiał stukot klawiszy. Po nim zapadła cisza.

– Halo? Jest pani tam? – odezwała się w końcu Julia.

– Tak, tak... Przepraszam. Dziwna sprawa...

– Kiedy zmodyfikowano stronę?

– Niecałe dwie godziny temu. Ale to niemożliwe, musieliby mnie wcześniej poinformować...

Julia się rozłączyła. Wiedziała, co to znaczy. Ktoś wykasował artykuły ojca, żeby nie mogła ich przeczytać. Ktoś, kto wiedział o jej posunięciach i je wyprzedzał.

– Gdyby nie ta niepotrzebna wycieczka, byłabym dużo szybciej...

I wtedy wskoczył na swoje miejsce ostatni fragment łamigłówek, który nadawał sens całości.

„Zawsze są o krok przede mną”, zrozumiała.

Ten dziwny telefon ostrzegający o ataku wirusa, a potem niezrozumiała wiadomość, w której kazano jej natychmiast jechać na uczelnię i która potem zniknęła.

– Jakby podsłuchiwali moje rozmowy i cały czas mnie śledzili...

Obróciła w dłoni telefon, by lepiej mu się przyjrzeć. Miała wrażenie, że stał się czymś innym, niż był przedtem. Przyglądała mu się w sposób, w jaki patrzyłaby na twarz wroga. Nagle poczuła, że trzyma w ręku coś śliskiego. Coś jakby odcięty język albo gnijące wnętrzności. Z obrzydzeniem cisnęła aparatem o biurko.

⁵ D. Alighieri, *Boska Komedia, Piekło, Pieśń III*, przeł. J. Korsak, wersy 281–283, Wolne Lektury (online), <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/boska-komedia-pieklo.html> (15.08.2022).

⁶ M. de Cervantes, *Don Kichote*, tom 2, przeł. A.L. Czerny i Z. Czerny, Warszawa 1983, s. 358–359.

CZĘŚĆ III



*Nie raz ciemności narzędzia,
Żeby do naszej pociągnąć nas zguby,
Prawdę nam mówią*.*

– William Shakespeare, *Makbet*

* W. Shakespeare, *Makbet*, przeł. L. Ulrich, akt I, scena III, wersy 237–239, Wolne Lektury (online), <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/makbet.html> (15.08.2022).

16

Noc była dzieckiem o brudnej twarzy, czarnym psem biegającym po asfalcie w poszukiwaniu swego pana, smugą smoły na czole Boga. Lampy sodowe barwiły ulice na melancholijne odcienie sepii, natychmiast przenosząc każdą chwilę w przeszłość. Bo tak właśnie karze nas czas: wszystko, co ważne, obracając we wspomnienie. Nie ma nic oprócz wspomnień.

Julia szła chodnikiem wilgotnym i lśniącym niczym ciemne zwierciadło. Była wycieńczona i marzyła jedynie o tym, by dotrzeć do domu, położyć się w łóżku i zapomnieć o całym tym koszmarnym dniu, w którym nieustannie uderzała głową w mur. Jeszcze znajdzie sposób na dotarcie do artykułów ojca. Jutro zaświeci słońce, a przestraszone cienie uciekną gdzie pieprz rośnie. Weszła do budynku i machinalnie skierowała się w stronę skrzynki na listy. Na wspomnienie Gabriela przyglądającego się, jak za każdym razem zagłada do tej bezużytecznej już metalowej skrzynki z ich nazwiskiem, zaszklily jej się oczy. Otworzyła skrytkę i tradycyjnie zastała w środku pustkę. Rytuał pozwolił jej jednak poczuć bliskość ojca.

Gdy minęła półpiętro, zauważyła, że przed drzwiami ktoś na nią czeka. Strach ścisnął ją za gardło. Na szczęście po chwili rozpoznała postać, która na jej widok podniosła się z podłogi. To był Max. W rękach trzymał dwa kanciaste pudełka z tektury, na których widniały karykatury pulchnego kucharza z wąsikami.

– Czas na pizzę! – wykrzyknął z udawanym entuzjazmem. – Niewiele mi powiedziałaś o swoich gustach, więc wziąłem jedną z mięsem na cienkim cieście i jedną z tuńczykiem na grubym. Ale pamiętałem, że obie mają być bez papryki.

Zmęczoną twarz Julii rozjaśnił szeroki uśmiech. Rzuciła torebkę na posadzkę i przeskakując po dwa stopnie naraz, wbiegła po schodach. Przytuliła się mocno do Maxa, ukrywając twarz w jego piersi.

– Chyba muszę ci częściej przynosić pizzę – oznajmił nieco onieśmielony, nie bardzo wiedząc, co zrobić z pudełkami, które nie pozwalały mu odwzajemnić uścisku.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę. Musiałam dziś kogoś przytulić i nagle pojawiłeś się ty. Daj mi chwilę, a zaraz dojdę do siebie.

– Nigdzie mi się nie spieszy, przytulaj się tak długo, jak chcesz.

Pachniał mieszanką dziecięcej wody kolońskiej o owocowym aromacie i ostrego zapachu własnego potu. Dziecko i mężczyzna w jednym.

Gdy się rozdzielili, wybuchnęli nerwowym śmiechem, nie patrząc sobie w oczy. Julia zeszła po torebkę i wyjęła z niej klucze.

– Nie rób sobie nadziei. Przytulam każdego, kto przynosi mi pizzę – zażartowała.

– Dostawcy pewnie biją się o twoje zamówienia.

– Nie widziałeś ich na zewnątrz? Kolejka zawija się czasem dookoła bloku. Jestem świetna w przytulaniu.

– Muszę się zgodzić.

– Za to ty... – Zakołysała otwartą dłoń, jakby to była łódka bujająca się na falach.

– Trzymałem pizzę! Co miałem z nią zrobić?

– Zawsze szukasz wymówek.

– Dzięki temu się poznaliśmy. Szukałem wymówki...

– I wciąż jestem dla ciebie tylko nią – podsumowała. – Słuchaj, miło cię widzieć i w ogóle, ale właściwie co tu robisz? – zapytała podejrzliwie, otwierając drzwi mieszkania. Przypomniała sobie, gdzie pracuje Max.

Weszli do środka.

– Zapomniałaś? Umówiliśmy się na kolację. Bardzo to miłe z twojej strony: najpierw mnie przytulasz, a potem nie pamiętasz, że masz randkę.

– To miało być dzisiaj? Ojej, przepraszam. Miałam straszny dzień. Nawet sobie nie wyobrażasz. Czekał no... Według ciebie to miała być randka?

Twarz Maxa zmieniała się w kalejdoskop emocji: od dezorientacji poprzez zakłopotanie po zawstyżenie. Zaczerwienił się.

– N... no... nie, nie...

Pocałowała go w policzek.

– Jasne, że to randka, głupolu.

Kalejdoskop przestał się obracać. Na twarzy chłopaka odmalował się uśmiech radości i ulgi.

– Gdzie to zanieść? – Wskazał pudełka.

– Do kuchni – powiedziała, odruchowo wyjmując z torebki telefon.

Na jego widok przypomniały jej się wszystkie dziwne wydarzenia, które mogły mieć z nim coś wspólnego: najpierw informacja o zainfekowanym komputerze, potem wezwanie do dziekanatu, które po jakimś czasie zniknęło z rejestru wiadomości... Znów poczuła wstręt do tego urządzenia. Ojciec od początku odmawiał zakupu komórki i był zdegustowany, gdy Julia nie wyłączała swojej w domu. Zawsze uważała, że to kwestia wieku. Starszemu człowiekowi trudno zaakceptować nowe technologie. Przerastają go. Nie rozumie ich, bo jest niedzisiejszy. A może wcale nie o to chodziło? Może jej ojciec wiedział coś, co przed nią ukrywał,

a co wyjaśniało wszystko? Musiała dotrzeć do jego artykułów. Jakąkolwiek drogą.

Wyłączyła telefon i z rozkoszą patrzyła, jak ekran ciemnieje, aż w końcu staje się czarnym prostokątem. Już miała odłożyć aparat na półkę, ale po namyśle wyjęła najpierw baterię. Dla świętego spokoju. Jeśli ktoś ją obserwował i zamykał przed nią wszystkie drzwi, będzie musiała wchodzić przez okna.

Poszła do kuchni zdeterminowana, by wycisnąć z Maxa, ile się da. W końcu pracował w Ministerstwie Prawdy. Tylko co w ogóle o nim wiedziała? Nic oprócz tego, że pięknie pachnie i ma świetną pamięć do randek. Kto wie, czy go nie nasłali, żeby ją szpiegował. Kiedy weszła, zamyślony kroił pizzę nożykiem. Podniósł głowę i rzucił Julii jeden ze swoich uśmiechów – szczery, obezwładniający i tak promienny, że mógłby oświetlić pół miasta. Wtedy postanowiła, że nie pozwoli, by cokolwiek związanego z ministerstwem zapaskudziło jej dom, przynajmniej tego wieczoru. Nie miała ochoty rozmawiać o intrygach, wykasowanych artykułach czy znikających SMS-ach. Chciała po prostu spokojnie spędzić ten czas w towarzystwie chłopaka o kojącym uśmiechu.

– Nie wiem, jak ci się podoba ten plan, ale moje ciało ma ochotę rozłożyć się na sofie, zjeść pizzę i wypić parę kieliszków wina przy seansie *Ojca chrzestnego* – powiedziała.

– Wszystko brzmi genialnie oprócz wyboru filmu. Musi być taki stary?

– Czeka, czeka, chyba mamy poważny problem. Nie widziałeś *Ojca chrzestnego*?

– Hmm... nieee... Przyznaję się do winy, Wysoki Sądzie.

Spojrzała mu w oczy. Wytrzymał jej wzrok. W końcu uniosła brwi. Przyglądał się jej, czując, jak przeszywa go dreszcz docierający aż do serca.

W tym momencie Julia wydała mu się najpiękniejszą kobietą na świecie, a on stał się tak kruchy, jakby miał kości ze szkła.

– W takim razie, jeśli nie chcesz, żebym cię stąd wyrzuciła i nie odzywała się do ciebie do końca życia, musisz obejrzeć dziś ze mną *Ojca chrzestnego*. Pewne różnice kulturowe są nie do zaakceptowania – oznajmiła.

– Rozkaz! – Max uniósł dłoń do czoła w udawanym salucie.

Gdy na ekranie Michael Corleone otwierał ogień w restauracji, Julia położyła się na sofie z głową na kolanach Maxa. Nie wiedział, czy pogłaskać ją po włosach, ryzykując, że zepsuje wieczór, czy się powstrzymać i pozostać niepocieszony.

„Zrób to, Max. Zróbże to wreszcie! Na co czekasz? Jeszcze pomyśli, że jesteś frajerem. Przecież chcesz ją tylko pogłaskać po włosach!”, przekonywał samego siebie.

Powolutku, tak jak wyciąga się rękę z jedzeniem do zbitego psa, Max skierował swoją ku ciemnym włosom dziewczyny. Wreszcie zanurzył palce w ich gęstej toni. Julia nie oponowała.

– Mmm... jak fajnie – mruknęła zamiast tego.

– Portugalczycy mają słowo na głaskanie palcami po włosach: *cafuné*.

– Widzę, że jesteś nie tylko grzejnikiem, ale i kufrem pełnym niespodzianek.

– Mój dziadek był Portugalczykiem z Lizbony.

– W takim razie nie przerywaj *cafuné*. Wychodzi ci o wiele lepiej niż przytulanie.

Prychnął na znak protestu. Nie widział jej twarzy, ale wiedział, że się uśmiecha. Rozluźnił się i po prostu głaskał.

Jacyś faceci całują dłoń Ala Pacino, a trzeci zamyka drzwi przed nosem Diane Keaton. Ekran robi się ciemny i pojawia się na nim nazwisko reżysera: Francis Ford Coppola.

Max musiał przyznać, że film wydał mu się arcydziełem. Historia tak go wciągnęła, że nawet nie zauważył, kiedy Julia zasnęła. Bardzo powoli, by nie obudzić dziewczyny, podniósł jej głowę i podłożył pod nią poduszkę. Potem na palcach chodził po całym domu, póki nie znalazł koca, by ją przykryć. Pięknie wyglądała z tymi nieco wydętymi jakby w gniewie wargami. Mógłby tak stać i przyglądać się jej po wieczność. Coś wewnątrz niego wybuchło, lecz zamiast wywołać chaos, zrobiło porządek. Poczł się zagubiony. Kruchy. Uzależniony. Nie rozumiał, dlaczego nie może oderwać od niej wzroku i dlaczego tak bardzo nie chce opuszczać tego domu. Człł się zarazem najszcześliwszym i najbardziej nieszczęśliwym człowiekiem na świecie. Pochylił się i pocałował dziewczynę w usta. Leciutki niczym trzepot skrzydeł motyla pocałunek wywołał trzęsienie ziemi na drugim końcu jego serca. Powoli, by jej nie zbudzić, Max zamknął drzwi i wyszedł. Na zewnątrz czekał na niego nowy świat: świat, w którym wszystko było piękniejsze, przyjemniejsze, radośniejsze. Świat, w którym wszystko należało do nich dwojga.

Julia usłyszała trzask zamykanych drzwi i uśmiechnęła się niczym psotna dziewczynka. Usiadła na sofie i przeciągnęła się, z zachwytem wspominając ukradkowy pocałunek Maxa. Wstała i ruszyła przez ciemny salon w stronę sypialni, starając się omijać meble. Spodobał jej się ten chłopak. A co gorsza, już się przed tym nie wzbraniała. Mieszanka dziecięcej naiwności i dojrzałej powagi rozbrajała ją i doprowadzała do szaleństwa.

– Julio – skarciła się na głos – możliwe, że popełniasz największy błąd w swoim życiu. Jesteś bliska zakochania się w facecie, który pracuje

w Ministerstwie Prawdy!

Cóż. Przemyśli to jutro. Teraz nie chciała, żeby coś mąciło jej wspomnienie minionego wieczoru. I nagle stanęła pośrodku korytarza jak wryta.

– To niemożliwe...

Wydało się jej, że w salonie, tam gdzie zostawiła telefon, coś mrugnęło. Cofnęła się i ostrożnie podniosła z półki aparat. W głębi ciemnego ekranu znów coś błysnęło, jak wtedy, gdy go wyłączała. Ale jakim cudem, skoro bateria wciąż leżała wyjęta obok?

17

Autobus zrobił „puf!” i zatrzymał się przed rezydencją dla seniorów. W ogrodzie członkowie biura prasowego „spontanicznie” przygotowali przekąski dla dziennikarzy. Były kawa, herbata, rogaliki, kanapki i... piwo. Dużo piwa. Dziennikarze stłoczyli się przy drzwiach. Każdy chciał wysiąść jako pierwszy. Na widok stosów puszek wznoszących się obok stołów Varona pomyślał, że ludzie z ministerstwa wiedzą, jak traktować czwartą władzę. Próbował się pozbyć Pizarra, ukrywając się między największymi pijakami. Amnesty International powinna wpisać na listę tortur opowiadanie komuś przez pół godziny o leczeniu kanałowym zębów swoich trzech córek, a gadanie o tym w autobusie – skąd słuchacz nie może uciec – potraktować jako dodatkową okoliczność obciążającą. Varona był już nawet gotów zwracać się do niego per J.C., żeby tamten się zamknął, ale w chwili olśnienia uświadomił sobie, że to tylko pogorszyłoby sprawę. Pizarro mógłby go uznać za przyjaciela i wyjąć zdjęcia dzieciaków.

– Varona! – Usłyszał zza pleców. – Zostaw mi chociaż jedno piwo, przeklęty ochlapusie!

Odwrócił się. Pizarro szukał go wśród tłumu, wyciągając szyję niczym peryskop. Varona schylił głowę i przedzierał się w stronę puszek. Pijąc z pierwszej, a drugą chowając do kieszeni, przyjrzał się budynkowi – wielkiej trzypiętrowej willi w stylu art déco, z zaokrąglonymi balkonami i fasadą w pastelowych odcieniach, wokół której ścielił się trawnik przystrzyżony jak głowa żołnierza. Sosny i jodły otaczały dom niczym

gigantyczni ochroniarze. Po lewej stronie widać było fragment czegoś, co wyglądało na basen olimpijski. Wszystko czyste, nowe i drogie. To miejsce nie przypominało domu starców, lecz luksusowy hotel dla milionerów pragnących na jakiś czas odizolować się od świata.

Varona z drugim piwem w ręku ruszył w stronę budynku. Nagle drogę zastąpił mu młody człowiek.

– Przepraszam, ale musi pan poczekać, aż rozpocznie się oprowadzanie dla całej grupy.

Miał na sobie niebieski garnitur z gatunku tych, które niczym mundury nosili pracownicy Ministerstwa Prawdy.

– Jeśli mnie pan przepuści, zdradzę panu tajemnicę – rzekł Varona. – Można nosić garnitury w innych barwach i wydawać się równie nudnym.

– Jakiś problem, Máximo?

Obok Varony zmaterializowała się kobieta w poważnym kostiumie, poważnych czarnych butach, z poważną fryzurą i najpoważniejszym uśmiechem, jaki widział.

– Chciałem tylko zajrzeć, nie wolno? – zapytał dziennikarz.

– Max – zwróciła się do młodzieńca kobieta. – Idź pomóc w środku.

Chłopak spuścił głowę i zniknął we wnętrzu willi.

– Przepraszam pana – zwróciła się do Varony kobieta – ale staramy się jak najmniej przeszkadzać mieszkańcom. Dlatego prosimy państwa o trzymanie się grupy. Czy byłby pan uprzejmy wrócić do pozostałych?

I znów zaprezentowała mu swój poważny uśmiech, jakby odsuwała połą marynarki, by pokazać broń.

Zawrócił. Skoro życzyli sobie, żeby po cichutku pił piwo z innymi dziennikarzami, nie będzie protestował. Zgodnie z jego przypuszczeniami ta wycieczka miała więcej wspólnego z propagandą niż z ułatwianiem pracy mediom. Największą nauką w życiu są kopniaki, więc kiedy

sprawy idą zbyt gładko, wiadomo, że coś śmierdzi. W tym wypadku na kilometr śmierdziało cyrkiem, a oni, dziennikarze, mieli w nim odegrać rolę klaunów.

Kiedy ludzie z ministerstwa uznali, że stos piwa wystarczająco się zmniejszył, rozpoczęli wycieczkę. Wprowadzili wszystkich do budynku i pokazywali im ogromne sale, czyste i lśniące niczym narzędzia chirurgiczne. Jednoosobowe sypialnie z nowoczesnymi łózkami pielęgnacyjnymi i wielkimi ekranami plazmowymi. Mijanych gości pozdrawiali uroczy, uśmiechnięci, jakby wyjęci z reklamy lekarze i pielęgniarki. Oprowadzający gości pracownik ministerstwa perorował o wspaniałościach rezydencji, którą nazwano Projektem numer 1.

– Ten dom będzie wzorem dla kolejnych, które wkrótce powstaną. Wszystkie mają na celu troskę o dobrostan naszych seniorów. Tylko ten cel nam przyświeca. Dołożyliśmy wszelkich starań i środków, by...

„Typowa gadanina przedstawiciela handlowego chcącego sprzedać swój produkt – pomyślał Varona. – Nie ma w niej nic, co mogłoby zainteresować dziennikarzy”. Robiło się monotonnie. Przechodzili z pomieszczenia do pomieszczenia, jakby to było muzeum: sala rehabilitacji, sala gier, sala kinowa, spa... Wszystko wypucowane i lśniące jak aureola świętego. Ale dopiero w ogrodzie za domem czekało danie główne – mieszkańcy domu. Varona zobaczył przez wielkie okna grupę osób w podeszłym wieku gawędzących i popijających kolorowe soki. Siedzieli przy stołach równie białych jak wszystko w tej posiadłości, pod chroniącymi przed słońcem parasolami. Koledzy Varony otoczyli ich i zasypywali pytaniami, nagrywając wszystko na telefonach. On wolał zaczekać. Ci starszankowie byli jacyś... nierealni. Niemal perfekcyjni. Niczym z reklamy uniwersytetu trzeciego wieku. Odślonięte w uśmiechu lśniące białe zęby, siwe czupryny emanujące elegancją i bynajmniej niekojarzące się ze starością, zmarszczki

jakby rozmieszczone strategicznie, by zaakcentować osobowość i przykuć uwagę. Wyglądali jak młodzi ludzie przebrani za starców. Varona podszedł do grupy rozmawiającej z jakąś panią, która wydawała się zachwycona poświęcaną jej uwagą.

– Tu jest po prostu cudownie. Mamy wszystko. Gdybym wiedziała, wprowadziłabym się wcześniej. Mam tu lepiej niż w domu...

Bezskutecznie szukał w kieszeni marynarki kolejnej puszki. Trudno się tego słuchało o suchym pysku. Następny był staruszek, który gdyby nie siwe włosy, mógłby uchodzić za najmłodszego wśród zgromadzonych.

– Personel traktuje nas tak cudownie, jakbyśmy mieszkali w luksusowym hotelu. Gdy wczoraj gawędziłem z jedną z pań, stwierdziłem, że czujemy się jak na nieustających wakacjach. Na pewno lepiej niż w domu.

„Wykuli swoje kwestie na pamięć”, pomyślał Varona.

„Lepiej niż w domu” – Ministerstwo Prawdy ewidentnie chciało przeczytać taki tytuł w większości jutrzejszych serwisów informacyjnych. I Varona nie wątpił, że tak się stanie.

Cofnął się do budynku w poszukiwaniu piwa. Ledwie się tam znalazł, zauważył w korytarzu pielęgniarkę i ruszył w jej stronę.

– Dzień dobry! Jestem dziennikarzem. Nie ma pani nic przeciwko temu, żebym zadał kilka pytań? Nic szczególnego. Po prostu jestem ciekaw, jak się tu pracuje. Czym się pani zajmuje w rezydencji i tak dalej.

Im dłużej mówił, tym bardziej bladła jej twarz. Kobieta wyraźnie wpadła w panikę. Otworzyła usta, ale nie była w stanie nic powiedzieć. Tylko wargi jej drżały.

– Już drugi raz muszę panu przypomnieć, że nie należy się odłączać od grupy. – Z odsieczą przysłała pielęgniarence kobieta o poważnym uśmiechu.

– To tylko parę prostych pytań. Chciałbym poznać też opinię pracowników.

– Camilo, wracaj do pracy – poleciła podwładnej kobieta, ignorując obecność dziennikarza.

Pielęgniarka skłoniła się lekko i z wyraźną ulgą uciekła do swoich zadań.

– Proszę wracać do grupy. I żeby nie musiała pana upominać po raz trzeci. – W pozornie neutralnych słowach pobrzmiwała groźba.

– Rozumiem. Robicie nam tu dyktando. Dzieci, napiszcie: „Tu jest lepiej niż w domu” i nie wyjeżdżajcie poza linijki. Zgadza się?

– Proszę się nie obawiać – powiedziała kobieta, udając, że nie usłyszała tej uwagi – po zwiedzaniu dostaną państwo więcej piwa.

I wykrzywiła usta w uśmiechu przywodzącym na myśl rozbrzmiewający w ciemnościach strzał.

Wrócił do ogrodu. Pizarro rozmawiał ze staruszką, którego twarz wydała się Varonie znajoma. Był pewien, że gdzieś go już widział, ale nie pamiętał gdzie. Postanowił dołączyć do rozmowy.

– Varona – zażartował Pizarro – jesteś jak wirus. Wystarczy trochę alkoholu i znikasz. Przedstawiam ci Sebastiana... Przepraszam bardzo, wyleciało mi z głowy pańskie nazwisko.

– Blázquez Salazar. Sebastián Blázquez Salazar, do usług – odparł staruszek, wyciągając rękę i ściskając dłoń Varony tak mocno, że omal nie zmiażdżył mu kości.

– Przepraszam, czy myśmy się już nie spotkali? – zapytał dziennikarz, baczenie przyglądając się rozmówcy.

Staruszek patrzył na niego przez chwilę.

– Chyba nie. Przykro mi.

– Nieważne. Musiałem pana z kimś pomylić.

Gdy Pizarro zaczął opowiadać jedną ze swoich przyciężkich historyjek, których bohaterami zawsze byli on albo ktoś z jego rodziny, Varona poczuł nieodpartą chęć ucieczki.

Po pewnym czasie członkowie biura prasowego ministerstwa uznali, że wizyta dobiegła końca, i poprowadzili dziennikarzy do wyjścia. Gdy Varona wsiadał z pozostałymi do autobusu, po raz ostatni rzucił okiem na Projekt numer 1. Czuł się jak na występie iluzjonisty: wszystko wyglądało cudownie, lecz oczywiście było, że kryje się za tym sztuczka. W jednym z okien zobaczył kobietę o poważnym uśmiechu prowadzącą ożywioną rozmowę z Sebastianem Blazquezem. Oboje wskazywali autobus. W pewnej chwili kobieta wbiła wzrok w Varonę, a ten pomachał jej na pożegnanie.

– Nie macie wrażenia, że ci staruszkowie wyglądali lepiej niż wielu z nas? – zapytał kolegów stojących przed nim w autobusie.

– Varona, nawet trup rozjechany przez pociąg wygląda lepiej niż ty!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Tutaj! – Pizarro zajął dla niego miejsce na końcu.

„Niech to szlag – pomyślał Varona. – Jak ja z nim wytrzymam bez piwa?”

Po powrocie do redakcji nadal zachodził w głowę, skąd zna twarz tamtego staruszka. Miał prawie pewność, że gdzieś go już widział. Cała wizyta w domu seniora była wielką farsą. Emeryci wyglądający jak ludzie w sile wieku, dom starców przypominający statek kosmiczny, darmowe piwo bez ograniczeń dla dziennikarzy, pielęgniarki wpadające w popłoch, gdy się im zadało pytanie... A wszystko to pod ścisłą kontrolą, żeby przypadkiem nikt nie wyłamał się ze schematu. Ministerstwo Prawdy chciało bez wzbudzania

podejrzeń wykorzystać dziennikarzy do promowania swojej kampanii mającej na celu uwięzienie emerytów. Wszyscy mieli się cieszyć i klaskać jak tresowane foki na widok sardynki. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej coś ścisnęło go w żołądku. Za tym wszystkim musiała się kryć jakaś grubsza afera, a tamten staruszek mógł stanowić klucz do rozwiązania zagadki.

Varona wpisał w wyszukiwarkę jego nazwisko, ale na zdjęciach, które się wyświetliły, zobaczył kogoś innego. Czyżby podał niepoprawne dane? A może po prostu w sieci nie było jego fotografii?

– Słuchajcie – zwrócił się do młodych kolegów po fachu – jak znaleźć w internecie gościa, którego kojarzę z widzenia?

– Próbowalesz wpisać w wyszukiwarkę jego nazwisko? – zapytał protekcjonalnie chłopak o wyglądzie kogoś, kto przed każdym wejściem do dyskoteki musi okazywać dowód osobisty.

– Nie będę się zniżał do odpowiedzi na to pytanie – mruknął Varona. – Ktoś na odmianę ma do zaproponowania coś mądrego?

– Zawęż pole wyszukiwania: według wieku, wyglądu, koloru oczu. Dzięki temu możesz eliminować niewłaściwe wyniki. W sieci jest wszystko – odparł kolega w okularach z grubymi szklami.

– Jeśli uważasz, że tak złożony świat jak nasz można zredukować do ciągu zer i jedynek, to jesteś głupszy, niż się wydajesz – stwierdził Varona. – Internet to tylko jeden ze sposobów postrzegania tego, co nas otacza, i to bynajmniej nie najlepszy. Nie chciałbym was rozczarować, ale czy wiecie, w jakim celu używa internetu większość ludzi? Zgadliście. Do oglądania porno.

Odpowiedziało mu chóralne prychnięcie.

– Cóż, moi drodzy, choć niewiele mi pomogliście, udzielę wam rady – oznajmił wielkodusznie Varona, wstając i wkładając marynarkę. – Kiedy

dziennikarz nie znajduje tego, czego szuka, powinien się udać do baru. Znajdzie tam więcej informacji niż w Google'u.

Nie zauważył, że rozmawiający przez telefon Sánchez-Bravo mu się przygląda.

– Nie wiedziałem, że się tam wybiera. Tak, jasne, będę go miał na oku – powiedział redaktor naczelny i rozłączył się dokładnie w momencie, w którym Varona wychodził z biura.

Szedł chodnikiem i planował topić swoje troski w rumie z colą, póki nie znikną... Lecz nagle stanął jak wryty. Nie do wiary! Cofnął się o kilka kroków i spojrzał na wystawę po prawej stronie. W lokalu mieściła się klinika dentystyczna oferująca bezbolesne wstawianie implantów i wybielanie zębów laserem, a reklamował ją plakat z gigantyczną twarzą staruszka szczerzącego w uśmiechu nierealnie białe uzębienie. Był to nie kto inny jak Sebastián Blázquez, o ile faktycznie tak się nazywał. W rogu plakatu widniała nazwa agencji prowadzącej kampanię reklamową. „Mam cię”, pomyślał Varona. Nie mylił się – nie wszystko dało się znaleźć w internecie.

Podstawowym zadaniem dziennikarza jest przemierzanie telefonicznych labiryntów. Varona tak długo przyciskał aparat do ucha, aż poczerwieniało. Robił wszystko, by zidentyfikować staruszka z Projektu numer 1. Najpierw zadzwonił do agencji odpowiadającej za reklamę kliniki dentystycznej. Tam dano mu kontakt do firmy zajmującej się castingiem modeli. Po wielu minutach oczekiwania był przerzucany w nieskończoność między działami niczym gorący ziemniak, aż ktoś się zlitował i dał mu numer do osoby reprezentującej Sebastiana Blazqueza. Wstukał go i kliknął „połącz”. Odebrano po trzecim sygnale.

– Agencja artystyczna Bellagio i Spółka. Czym mogę służyć?

– Dzień dobry. Mam propozycję dla jednego z państwa klientów.

– Już pana łączę.

W słuchawce zabrzmiała stara piosenka Ramones grana na ksylofonie. „Dobra sztuczka, jeśli chcemy się pozbyć klientów”, pomyślał Varona.

– Słucham, czym mogę służyć?

Był niemal pewien, że słyszy ten sam głos co przedtem.

– Dzwonię z wytwórni... – Otworzył wyszukiwarkę i wpisał „wytwórnia filmowa”. – Global Real Films. Jesteśmy zainteresowani jednym z reprezentowanych przez państwa modeli. Nie znam nazwiska. Chodzi o człowieka występującego w reklamie kliniki dentystycznej. Dostałem ten numer od agencji, która realizowała tamtą kampanię. Chodzi o takiego siwego mężczyznę z uzębieniem tak białym, jakby pochodził z innej planety.

– To na pewno Rafa, Rafael Ortiz. Nasz najlepszy przedstawiciel tej grupy wiekowej. Jest rozchwytywany. Kliniki dosłownie go sobie wrywają. Jak pan sam widział, choć przekroczył wiek średni, wciąż prezentuje się...

– Ale nie jest jeszcze emerytem, prawda?

– Nie, skąd. Ma jakieś sześćdziesiąt, góra sześćdziesiąt dwa lata. Po prostu z tymi siwymi włosami i tak dalej wygląda na więcej. Dlatego zwykle odgrywa role przystojnych dziadków. Ale do emerytury to jeszcze ho, ho.

„Ciekawe, dlaczego aktywny zawodowo model udawał emeryta mieszkającego w domu seniora – zastanawiał się Varona. – Odstawiał szopkę dla łatwowiernych dziennikarzy?”

– A co chcą państwo zaproponować Rafie? Kolejną reklamę implantów zębowych? – zapytał agent.

– Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Nagrywamy pilota serii dla platformy multimedialnej, której nazwy nie mogę na razie ujawnić, i chcielibyśmy zaproponować panu Ortizowi jedną z głównych ról.

– Nie do wiary! Człowieku, to super! Jaka forsa wchodzi w grę?

– Jeszcze nie pora na rozmowę o pieniądzach. Najpierw musimy zrobić casting i...

– Daj pan spokój i uchyl rąbka tajemnicy. Chodzi mi tylko o przybliżoną liczbę. Cztery zera?

– Jeśli ostatecznie go wybierzemy, to może i pięć.

– Pięć! Człowieku, nawet pan nie wie, ile radości mi sprawił. I pomyśleć, że zdaniem niektórych pieniądze nie dają szczęścia...

– Cóż, są jeszcze miłość, przyjaźń...

– Bzdury. Próbowałem wszystkiego, czego nie można kupić, i jakoś nie jestem zachwycony. Niech mi pan wierzy, wszystko w tym życiu jest kłamstwem, w taki czy inny sposób. A najpiękniejsze kłamstwa to te, których można doświadczyć za pieniądze. Proszę się nie obawiać, Rafa dostanie tę rolę. A właściwie kogo ma grać?

– Tego też nie mogę jeszcze zdradzić. Taką mam umowę z reżyserem. Casting odbędzie się w najbliższy czwartek. Poproszę o adres pana Ortiza.

– Po co?

– Żebyśmy wiedzieli, dokąd mamy posłać samochód, który zawiezie go do studia.

– A, dobrze, dobrze. Samochód! Co za rozmach! Już dyktuję.

18

Varona lubił przed naciśnięciem dzwonka wyobrażać sobie jego brzmienie. Stał w bramie bloku, trzymając palec kilka centymetrów przed przyciskiem do mieszkania D na trzecim piętrze. Czy usłyszy elektroniczną wersję klasycznego „ding-dong”, czy jakiś wariant nieznośnego dla ucha przenikliwego pisku? Palec bezlitośnie przycisnął guzik. Długi pisk. Zły znak.

– Tak? – rozległ się kobiecy głos.

Dziennikarz stanął twarzą do kamery domofonu.

– Dzień dobry, szukam pana Rafaela Ortiza. Jego agent dał mi ten adres.

Brzęczek otwieranych drzwi potwierdził, że półprawda to najlepsze z kłamstw.

Po dotarciu na trzecie piętro Varona zadzwonił do drzwi oznaczonych literą D. Tym razem rozbrzmiało dość długie „ding-dong”. Dobry znak.

W drzwiach stanął mężczyzna z plakatu kliniki dentystycznej i ukazał w uśmiechu nieprawdopodobnie białe zęby.

– Dzień dobry. Pan z agencji? Jakaś nowa propozycja? Proszę tak nie stać, zapraszam do środka.

– Nie poznaje mnie pan?

Siwy mężczyzna z dezorientacją przyglądał się twarzy Varony, nie przestając się uśmiechać.

– Poznaliśmy się wczoraj. Byłem dziennikarzem i nadal nim jestem. Pan natomiast był emerytem wiodącym szczęśliwy żywot w modelowej

rezydencji, a dziś najwyraźniej już pan nim nie jest.

Olśniewający uśmiech zniknął tak błyskawicznie, jakby spadł na podłogę i się roztrzaskał.

– Lepiej porozmawiajmy na zewnątrz – rzekł fałszywy staruszek. – Kochanie – zwrócił się do kobiety – wyskoczę z panem na kawę. Zaraz wracam.

W milczeniu wyszli na ulicę. Varona wiedział z doświadczenia, że ciszę trudniej jest znieść komuś, kto ma coś do ukrycia.

– Nie wiem, czego pan ode mnie chce! – Ortiz nie wytrzymał. – Jestem aktorem. Wynajęto mnie do odegrania roli. Co w tym złego?

– Czy ja wyglądam na idiotę? – Dziennikarz nie owijał w bawełnę, by nie dać tamtemu chwili wytchnienia.

– N... nie... nie mam pojęcia, o co panu chodzi.

– O to, że zachowuje się pan, jakby to, co wydarzyło się wczoraj w pilotażowej rezydencji, było komedią Calderona de la Barca. Zapytam więc raz jeszcze: wyglądam na idiotę?

Modelowy emeryt posepniał coraz bardziej. Nieziemski uśmiech ulotnił się na dobre.

– Nie przeczę, że wczorajsze wydarzenie było komedią – kontynuował Varona – ale jeśli mam oglądać fikcję, wolę być o tym uprzedzony. Wziął pan udział w oszustwie, i to poważnym, bo nie chodziło w nim bynajmniej o oszukanie grupy dziennikarzy, lecz o przekonanie całego społeczeństwa do pomysłu cudownych rezydencji, w których emeryci będą wiedli szczęśliwy żywot, oczywiście tylko na papierze. Ale w każdej bajce pojawia się wilk, który psuje sielankę, a w tej bajce wilkiem jestem ja. Tak więc jeśli pan nie chce, żeby jutro rano pańskie imię i dwa nazwiska znalazły się w nagłówku mojego artykułu, lepiej zmieńmy gatunek literacki i przejdźmy do brudnego realizmu.

– W... wołałbym uniknąć problemów. Kazali nam podpisać klauzulę tajności. Jeśli się dowiedzą, że ją złamałem, to nie wiem, co zrobią.

– Oni, czyli kto?

Rzekomy staruszek stanął jak wryty na środku chodnika.

– Serio pan pyta? Jeśli nie chce pan wyglądać na idiotę, proszę nie zadawać głupich pytań.

Varona musiał przyznać, że pytanie nie miało sensu.

– Wynajęło was Ministerstwo Prawdy.

– Tak. Ludzie z biura prasowego.

– I co wam powiedzieli?

– Proszę najpierw obiecać, że nie zamieści pan w artykule mojego nazwiska. Nie wiem, dlaczego w ogóle z panem rozmawiam. Wystarczyłby jeden telefon do nich, żeby przestał mnie pan nachodzić.

– Myślę, że to by panu nie wyszło na dobre i pan o tym wie. Jeśli pan do nich zadzwoni, dowiedzą się, że zdemaskował pana dziennikarz. Mogą pomyśleć, że nie będzie jedyny, i dołożyć wszelkich starań, żeby nikt nie zepsuł wczorajszego teatrzyku. Musieliby pana ukryć w miejscu, do którego nikt nie dotrze, jakby nagle rozpląnął się pan w powietrzu. Przychodzi panu do głowy takie miejsce?

Dłonie mężczyzny drżały tak, że wyglądały jak poruszone zdjęcie. Kąciki ust wygięły się do dołu.

– Mówili... ostrzegali...

– Panie Blázquez, Ortiz, czy jak tam się pan w tym tygodniu nazywa, jeśli nie opowie mi pan dokładnie, co się wczoraj wydarzyło w rezydencji, pańskie nazwisko zostanie zapisane w moim artykule dużymi literami. I zapewniam, że ludzie z Ministerstwa Prawdy nie będą zachwyceni.

– A więc tak zdobywacie informacje? Szantażując porządnych ludzi?

– Uwielbiam porządných ludzi, ale tu żadnego takiego nie widzę. Zapytam raz jeszcze: co kazali wam robić?

Patrząc, jak Ortiz po raz kolejny unosi dłoń do brody, a potem oblizuje wargi, Varona musiał przyznać, że gość faktycznie jest dobrym aktorem. Szczególnie świetnie wychodziły mu pauzy dramatyczne.

– Niewiele nam wyjaśnili, za to wiele wymagali. Pilnowali każdego szczegółu. Nie chcieli, żeby cokolwiek wypadło źle. Dzień wcześniej zebrali nas w rezydencji, żeby rozdzielić role i zrobić próbę. Musieliśmy po kilka razy powtarzać kwestie. Nauczyli nas nawet, jak się uchylać od odpowiedzi, których nie przygotowali. Oczywiście dotyczyło to tylko osób odgrywających emerytów, bo pielęgniarze, lekarze i inni pracownicy, których pan tam widział, byli statystami.

Varona zrozumiał przerażenie na twarzy rzekomej pielęgniarki, którą chciał przepytać, i zaangażowanie, z jakim przybiegła jej na pomoc kobieta o poważnym uśmiechu.

– I co mieliście mówić dziennikarzom?

– Och, nic wielkiego. Wymyślili dla każdego z nas postać z rodziną i przeszłością, mnóstwem wnuków i tak dalej. Musieliśmy wszystko zapamiętać. Chodziło tylko o to, żeby wiarygodnie odgrywać role, bo poza tym mieliśmy głównie opowiadać wam napisane przez nich historie o wspaniałości naszej placówki i jej personelu. Bardzo nalegali na powtarzanie: „Tu jest lepiej niż w domu”. Kiedy przeczytałem to zdanie, wydało mi się dość głupie, ale wie pan co? – Twarz aktora znów zajaśniała w uśmiechu, jakby zamiast ust miał wbudowaną żarówkę LED. – Dziś widziałem je w większości tytułów prasowych. Ci goście z ministerstwa są cwani. Znają się na rzeczy.

Varona nie był zachwycony, że musi znów patrzeć na ten uśmiech.

– Miał pan niezły ubaw z tego, że udało się nabrać głupich dziennikarzy, co?

– Nie ja to powiedziałem.

Szli powoli chodnikiem. Varona wiedział, że byłoby lepiej usiąść w kawiarni. W przyjemnym otoczeniu ludzie się otwierają. Stają się gadatliwi. Ale ten typ coraz bardziej go mierział. Sprawiał wrażenie kogoś, kto przez całe życie niczego nie kwestionuje ani w nic nie wątpi. Uśmiecha się do świata jak plastikowa lalka, nie widząc nic oprócz czubka własnego nosa.

– A jak pan myśli: po co ministerstwo uknuło tę farsę?

– Hmm, trudno mi powiedzieć... Nie lubię się wtrącać w cudze sprawy. Po prostu zrobiłem swoje i wyjechałem.

– Daj pan spokój. Na pewno coś panu przyszło do głowy. Nie codziennie wynajmuje się ludzi, żeby okłamywali dziennikarzy.

– Prawdę mówiąc, nie interesuje mnie to. Gdy dobrze płacą, nie zadaję pytań.

Varona zbliżył twarz do twarzy fałszywego emeryta bardziej, niż było to konieczne.

– Czy już panu powiedziałem, że ma pan olśniewający uśmiech?

Niejaki Rafa Ortiz ponownie odsłonił zestaw zębów białych niczym szaty Ku-Klux-Klanu.

– Ale nie powinien go pan tak często demonstrować. Ludzie, którzy często się uśmiechają, sprawiają wrażenie kretynów. Miłego dnia!

– Obiecał mi pan! Obiecał pan, że nie opublikuje mojego nazwiska!

Varona oddalał się, nie zważając na krzyki, a z każdym jego krokiem tamten facet stawał się mniejszy – znacznie, znacznie mniejszy.

Żeby wrócić do redakcji, zamówił przez aplikację taksówkę bez kierowcy. Nie lubił gadać z taksówkarzami, więc odkąd w Madrycie wprowadzono samoobsługowe auta, szybko stały się jego ulubionymi.

W pojeździe obmyślał dalsze kroki. Wiedział, że Ministerstwo Prawdy kłamie i że prezentacja pilotażowej placówki dla seniorów była farszą. Ale po co im to? Co chcieli zyskać? Czas? To nie miało sensu. Przecież to oni wyciągnęli z rękawa pomysł tych domów. Nikt ich nie zmuszał do pośpiechu, a już na pewno nie musieli być gotowi na żaden konkretny dzień. O co tu więc chodziło? Kiedy o tym myślał, taksówka przejechała obok imponującego gmachu ministerstwa – ogromnej, ciemnej, oszklonej krosty na twarzy miasta. Nagle zauważył, że czegoś tam brakuje. Staruszków, którzy codziennie protestowali przed budynkiem. Wtedy zrozumiał wszystko. Zawrzała w nim krew.

– Gdzie oni są? – Ucisk w żołądku upewnił go, że się nie myli. – Gdzie są emeryci? Co oni z nimi zrobili?

Już wiedział, jaki będzie jego następny krok. Musiał ich znaleźć.

Po raz pierwszy od bardzo dawna poczuł to, co czują jedynie dziennikarze, którzy odkryli tajemnicę. Tacy, którzy wiedzą coś, czego nie wie nikt inny.

„To lepsze niż seks – pomyślał. – Lepsze niż alkohol czy narkotyki. No, zależy jeszcze, jaki narkotyk”.

W jego telefonie rozbrzmiało *Satisfaction* Rolling Stonesów. Na ekranie wyświetliło się nazwisko Julii Romero. Wcisnął zielony guzik.

– Varona, potrzebuję twojej pomocy. Właśnie dzwonili z Instytutu Medycyny Sądowej. Mówią, że drugie badanie potwierdziło samobójstwo ojca. Jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie załatwimy niezależnej autopsji, ciało zostanie skremowane i ustalenia drugiej sekcji staną się oficjalne.

– Spokojnie. Już ci podaję namiar na doktora Gilarranza. Współpracowałem z nim przy różnych sprawach, którymi się zajmowałem, i zawsze był gotów na wydanie dodatkowej opinii. Powiedz mu, że dzwonisz w moim imieniu. A tak poza tym jak się czujesz? Dotarłaś do artykułów ojca?

– Gdzie tam. Ktoś je wykasował zarówno z „Czasu”, jak i z biblioteki. I co ciekawe, zrobił to dosłownie chwilę przed moim dotarciem w oba te miejsca. Jakby wiedział, co zamierzam.

– Brzmi, jakby ministerstwo likwidowało wszelkie dowody.

– Na to wygląda. Dlatego nie chcę, żeby zlikwidowali także ten ostatni.

– Bez obaw, w razie problemów dzwoń. Wpadłem na coś, co może im pomieszać szyki. Możliwe, że wszechmocne ministerstwo wkrótce dostanie od nas kopniaka tam, gdzie najmniej się go spodziewa.

Na widok swojej pociemniałej twarzy odbijającej się w czarnym ekranie telefonu Julia odniosła wrażenie, że patrzy w lustro weneckie z sali przesłuchań, a po drugiej stronie wpatrują się w nią setki niewidocznych oczu podążających za nią wszędzie jak cień. W pewnym sensie naprawdę tam były. Mroczne sylwetki ukryte w czarnej dziurze i robiące, co w ich mocy, by wymazać wszelką pamięć o jej ojcu. Przyczajone, przyklejone do jej pleców kształty bez twarzy czekające na właściwy moment do ataku.

„Daj spokój. To tylko twoje rojenia – powtarzała sobie. – Tracisz rozum. Nikt cię nie śledzi, a z twoim telefonem nie dzieje się nic dziwnego. Po prostu zadzwoń pod podany przez Varonę numer i pogadaj z doktorem Gilarranzem”.

Już miała wstukać cyfry, ale coś jej się przypomniało. Nie. Nie traciła rozumu. Nie wymyśliła sobie tego, że artykuły ojca wymazywano kilka minut przed tym, jak próbowała je przeczytać. I jeszcze ten cały inspektor

Valverde, który widział ciało ojca na miejscu zdarzenia i nie zgadzał się z opinią wydaną podczas autopsji.

Upuściła telefon na stół, jakby parzył. Miała ostatnią szansę, by wykazać, że ojca zamordowano, i tym razem nie zamierzała ułatwiać zadania czyhającym po drugiej stronie linii ceniom.

Wyszła na ulicę, znalazła sklep jednego z operatorów komórkowych i kupiła telefon na kartę. Musiała podać swoje dane i numer dowodu osobistego. Wiedziała, że tym z ministerstwa włamanie się do nowego aparatu prawdopodobnie nie zajmie wiele czasu, ale miała nadzieję, że zanim to zrobią, zdąży załatwić sprawę.

Wyszła ze sklepu, włożyła kartę i wstukała numer od Varony.

– Dzień dobry. Doktor Gilarranz?

– Tak, o co chodzi?

– Dostałam pański numer od Varony, dziennikarza „Obserwatora Cyfrowego”.

– A. Wspominał, że skontaktuje się ze mną jego koleżanka. Czym mogę pani służyć?

– Kilka dni temu mój ojciec spadł z Wiaduktu i zginął. Autopsja przeprowadzona w Instytucie Medycyny Sądowej wykazała samobójstwo. Sprawa jest jednak zagadkowa, ponieważ pewne ślady na ciele mogą wskazywać na coś innego. Konkretnie na zabójstwo. Dlatego chciałabym, żeby przeprowadził pan jeszcze jedną autopsję.

– Nie ma sprawy. Ci z instytutu to partacze. Jakbym pani opowiedział, co tam widziałem... Ale jeśli pani ojciec zginął kilka dni temu, nie mamy dużo czasu, prawda?

– Ciało zostanie skremowane za niecałą dobę.

W roku 2030 kremacja stanowiła powszechną praktykę. Ziemia tak podrożała, że cmentarze przestały się rozrastać i tylko nieliczni mogli sobie

pozwolić na tradycyjne pochówki.

– Zatem bierzmy się od razu do roboty. Mówi pani, że ciało znajduje się w instytucie. Jak nazywał się pani ojciec?

– Romero, Gabriel Romero.

– Ten dziennikarz?

– Tak. Znał go pan?

Po drugiej stronie zapadło milczenie niezłomne niczym metalowa płyta.

– Doktorze? – Cisza. Nieznośna, ogłuszająca, definitywna. – Jest pan tam? – Cisza wyjątkowo wymowna, bo kiedy doktor w końcu się odezwał, Julia wiedziała już, co usłyszy.

– Mmm... właśnie sobie przypomniałem, że... mam ważne zobowiązanie... Tym razem nie będę mógł pani pomóc, bardzo mi przykro... Jestem wolny w przyszłym tygodniu, może wtedy...

– Przecież pan wie, że nie możemy czekać do przyszłego tygodnia. Co się stało? Wycofał się pan na dźwięk nazwiska ojca.

– Naprawdę bardzo chciałbym pani pomóc, ale to niemożliwe.

– Ktoś panu groził? O to chodzi, prawda? Ostrzegli pana, żeby się pan nie mieszał w sprawę Romero.

– Muszę zakończyć tę rozmowę. Dla własnego dobra i proszę mi wierzyć, że również dla pani dobra.

– Dla mojego dobra? Co, u diabła, pan przez to rozumie?

Sygnal w słuchawce położył rozmowie kres.

– Nie do wiary. To się nie dzieje.

Wszędzie wokół wyrastały mury. A ilekroć o nie uderzała, nabijała sobie guza. Guza, który niczego jej nie uczył – jedynie ją frustrował. Chciała zadzwonić do Varony, ale nie znała na pamięć jego numeru.

Musiała wrócić do domu. Przeklęte mury. Coraz wyższe, coraz grubsze. Zatrzymywały ją; przysłaniały widok.

Dotarła do domu i wstukała numer dziennikarza. Zajęte.

– Nie do wiary.

Dławiła ją rozpacz, strach pozbawiał tchu. Jeszcze trochę i zamurują ją żywcem. Zadzwoiła raz jeszcze. Odpowiedziało jej nieprzerwane pikanie, jakby ktoś po drugiej stronie śmiał się do rozpuku i obserwował, jak Julia miota się od ściany do ściany.

– To się nie dzieje.

Varona uniósł lewą rękę, by spojrzeć na zegarek. Wskazówki tworzyły kąt rozwarty: 11:15. Jego głowa mówiła, że to za wcześnie, by się wymknąć do baru, ale wątroba miała inne zdanie. „Trzewia miewają znacznie gorsze pomysły niż mózg, ale znacznie zabawniejsze”. Przeklął pod nosem istnienie godzin, w których picie nie jest akceptowane społecznie. Obok niego młodzi koledzy puszczała na telefonie jakąś piosenkę. Brzmiała jak elektroniczna wersja odgłosów wydawanych przez staczającą się ze schodów puszkę.

– Możecie to ściszyć? – zapytał, zastanawiając się, czy bardziej przeszkadza mu pora, czy hałas.

– Co jest? Nie podoba ci się nowy utwór Pandemica?

– Podziwiam twoją przenikliwość. Daleko zajdziesz.

– Może po prostu go nie rozumiesz. To fuzja trapu z k-popem, odrobiną subnopopu i folku.

– Połączenie trzech elementów daje koktajl. Połączenie czterech lub więcej to miszmasz.

– Niezłe. Gdzie się tego nauczyłeś?

– Godzina spędzona w barze uczy człowieka więcej niż rok surfowania po internecie.

– Mów, co chcesz, ale moim zdaniem Pandemic ci się nie podoba, bo nie jest z twojej epoki. Typowe narzekanie boomera. Krytykujesz to, czego nie rozumiesz. Na pewno wciąż słuchasz tych starych kapel z gitarami elektrycznymi.

Miał rację. Varona poczuł się stary, bardzo stary. I zmęczony. Jego potrzeba napicia się jeszcze wzrosła. Postanowił więc zrobić to, co wszyscy: ukryć się pod skorupą pracy, by nie musieć myśleć o tym, w co zmienia się jego życie. Skoncentrował się na zniknięciu protestujących starszków. Udało mu się odnaleźć ponad dziesięć stowarzyszeń emerytów, które aktywnie uczestniczyły w różnych manifestacjach, ale w żadnym z nich nikt nie odbierał telefonu. Jakby wszystkie wyparowały. Nie miał pojęcia, jak do nich dotrzeć.

„Dobry dziennikarz to taki, który umie syntetyzować: od ogółu przechodzi do szczegółu”, wpajano mu na studiach. I właśnie to musiał zrobić. Manifestację tworzy tłum, ale na tłum składają się jednostki. Varona zabrał się do poszukiwania rozmów z uczestnikami protestów. Całe szczęście, że nie urwał się z tamtych zajęć, by grać w karty przy piwie.

– No proszę, jednak nie wszystkiego uczymy się w barze.

Szybko zauważył, że w wielu przekazach telewizyjnych powtarza się ta sama postać. Starsza, dobrze zbudowana kobieta o siwych włosach upiętych w ciasny kok. Zmarszczki podkreślały jej osobowość i nadawały twarzy osobliwe piękno, jakim starość nagradza kogoś, kto w życiu częściej śmiał się, niż płakał. Podpis na ekranie identyfikował ją jako aktywistkę Victorię Gálvez. Varona wpisał nazwisko w wyszukiwarkę i wyskoczyły mu setki informacji o udziale Victorii w manifestacjach, za to nic o jej prywatnym życiu. Żadnej nitki, po której mógłby ruszyć do kłębka. Zaczął szukać

w mediach społecznościowych. Owszem, była tam. Wyglądało jednak na to, że nie przepada za lansowaniem się w internecie. Jej wpisy ograniczały się niemal wyłącznie do udostępniania informacji o organizowanych protestach. Ostatni pochodził sprzed dwóch miesięcy. Kliknął w „O mnie” i znalazł tam zięjącą, bezduszną pustkę. Kliknął w „Zdjęcia” i wreszcie trafił na skarb. Przynajmniej w tym dziale kobieta zrobiła sobie wolne od działalności społecznej i opublikowała kilka fotografii: Victoria z wnukami, Victoria z psami, Victoria z tortem...

– Nie ma co, niezła babcia. Rano piecze ciasto, a wieczorem przygotowuje koktajl Mołotowa.

Victoria na rowerze, Victoria na plaży, Victoria przy kieliszku z koleżankami...

„Próżność i pozory. Wszyscy publikują w mediach społecznościowych te same bzdury. Jedni mają więcej kasy, inni mniej, ale wszyscy epatują fałszywym szczęściem jak w reklamie płatków śniadaniowych”, myślał. Nagle przed oczami stanął mu plakat kliniki dentystycznej z nieodgadnionym uśmiechem Rafaela Ortiza. Ta mroczna, śliska istota, która żyła wewnątrz niego, znów zaczęła się domagać kieliszka. Starał się ignorować jej żądania, choć wiedział, że długo nie wytrzyma. Kontynuował przeglądanie zdjęć na profilu aktywistki. Im dalej sięgał, tym bardziej młodziła.

Victoria na wieży Eiffla, Victoria z dziećmi...

– Zaraz, zaraz...

Kiedy najechał kursorem na zdjęcie, pokazały się dane jednego z dzieci. Imię i dwa nazwiska: Gonzalo Alcahud Gálvez. Wpisał całość w wyszukiwarkę i otrzymał sporo wyników. Machnął ręką na media społecznościowe. Gonzalo nie wyglądał na kretyna, który podawałby na profilu swój numer telefonu. Ale jeden z wyników wyglądał obiecująco:

Gonzalo Alcahud Gálvez miał profil w serwisie biznesowym umożliwiającym firmom poszukiwanie kandydatów do pracy. Żeby zdobyć dostęp do jego danych, Varona musiał wykupić usługę premium.

Wstukał numer telefonu. Gonzalo odebrał po drugim dzwonku.

– Halo?

– Dzień dobry. Nazywam się Alfredo Varona, jestem dziennikarzem „Obserwatora Cyfrowego”. Chciałbym panu zadać...

– W końcu jakiś dziennikarz raczył się odezwać.

– Dlaczego oczekiwał pan telefonu od dziennikarza? – zdziwił się Varona.

– Z powodu mojej matki. Dzwoniłem już do wszystkich! Do prasy, telewizji, radia, youtuberów, Twitcha, i nikt nie zająknął się o tym słowem ani do mnie nie zadzwonił.

– Pańskiej matki?

– Tak! To kpina! Oni nie mają serca! Zrobić coś takiego kobiecie w jej wieku! To przez protesty. Chcą zamknąć im wszystkim usta. Ale ja nie spocznę...

– Chwileczkę. Zaczniemy od początku, bo nic nie rozumiem. Proszę mi powoli wytłumaczyć, co spotkało pańską matkę.

– Zabrali ją. Tego samego dnia, w którym wydali dekret zmuszający osoby powyżej siedemdziesiątego roku życia do zamieszkania w rezydencjach dla seniorów.

– Według komunikatu prasowego zamieszkanie tam miało być dobrowolne, chyba że wynika ze wskazań medycznych.

– Rwa kulszowa. Matka ma ataki rwy kulszowej. Ci dranie uznali to za wystarczający powód, by wyciągnąć ją z domu w nocy, kiedy nikt nie widzi. Nawet nie pozwolili jej zadzwonić do rodziny. Gdyby nie sąsiadka,

która usłyszała krzyki i nas powiadomiła, nie mieliśmy pojęcia, co się z nią stało.

– Kto to był? Wylegitymowali się?

– Lekarz i paru sanitariuszy. Powiedzieli, że są pracownikami rezydencji. Ale dokument zezwalający na zabranie mojej matki sporządzono na papierze firmowym Ministerstwa Prawdy.

Ciemna, oślizła istota wewnątrz Varony ugryzła go w brzuch od środka, stanowczo domagając się ofiary z alkoholu. Wiedział, że będzie musiał spełnić żądanie, ale jeszcze nie teraz.

– Teoretycznie relokacja miała się rozpocząć dopiero za kilka miesięcy, kiedy powstanie sieć placówek – zauważył.

– Zapewniam pana, że w przypadku osób walczących z systemem już się rozpoczęła. Ostrzegałem ją! Mówiłem, żeby przestała mącić. Że prędzej czy później poniesie konsekwencje swoich działań.

W telefonie Varony rozbrzmiał dźwięk sygnalizujący próbę połączenia. Cóż – ktokolwiek chciał z nim rozmawiać, musiał poczekać.

– Gdzie jest teraz pańska matka?

– W module mieszkalnym, jak nazwał to tamten lekarz. W Ojos Albos. To wieś w prowincji Ávila. Dotąd nie udało mi się z nią zobaczyć. Powiedzieli, że każdemu z seniorów przysługuje jedna wizyta w miesiącu. Godzinna! Pańskim zdaniem to normalne? To pogwałcenie podstawowych praw człowieka! Chcą, żebyśmy siedzieli jak mysz pod miotłą. Jak to możliwe, że opinia publiczna nie ma pojęcia, co się dzieje? To na waszych barkach, na barkach dziennikarzy, spoczywa nagłośnienie tych nadużyć. Dziś zabierają emerytów, ale wkrótce mogą to zrobić z każdym, kto odważy się protestować...

– Wspominał pan, że kontaktował się z wieloma mediami, próbując opowiedzieć swoją historię. Z „Obserwatorem Cyfrowym” również?

– Jasne. Myślałem, że to dlatego pan dzwoni.

– Pamięta pan, z kim rozmawiał?

– Jak tylko im powiedziałem, o co chodzi, od razu przełączyli mnie do naczelnego, Sancheza coś tam.

– Sancheza-Bravo.

Wypowiadając to nazwisko, Varona przeniósł wzrok na boks naczelnego. Jego szef stał za szybą z rękami w kieszeniach, jakby doskonale wiedział, o czym rozmawia podwładny. Obserwował go czujnie swymi ciemnymi oczami, celując z nich niby z rewolweru. Dziennikarz dostrzegł w głębi jego spojrzenia płomień wystrzału. Kula nienawiści ugodziła go w czoło i poczuł, że coś w nim umiera. Teraz już naprawdę musiał się napić. Ukojenie, którego potrzebował, można było znaleźć jedynie na dnie butelki.

19

Szanowna pani, nie mam w zwyczaju wytykać błędów kolegom po fachu. Miłego dnia.

Kolejny do skreślenia. I tak przez cały ranek. Zamiast pisać artykuł do gazety – jakieś idiotyzmy o youtuberze, który twierdził, że w Hiszpanii trwa inwazja reptilian – Julia bezskutecznie zajmowała się szukaniem lekarza sądowego, który byłby gotów przeprowadzić ponowną sekcję zwłok jej ojca. Rozmówcy dzielili się na dwa typy: na tych, którzy od samego początku nie chcieli o niczym słyszeć, i na tych, którzy początkowo się zgadzali, ale na dźwięk nazwiska Romero natychmiast zmieniali zdanie. Najgorsze zaś było to, że lista potencjalnych specjalistów stawała się coraz krótsza, a czas uciekał. Choć nie chciała się do tego przyznać, powoli traciła nadzieję. A Varona wciąż nie odbierał telefonu. Teraz, gdy najbardziej go potrzebowała.

– Zapadł się pod ziemię czy co?

Ponownie spojrzała na ekran komputera. Następny na liście był doktor Lizana, profesor medycyny sądowej na Uniwersytecie Madryckim. Wcześniej go skreśliła, ponieważ uznała, że osoba piastująca wysokie stanowisko w instytucji publicznej nie zakwestionowałaby wyników innej instytucji publicznej, zwłaszcza Instytutu Medycyny Sądowej, ale w obecnej sytuacji nic nie było oczywiste. Wstukała więc numer profesora. Odebrał po pierwszym sygnale. Przedstawiła się i wyjaśniła, o co chodzi.

– A dlaczego zależy pani na tym, by ciało zostało ponownie zbadane?

– Policjant, który był na miejscu zdarzenia, widział na ciele ślady, których nie odnotowano podczas autopsji. Konkretnie rzecz biorąc, były to otarcia na nadgarstkach i inne obrażenia mogące wskazywać na to, że ojciec miał skrepowane ręce, co wykluczałoby samobójstwo, a sugerowało zabójstwo. Już pan rozumie, dlaczego to dla mnie takie istotne.

– Hmm... Sprawa wydaje się poważna.

– Pan lepiej ode mnie wie, jak należy postępować w takim wypadku, więc z pewnością ma pan świadomość, że czas ucieka. Kremację zaplanowano na jutro.

– Och, tym proszę się nie martwić. Zaraz zadzwonię do instytutu i poproszę, żeby w ramach przysługi dla kolegi po fachu przesunęli ją o dwadzieścia cztery godziny. O siedemnastej kończę zajęcia na uczelni. Co pani na to, żebyśmy się spotkali około osiemnastej w instytucie? Jeśli to, czego szukamy, rzeczywiście widać gołym okiem, nie będę miał wiele do roboty. Proszę tylko podać mi nazwisko ojca, żeby mogli go dla mnie przygotować.

Poczuła w żołądku to samo ssanie, które odczuwa się na widok zbliżającej się betonowej ściany, gdy hamulce odmawiają posłuszeństwa. Zamknęła oczy.

– Gabriel Romero – powiedziała i wtuliła głowę w ramiona, czekając na cios.

– Gabriel Romero. Świetnie. W takim razie, jeśli to wszystko, co chciała mi pani powiedzieć, widzimy się po południu w instytucie.

Nie mogła w to uwierzyć. Naprawdę się zgodził! W końcu ktoś chciał jej pomóc. Zanim się pożegnali, upewniła się, czy jej rozmówca wie, w co się pakuje.

– Dobrze mnie pan zrozumiał? Mój ojciec to Gabriel Romero, ten dziennikarz. Nie ma to dla pana znaczenia?

– A dlaczego miałyby mieć? Chodzi o zbadanie, czy popełniono błąd, który mógłby mieć poważne konsekwencje w procesie wymierzania sprawiedliwości. Nie interesuje mnie nic z wyjątkiem dociekania prawdy.

– Panie profesorze... nie ma pan pojęcia, jak bardzo jestem wdzięczna.

– Podziękuj mi pani, kiedy zakończę pracę. Na razie nic nie zrobiłem.

Rozłączyła się w przekonaniu, że szczęście wreszcie zaczyna się do niej uśmiechać, choć tylko leciutko i na razie dyskretnie.

Varona nienawidził wyjeżdżać z miasta. Czuł się zagubiony, gdy nie otaczały go budynki, a pod stopami nie miał twardych kamieni chodnika albo chropawego asfaltu; gdy porzucał kojącą anonimowość zatracenia się wśród bezkształtnej, bezmózgiej masy, którą nazywano ludźmi. Jechał podrzędnymi drogami w kierunku Ojos Albos udreńczony rozpościerającym się wokół przestworem. Nie zdejmując nogi z gazu, mijał maleńkie wioski, które zdawały się pogrążone w wiecznym marazmie. Prowadzić też nienawidził, zwłaszcza odkąd zabrano mu prawo jazdy za próbę prowadzenia po pijanemu. Ale automatyczne taksówki jeździły wyłącznie po Madrycie i jego przyległościach, więc nie miał innego wyjścia, jak tylko poprosić jednego ze swoich gładkolicich współpracowników o pożyczenie auta. Początkowo – nie bez kozery, jeśli wziąć pod uwagę przeszłość Varony – tamten odmówił, ale gdy starszy kolega wytłumaczył mu niezwykle obrazowo, co się dzieje z przegrodą nosową, gdy się dostanie w nos z główki, z niespokojnym uśmiechem wręczył mu kluczyki.

– „Tylko dobrze go traktuj”, powiedział, jakby samochód był zwierzątkiem domowym – mamrotał do siebie Varona. – Ludzie humanizują przedmioty, a nawet z nimi rozmawiają, bo czują się coraz bardziej samotni.

Tabliczka na drodze poinformowała go, że wjeżdża do Ojos Albos. Wieś wyrosła na skraju drogi nie wiadomo właściwie po co niczym skupisko leśnych grzybów. Domy tuliły się do siebie przerażone tym, co może je spotkać ze strony przejeżdżających aut. Pomyślał, że jeśli w takim miejscu nie ma się nikogo bliskiego, jedyny powód do zatrzymania się tu mogą stanowić awaria samochodu albo pilna potrzeba fizjologiczna. Ta wiocha była mniej więcej tak ekscytująca jak degustacja wód mineralnych.

Kilkakrotnie przejechał w tę i z powrotem główną ulicą w poszukiwaniu domu starców, o którym mówił syn aktywistki Victorii Gálvez, ale z ciekawszych rzeczy zobaczył jedynie bar sieci Happy Village, najpopularniejszej w małych miejscowościach. Promyczek nadziei pośród mroku.

Zapytał kilkoro miejscowych o dom seniora. Powiedzieli, że to na obrzeżach. Musiał skrócić w lewo, w polną drogę.

– Trudno ją zauważyć. Jeśli nie zna się terenu, można przejechać obok i nie zauważyć zjazdu.

Jechał powolutku, aż zauważył niewyasyfowaną drogę. Żadnego drogowskazu informującego o tym, że znajduje się tam jakaś instytucja. Po obu stronach szosy rosły mizerne drzewka, których nie potrafił zidentyfikować.

Po kilku podskokach na wertepach dotarł do wyciętej w pień polany, na której znajdował się otoczony płotem stary czteropiętrowy gmach z granitowych płyt. Nie robił dobrego wrażenia. Plamy wilgoci wyglądały jak nacieki po wiecznie płynących łzach. Kiedy Varona podjechał do żelaznej bramy, z budki wyłonili się dwaj strażnicy w uniformach przypominających repliki mundurów hitlerowskiego Afrika Korps kupione w chińskim markecie. Jeden miał kwadratową twarz z licznymi bliznami po ospie. Drugi był krępy, z twarzą kanciastą jak młotek. Uwagę Varony

przykuły dwie rzeczy: brak jakiegokolwiek szyldu świadczącego o tym, że mieści się tu rezydencja seniorów, i to, że strażnicy są uzbrojeni po zęby.

– Zgubiłeś się pan? – zapytał Ospowaty.

– Nie wiem. Szukam rezydencji seniorów w Ojos Albos. Chciałbym odwiedzić matkę.

– Owszem, to tutaj, ale nie możesz się pan z nią zobaczyć.

– A to dlaczego? Muszę z nią porozmawiać w ważnej sprawie, a nie odbiera telefonu.

– Tu prawie nie ma zasięgu. A nie zobaczysz się pan z nią, bo wizyty zaczynają się w przyszłym miesiącu. W związku z tym zabieraj się pan stąd.

– Chwila! Czy tak należy traktować rodziny mieszkańców? Chcę natychmiast rozmawiać z dyrektorem placówki.

Ochroniarze popatrzyli po sobie i wyszczerzyli zęby.

– Jasne. Wsiadaj pan i chodź z nami – powiedział powoli Ospowaty.

– Chcesz pan wnieść skargę? – zapytał Młotkowaty, chwytając uchwyt pałki.

– Wiecie co? Może jednak przyjadę kiedy indziej.

– Widzisz? – triumfował Ospowaty. – Tyle razy ci mówiłem, że wystarczy komuś obiecać wpierdol, a już neurony same mu się regenerują.

– To wiadomo każdemu, kto musi się użerać z ludźmi – dodał Młotkowaty.

– Powiedzcie mi jeszcze tylko jedno – zaryzykował Varona. – Macie przy sobie pałki, gaz pieprzowy, tasery... Po co wam aż tyle broni? Boicie się, że staruszkowie uciekną, czy że ludzie z zewnątrz wedrą się do placówki i zobaczą, co tam jest?

– Już my ci pokażemy, bezczelny ćwoku – powiedział Ospowaty, a Młotkowaty zaczął uderzać pałką w samochód.

Varona wrzucił wsteczny bieg i umknął, długo jeszcze słysząc w głowie echo uderzeń o karoserię.

Po dotarciu do Ojos Albos zaparkował przed barem. Na masce pełno było wgnieceń po pałce. Nie miał pojęcia, co powie właścicielowi samochodu.

„Grad – pomyślał. – Burza z wielkimi kulkami gradu. Na prowincji zdarzają się takie rzeczy”.

Wyjaśnienie wydało mu się dobre, lecz przypuszczał, że od pokrycia kosztów naprawy nie ucieknie. Musiał się napić. I nie mógł czekać ani chwili dłużej.

Wewnątrz baru wpadające przez okno promienie słońca zmieniały banalne drobinki kurzu w deszcz złotego piasku. Lokal urządzono w stylu angielskiego pubu, co wydało się Varonie dość absurdalne, zważywszy, że znajdował się w jakiejś pipidówie w Avili. Ściany obite boazerią, tapicerka na krzesłach, stół bilardowy, tarcza do darta i wykładzina kolekcjonująca plamy jak generał ordery. Ach, te franczyzy i ich unifikacyjna moc... Wdrapał się na wysoki stołek przy barze i rozglądał, póki nie znalazł tego, czego szukał: tablicy z informacją o daniu dnia i godzinach, w jakich się je serwuje. Barman przestał wpatrywać się w ekran komórki i przyszedł go obsłużyć.

– Piwo proszę – zażyczył sobie Varona, rezygnując z czegoś mocniejszego, bo przecież był w pracy.

– Jakie podać? – zapytał barman, zerkając na sześć kranów.

– Duże i zimne.

Barman przysunął się do niego poufale.

– Wie pan, że o człowieku można się wiele dowiedzieć, patrząc, jak przechodzi przez ulicę? Siedzę tu całymi dniami, więc umilam sobie życie patrzeniem przez okno. Niektórzy zawsze zatrzymują się na światłach i ruszają, dopiero gdy zapali się zielone. To ludzie ułożeni, przestrzegający zasad. Kolejna grupa to ci, którzy ignorują światła i tylko rozglądają się w obie strony, by sprawdzić, czy nic nie jedzie. Myślą, że są cwani i że zasady ich nie dotyczą. A z panem mam problem. Akurat grałem na telefonie i nie widziałem, jak pan przechodzi.

„Ta miejscowość jest jakaś dziwna – pomyślał Varona. – Najpierw dwóch psychopatycznych ochroniarzy, a teraz stuknięty barman. To pewnie wina wody”, pomyślał uspokojony, bo nie miał w zwyczaju jej pijać.

– Bardzo ciekawa teoria, ale naprawdę potrzebuję piwa.

– Proszę odpowiedzieć – nalegał barman. – Jest pan z tych, co patrzą na światła, czy z tych, co się rozglądają?

– Przechodzę bez patrzenia.

20

Gdy się ubierała, zadzwonił telefon.

– Varona! Wreszcie.

Ale na ekranie wyświetliło się imię Maxa.

Najpierw się ucieszyła, lecz na myśl o tym, gdzie pracuje chłopak, zrzędała jej mina.

– Akurat się ubieram – powiedziała do słuchawki.

– Intuicja mi podpowiadała, żebym połączył się także przez kamerkę, i teraz rozumiem dlaczego. Japończyk, burger, chińczyk?

– Co?

– Dokąd chcesz dzisiaj iść na kolację: restauracja japońska, chińska czy burgerownia?

– Hmm. Chyba nie dam rady. Mam mnóstwo do zrobienia. O osiemnastej muszę być w Instytucie Medycyny Sądowej. Udało mi się znaleźć człowieka, który wykona dodatkową ekspertyzę.

– Rozumiem, że jesteś zadowolona. Ktoś będzie tam z tobą?

– Chciałam poprosić dawnego kolegę ojca, ale nie mogę się z nim skontaktować.

– Zawiozę cię. Moim zdaniem nie byłoby dobrze, gdybyś musiała sama przez to przechodzić.

– Słuchaj, naprawdę nie trzeba...

– O której po ciebie wpaść? Nawiasem mówiąc, zawożenie cię do instytutu zaczyna się stawać regułą. Powiedziałbym, że stanowi podstawę

naszego związku.

- To my jesteśmy w jakimś związku?
- N... no... w sensie... przyjacielskim.
- Przyjacielskim? A więc tylko o to ci chodzi?
- Uwielbiasz mnie dręczyć, co?
- A ty uwielbiasz być dręczony. Czekam na ciebie o piątej. Tylko się nie spóźnij.

Wraz z nadejściem pory obiadowej w Happy Village zrobiło się gwarno. Wszystkie stoły były zajęte. Ze strzępów rozmów, które do niego docierały, Varona wywnioskował, że klienci baru pracują w domu seniora. Na to właśnie liczył. W miejscowości znajdował się tylko jeden bar, a nikt nie ma ochoty codziennie zamawiać dań na wynos. Barman analityk postawił przed nim piąte piwo. Varona wspomniał słowa dawnego kumpla: „Piwo to metadon alkoholika”.

Obserwował gości w lustrze znajdującym się za barem. Było wcześnie. Większość dopiero zabierała się do drugiego dania. Ale dziennikarz kalkulował, że ktoś wstanie wcześniej niż pozostali. „Niemożliwe, żeby wszyscy byli bez skazy – myślał. – Aż takiego pecha chyba nie mam”.

Nagle przypomniał sobie o nieodebranych telefonach od Julii. Wyjął z kieszeni komórkę i wcisnął „oddzwoń”.

- Rychło w czas! Gdzieś ty się, u licha, podziewał?
- Przepraszam, Julio. Prowadzę śledztwo w sprawie, która może się okazać sensacyjna. Rozmawiałaś z lekarzem, którego ci poleciłem?
- Owszem. Rozłączył się, gdy tylko usłyszał nazwisko ojca.
- Co za skur... A tyle mi zawdzięcza!
- Bez obaw, nie był jedyny. Cały poranek wisiałam na telefonie i wysłuchiwałam wszelkiego typu odmów od lekarzy sądowych.

– Skurwiele z ministerstwa już o wszystko zadbali.

– Albo po prostu ludzie nie chcą napytać sobie biedy. W każdym razie znalazłam kogoś. I to nie byle kogo. Autopsję przeprowadzi profesor medycyny sądowej z Uniwersytetu Madryckiego.

Varona gwizdnął z aprobatą.

– Z jego opinią będą musieli się liczyć. Nigdy nie słyszałem, żeby profesor uczelni przyjął takie zlecenie. Ale najważniejsze, że kogoś mamy i możemy dowieść, że twojego ojca zamordowano.

W lustrze za barem widział, jak jakaś kobieta przeprosza towarzyszy i wstaje od stołu. Podążył za nią wzrokiem. Wyszła tylnymi drzwiami.

– Muszę kończyć.

– Przyjedziesz na autopsję? Chciałabym, żebyś tam ze mną był.

– O której zaczynacie?

– O osiemnastej.

– Zrobię, co w mojej mocy, ale nie mogę nic obiecać.

Rozłączył się i uruchomił kamerę w telefonie. Wybrał opcję „nagraj wideo” i wyszedł z baru. Łatwiej coś znaleźć, kiedy się wie, czego dokładnie się szuka. Zza niewielkiego budynku gospodarczego unosiły się smużki dymu. Z komórką w ręku ruszył w tamtą stronę i oczywiście zobaczył kobietę zapamiętałą ściskającą ustami papierosa. Z zamkniętymi oczami, w stanie absolutnej błogości chłonęła zakazany owoc.

– Wie pani, że palenie jest przestępstwem? – zaskoczył ją pytaniem, nagrywając wszystko telefonem.

Otworzyła oczy i natychmiast odrzuciła niedopałek jak najdalej.

– Tylko niech pani nie próbuje się wypierać. Mam tu wszystko nagrane.

– Błagam, niech pan mi tego nie robi! – wyjąkała. – To tylko chwila słabości. Przysięgam, nie palę od miesięcy... Proszę na mnie nie donosić.

Zrobię, co tylko pan zechce. Już raz mnie złapali, więc tym razem mogą mi zabrać dzieci. Prawo jest bardzo surowe i...

– Bez obaw, nie jestem przykładowym obywatelem. Nie doniosę na panią. Pieniądzy też nie chcę. Jestem dziennikarzem. Pracuje pani w rezydencji dla seniorów, prawda?

Zastygła w przerażeniu, jakby spojrzała w oczy Meduzy.

– Nie mogę nic powiedzieć. Zabronili nam. Jeśli się dowiedzą, że rozmawiałam z dziennikarzem, zwolnią mnie. Nie ma pan pojęcia, jacy oni są. Postaram się, żebym już nigdzie nie dostała pracy w zawodzie pielęgniarki.

– Nie chcę, żeby mi pani coś opowiadała.

– I tak bym nie powiedziała.

– Chcę na własne oczy zobaczyć to, co się dzieje w tym domu. A pani pomoże mi się tam dostać.

Zrobiła parę kroków do tyłu i przywarła plecami do muru, jakby Varona nagle stał się toksyczny i cuchnący.

– Mam pana przemyścić do rezydencji? Chyba pan oszalał!

Pomachał jej telefonem przed nosem.

– Na ogół przymykam oko na złe nawyki. To jedna z niewielu rzeczy, o których wciąż możemy sami decydować. Poza tym polityka czterech ministerstw nakazująca obywatelom donosić na siebie nawzajem wydaje mi się szkodliwa. Ale jeśli mi pani nie pomoże, obiecuję, że ten film jeszcze dziś znajdzie się w sieci.

– Skurwysyn z pana.

– Jasne. Nie wspomniałem, że jestem dziennikarzem? Nawiasem mówiąc, poczęstowałyby mnie pani papierosem?

Podjechała pod bramę i uśmiechnęła się promiennie do dwóch strażników. Gdy tylko ją rozpoznali, jeden nacisnął umieszczony w budce przycisk otwierający bramę. Kobieta wysunęła głowę przez okno i podziękowała, po czym wjechała na teren placówki, podjechała na parking dla pracowników i zatrzymała się idealnie pod kamerą monitoringu ustawioną pod kątem, który uniemożliwiał obserwację tego miejsca. Wsiadła i otworzyła bagażnik, w którym w pozycji embrionalnej tkwił Varona.

– Wygodnie się jechało? – zapytała z przekąsem.

– Obsługa pozostawia wiele do życzenia – odmruknął, gramoląc się na zewnątrz.

– Jak będziemy w środku, proszę pod żadnym pozorem nie oddalać się ode mnie. Niech pan to włoży. – Podała mu biały fartuch. – Jest poplamiony. Chciałam go zabrać do wyprania. Ale pewnie to pana nie obchodzi. Wy, dziennikarze, lubicie brudną grę, prawda? W tym fartuchu nikt nie zwróci na pana uwagi. Zwłaszcza przy tym chaosie, który tam panuje.

Fartuch był przyciasny, ale musiał wystarczyć. Varona włączył kamerkę i wsunął telefon do przedniej kieszeni w taki sposób, by obiektyw wystawał na zewnątrz.

– Proszę mi obiecać, że mój udział w przemyceniu pana w to miejsce nie wyjdzie na jaw – błagała pielęgniarza.

– Nigdy nie ujawniam swoich źródeł. Poza tym jak miałbym to zrobić? Nawet nie znam pani nazwiska.

– I wymaże pan film, na którym palę?

– To mi przypomina, że muszę wyczyścić pamięć telefonu, bo trochę wolno chodzi.

– Ma pan dwie godziny. Potem skończy się moja zmiana i wyjedziemy stąd tak, jak wjechaliśmy. Zgoda?

Kiwnął głową.

Ruszyli w stronę wejścia.

Budynek składał się z czterech pięter. Na najwyższym mieściły się gabinety lekarskie i inne pomieszczenia dla personelu. Pozostałe służyły mieszkańcom. Przez każde piętro wiodł długi korytarz z pokojami po obu stronach. Gdy tylko Varona się tam znalazł, uderzył go fetor moczu i odchodów, którego nie zabił nawet równie ostry smród odkażacza przemysłowego. Oprócz zapachów uwagę dziennikarza przykuł hałas. Wrzaski, wrzaski i jeszcze raz wrzaski. Rozpaczliwe, histeryczne, potworne. Opętańcza symfonia chaosu.

– Witamy w Hadesie. W domu dla zbłąkanych dusz. Nie zawsze tak było. Kiedyś mieszkali tu starsi ludzie z problemami umysłowymi: demencją, alzheimerem, delirium... Budynek nie był przepełniony i radziłyśmy sobie dobrze. Jednym staruszkom się poprawiało, a innym przynajmniej nie pogarszało. Aż nagle jakiś geniusz z przekłętego Ministerstwa Prawdy wymyślił, żeby zamknąć w domach seniora wszystkich, którzy ukończyli siedemdziesiąt lat, bez budowania kolejnych placówek. W efekcie liczba naszych mieszkańców się potroiła. W pokojach dwuosobowych mieszkają po cztery albo i pięć osób. Świetlicę i salę rehabilitacyjną musieliśmy przerobić na sypialnię.

W korytarzu także tłoczyli się staruszkowie. Odgłosy i grymasy niektórych wyraźnie wskazywały na zaawansowaną demencję. Inni chodzili samotnie od ściany do ściany jak zwierzęta w klatce, nie zwracając uwagi na otoczenie. Zamknięci w sobie, bo tylko tak mogli uciec przed bólem. Pokonani przez starość i podstęp.

– Kiedy zaczęto ich przywozić? – zapytał Varona.

– Pierwszych w zeszłym tygodniu. Większość przed dwoma dniami.

– I wszystkich trzymają razem? Tych z demencją z tymi, którym nic nie jest?

– W przeciwnym razie byśmy ich nie pomieścili. Dyrekcja już złożyła skargę, bo na dłuższą metę przyczyni się to do wzrostu problemów umysłowych. Jak długo można wytrwać przy zdrowych zmysłach, śpiąc w sali z dwiema czy trzema osobami, które przez całą noc krzyczą? U niektórych zaczynamy już dostrzegać objawy depresji. A to dopiero początek.

– I jaka była odpowiedź na skargę?

– Że mamy ich faszerować tabletkami. Dzięki temu całymi dniami będą przebywać w swoim świecie i będzie im wszystko jedno. Chwilami mam wrażenie, że tych z ministerstwa nie obchodzi, co się stanie z tymi ludźmi, albo nawet chcą, żeby wszyscy zwariowali. Bo to już nie jest dom starców, tylko dom obłąkanych.

Kobieta w poplamionym różowym szlafroku, z włosami nastroszonymi jak sierść kota, który zobaczył upiora, pokazała Varonie język, a potem uśmiechnęła się bezzębnymi ustami. Maleńki staruszek rachitycznymi dłońmi uchwycił go za przedramię, mamrocząc niezrozumiałe błagania.

– Proszę się nie zatrzymywać. Wziął pana za lekarza i chce więcej tabletek – wyjaśniła pielęgniarka.

– Też bym chciał, gdybym musiał tu żyć.

Varona miał ochotę natychmiast się ewakuować. Perspektywa spędzenia tu dwóch godzin wydawała się koszmarna. Zauważył na podłodze w kącie sali kobietę siedzącą twarzą do ściany. Mleczne włosy opadały jej na plecy długą kaskadą. Nagle obróciła się i spojrzała na niego. Rozpoznał Victorię Gálvez. Rozpoznał i nie rozpoznał, bo z dumnej, walecznej staruszki, którą oglądał na filmach z manifestacji, nie pozostało nic. Jej wodniste oczy, smutne niczym zimowa plaża, wyrażały jedynie pustkę – przerażającą

nicość pozostającą wówczas, gdy czas odbiera nam wszystko, czym byliśmy.

21

Fotele przywodziły na myśl pokonanych żołnierzy. Popękana, wyświechtana skóra, a na podłokietnikach rozdarcia jak blizny. Ani śladu po pierwotnej elegancji, funkcjonalności, godności. Teraz wystarczyło im, że ktoś ich używa i że nie nadeszła jeszcze pora wyrzucenia ich na śmietnik. Julia obserwowała je w oczekiwaniu na Maxa, który poszedł do automatu po kawę, choć tak naprawdę przydałaby się jej melisa. Ze wszystkich sił starała się zachować spokój, niewiele jednak z tego wychodziło. Znajdowali się w Instytucie Medycyny Sądowej i czekali, aż doktor Lizana przeprowadzi autopsję. Lekarz zrobił na Julii dobre wrażenie. Wysoki, ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ze schludnie wycieniowanymi siwiejącymi włosami, w tweedowym brązowym garniturze, z metalową walizeczką profesjonalisty i uśmiechem zakradającym się na twarz przy byle okazji. Uśmiechem, który nie przeszkadzał mu okazywać pewnej wyższości towarzyszącej zwykle pias-towaniu niektórych funkcji, takich jak stanowisko profesora na uniwersytecie.

Kiedy przyszedł, pozostali lekarze wyszli mu na spotkanie. Uśmiechali się i poklepywali nawzajem po ramieniu jak starzy kumple, którzy spotkali się, by wypić parę piw.

Ta demonstracja zaraźliwego entuzjazmu i bezwstydnego zażyłości, poczucie, że wszyscy oni wiedzą coś, czego ona nie wie, zaniepokoiły Julię. „Nie – powtarzała sobie – to niemożliwe. Tym razem musi się udać”. Los był jej to winien.

– Proszę – powiedział Max.

Zobaczyła przed sobą plastikowy kubek z parującą kawą.

– Dzięki. Nie tylko za kawę... Za to, że tu ze mną jesteś. Nie wiem, co sobie pomyślałeś o dziewczynie, przez którą co rusz lądujesz w kostnicy.

– Hmm... Że ta dziewczyna przeżywa bardzo złe chwile i potrzebuje oparcia. – Szturchnął ją przyjacielsko w ramię.

– Obiecuję, że ci to wynagrodzę.

– Żartujesz? Przecież jesteśmy w jednym z najromantyczniejszych miejsc w Madrycie. Trzeba jedynie znaleźć jego istotę. Problem w tym, że nie wiem, gdzie jej szukać.

– Może w tych ohydnych fotelach?

– Ciii, nie mów tak głośno. Jeszcze cię usłyszą i nas zaatakują. Nie znasz legendy o fotelach ludożercach z Instytutu Medycyny Sądowej?

– Nie. I nie chcę jej poznać – szepnęła Julia, uśmiechając się leciutko.

– Ale ona ma szczęśliwe zakończenie. Okazuje się, że...

Główne drzwi budynku otworzyły się gwałtownie i wpadł przez nie zdyszany Varona. Odszukał Julię nerwowym spojrzeniem, podbiegł i przytulił ją bezceremonialnie.

– Wybacz, nie mogłem wcześniej. Wiadomo już coś? – zapytał, próbując uspokoić oddech.

– Nie, czekamy. Dopiero przed chwilą weszli. Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczna, że przyjechałeś. To... mój kolega Max.

Varona wyciągnął rękę i już zaczynał się uśmiechać, lecz nagle uświadomił sobie, że kojarzy tę twarz. Momentalnie spoważniał.

– Już się znamy – wycedził. – Z bardzo pouczającej wizyty w modelowym domu seniora – wyjaśnił na widok zdziwionej miny Maxa. –

Jak on się nazywał? Jakoś idiotycznie, jak wszystko, co pretenduje do miana nowoczesności. Wiem! Projekt numer 1.

Z twarzy chłopaka zniknęła wszelka sympatia, ustępując miejsca obojętności.

– Sz... szczerze mówiąc, nie pamiętam pana. Było tam dużo ludzi, a poza tym miałem mnóstwo roboty.

– Przy okłamywaniu dziennikarzy? Twoje ministerstwo uważa się za bardzo cwane, ale możliwe, że czeka was niespodzianka, i to wkrótce.

W tym momencie otworzyły się drzwi w głębi korytarza i do poczekalni dobiegły od strony prosektorium wybuchy śmiechu. Profesor i reszta lekarzy świetnie się bawili. Serce Julii ścisnęła żelazna pięść.

– Gotowe! – obwieścił doktor Lizana trzem oczekującym postaciom. – Może pani być spokojna. Potwierdziły się wyniki autopsji przeprowadzonej przez doktora Lucasa i wyciągnięte z nich wnioski. To było samobójstwo.

Balon nadziei pękł i odbijał się jak szalony od ścian poczekalni, by na koniec opaść na podłogę jako bezużyteczny flak.

– Jak to: potwierdziły?! – wykrzyknęła. – A otarcia na nadgarstkach? Były czy ich nie było?

– Bardzo proszę się uspokoić. Wszyscy tu chcą pani pomóc. Na nadgarstkach rzeczywiście były otarcia, ale to nie wyklucza samobójstwa. Przeciwnie, otarcia mogły powstać w trakcie wspinania się na barierę zainstalowaną na Wiadukcie właśnie po to, by ludzie się nie rzucali, albo w momencie przemieszczenia się ciała po upadku. Bardzo możliwe, że po spadnięciu na ulicę Segovia zwłoki potoczyły się po ziemi. Stąd otarcia na całej szerokości nadgarstka.

– Pańskim zdaniem bardziej wiarygodne jest to, że ciało się przeturlało, niż że było związane? Serio? Daj pan spokój! – ironizował wzburzony Varona.

– Nie mogę przysiąc, że tak właśnie było. Mówię tylko, że taka możliwość istnieje i jest prawdopodobna. Jeśli zarówno policja, jak i biegli twierdzą, że było to samobójstwo...

– Ile panu zapłaciło ministerstwo?! – warknął cicho dziennikarz.

– Nie przyjechałem tu po to, by słuchać obelg. Zgodziłem się bezinteresownie pomóc. Jeśli nie spodobały się państwu wyniki autopsji, to nie moja wina.

Julia odeszła na bok i znalazła na liście kontaktów w swoim telefonie pewne nazwisko. Musiała usłyszeć to raz jeszcze i upewnić się, że nie zwariowała.

– Halo? – odezwał się po drugim sygnale żeński głos.

– Dobry wieczór, chciałabym rozmawiać z inspektorem Valverdem.

– Niestety został przeniesiony do Melilli. Zastępuję go. Czym mogę pani służyć?

– Jak to: przeniesiony? Kiedy? Dlaczego?

– Kilka dni temu. Polecenie z góry. Tylko tyle mogę pani powiedzieć.

– Mogłaby pani dać mi jego nowy numer?

– Przykro mi, nie jestem upoważniona do przekazywania danych...

Julia się rozłączyła. Nagłe i niespodziewane przeniesienie jedynej osoby, która mogłaby jej pomóc w obaleniu oficjalnej wersji, wyraźnie dowodziło, że bynajmniej nie traciła zmysłów.

Profesor już sobie poszedł, ale Varona wciąż rzucał w powietrze obelgi. Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Daj spokój. Nie warto. Dzwoniłam do inspektora Valverdego.

– I co? Pomoże nam? – Twarz dziennikarza zmieniła się w znak zapytania.

– Nie udało mi się z nim porozmawiać. Został „niespodziewanie” przeniesiony do Melilli.

Dziennikarz opadł bezwładnie na fotel. Usiadła obok. Żałowała, że legenda o fotelach pożerających ludzi, którą opowiedział jej Max, nie jest prawdziwa. Chciałaby uciec od tego miejsca, tego momentu, tego bólu.

– Wygrali – szepnęła.

– Nie – odparł. – Ale pozwólmy im tak myśleć. Oni są młotkiem, a my gwoździakami. Uderzają nas co rusz po głowach, próbując wbić w podłogę, żebyśmy siedzieli cicho. Ale zapominają, że mamy ostrą końcówkę. Szykuję reportaż, który pójdzie im w...

Urwał i spojrzał gwałtownie na stojącego parę metrów dalej Maxa.

– Może byś poczekał na zewnątrz, platfusie? Muszę z nią porozmawiać na osobności.

W odpowiedzi na spojrzenie chłopaka Julia skinęła głową.

– Poczekał w samochodzie – powiedział Max. – Miło mi było znów pana zobaczyć.

Dziennikarz machnął ręką, każąc mu się wynosić. Kiedy został sam na sam z dziewczyną, opowiedział wszystko, czego się dowiedział o domach seniora: że całą tę historię uknuto, by się pozbyć protestujących emerytów.

– A twój koleżka brał udział w szopce, którą ministerstwo zorganizowało dla dziennikarzy – dodał na koniec.

– Max? Przecież... mówił mi, że zajmuje się dementowaniem fake newsów.

– Cóż, wygląda na to, że sam je tworzy. Nie wydaje ci się dziwnym zbiegiem okoliczności, że facet, który pracuje w Ministerstwie Prawdy, nagle się tobą zainteresował?

Zamyśliła się. Owszem, to było dziwne, ale Max jej się podobał i zapewne dlatego odwlekała moment weryfikacji swoich podejrzeń. Może

jednak powinna wziąć go pod lupę.

– Dam im popalić tym materiałem o „rezydencjach” – ciągnął Varona.

– Z moim ojcem zrobili, co chcieli – mruknęła Julia. – Zamordowali go fizycznie i moralnie. Wymazali nawet owoce jego pracy.

– Niech pamięć o nim napędza cię do działania. Oni nigdy nie będą mieli takiej motywacji. Pamiętaj, że ważne jest nie to, żebyśmy wygrali, tylko żeby oni przegrali.

Ścisnęła przyjacielsko jego kolano i wstała.

– Przyjdiesz jutro na kremację?

– Jasne – odparł. – Odpocznij. Zostało nam jeszcze wiele bitew. Potrzebuję wojowniczeki.

Po wyjściu z instytutu szybkim krokiem skierowała się w stronę auta Maxa. Na chodniku siedział jakiś żebrak. W rękę trzymał kawałek tektury z napisem: „Jestem głodny”. Julia zauważyła, że bacznie ją obserwuje, a kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, mężczyzna odwrócił tekturę. „Nie jesteś sama”, widniało na odwrocie. Szła dalej, zachodząc w głowę, co to znaczy. Czy te słowa były przeznaczone dla niej? Obejrzała się za siebie, ale zobaczyła już tylko pierwszy napis, a mężczyzna spoglądał w inną stronę.

Samochód zaparkował przed jej blokiem. Przez całą drogę ani Julia, ani Max nie powiedzieli ani słowa.

– Na pewno jesteś wykończona, ale jeśli chcesz, żebym z tobą...

– Dość! – przerwała mu. – Dobrze wiem, o co ci chodzi, więc możesz już skończyć z tą komedią.

– C... co masz na myśli?

– Co mam na myśli? Najpierw mordują mi ojca, a na miejscu pojawia się Ministerstwo Prawdy. Potem szukam artykułów taty i komuś udaje się je

wykasować chwilę przed tym, jak je otworzyłam. Dziwnym zbiegiem okoliczności chodzi o artykuły krytykujące Ministerstwo Prawdy. I nagle pojawiaasz się ty, zaszary książę w niebieskim garniturze, zawsze gotów podsunąć ramię, na którym mogłabym się wypłakać. Musicie mieć ze mnie niezły ubaw. Ale nie jestem taka głupia, jak wam się wydaje.

– Myślisz, że mnie przysłali, żebym cię szpiegował? To jakieś szaleństwo!

– Jasne. Jestem szalona i żądam, żebyś nigdy więcej do mnie nie dzwonił. Rozumiemy się?

Wysiadła, trzasnęła drzwiami i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę budynku. Nagle czyjaś ręka złapała ją mocno za przedramię.

– Puszczaj!

– Zaczekaj chwilę, tylko o to cię proszę – błagał chłopak. – Porozmawiajmy. Nie wiem, jak możesz myśleć, że zrobiłbym ci coś takiego. Julio, ja cię...

– Czy ten pan panią zaczepia?

Z ciemności niczym zjawa wyłoniła się zwałista postać. Sądząc po bełkotliwej mowie – nietrzeźwa.

– Panie – zaperzył się Max – nie wtrącaj się pan w nie...

Mężczyzna wyglądający na bezdomnego wyjął z kieszeni butelkę i zamierzył się nią, trzymając za szyjkę.

– Pytałem, czy ten pan panią zaczepia.

– Nie wiem – odparła Julia. – Zaczepiasz mnie? – zapytała, patrząc groźnie na Maxa.

Chłopak puścił jej ramię i spłoszony przez obdartusa, który odgrodził od niego Julię, ruszył w kierunku auta.

– Zadzwoń do ciebie! – zawołał jeszcze. – Musimy porozmawiać! Nie szpieguję cię! Nikt mnie nie przysłał! Masz zbyt bujną wyobraźnię!

– Zejdź mi z oczu! I pozdrów swoich koleżków, którzy podsłuchują mnie przez telefon! – zawołała, stojąc już w drzwiach bloku.

– Zachowujesz się nieracjonalnie, ale rozumiem cię. Ból nie pozwala ci jasno myśleć.

– Nie masz mnie rozumieć, debilu! Masz stąd zjeżdżać!

Obdartus uderzył butelką w maskę auta Maxa.

– Powiedziała, żebyś stąd zjeżdżał.

Chłopak ruszył z piskiem opon, nie odrywając udręczonego wzroku od bramy budynku.

Bezdomny obrócił się w stronę Julii. Podziękowała mu.

– Nie ma za co. Gdyby pani czegoś potrzebowała, będę w pobliżu.

„Ciekawe – myślała, idąc po schodach. – Pod koniec wcale nie wydawał się pijany”.

Z okna swojego gabinetu na najwyższym piętrze Wielki Brat obserwował miasto niczym orzeł lustrujący swój teren łowiecki.

– Pewnie słyszałeś, że człowiek od zarania dziejów marzy o lataniu. Na przestrzeni lat powtarzano te słowa tyle razy, że nikogo nie ominęły. Zawsze interpretowano je jako pragnienie wolności, zerwania się z uwięzi. Nawet z uwięzi naszej własnej natury. Ale nie zgadzam się z tym wyjaśnieniem. Moim zdaniem chęć latania oznacza pragnienie najlepszych, by wznieść się ponad innych, zostawić w dole całą marność i pospolitość, tępotę i kicz. Ale oczywiście ktoś musi wykonywać ciężką, nudną robotę. Ludzie są... jak potrzeby cielesne. Obrzydliwi, lecz konieczni.

Stukając obcasami o posadzkę, przywódca wrócił na swoje miejsce przed wbudowanym w biurko monitorem. Po drugiej stronie, z dostojnie

założoną nogą na nogę, siedział Poeta. W jednej ręce trzymał spodek, drugą zaś mieszał w filiżance metalową łyżeczką.

– Z odpowiedniego naczynia wszystko smakuje lepiej. Porcelanowa filiżanka, srebrna łyżeczka...

– I nie zapomnij o cukrze – podsunął Wielki Brat.

Poeta skinął głową, pociągając długi łyk.

– To kolejny dowód na prawdziwość moich słów. W tylu kampaniach reklamowych tłumaczyliśmy negatywne skutki nadużywania cukru, a ludzie nic sobie z tego nie robią. Są jak dzieci, które nie rozumieją, co się do nich mówi. I tak jak one, rozumieją jedynie zakazy i kary. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak go zakazać. Ale przejdźmy do ważniejszych spraw. Czy rozwiązano już problem Gabriela Romero?

– Popełnił samobójstwo. Potwierdził to nawet biegły powołany przez rodzinę. Sprawa zamknięta.

– A ten policjant... jak mu było?

– Inspektor Valverde.

– Właśnie. Valverde. Po cholere się wtrącał w nasze sprawy? Tylko mi nie mów, że z altruizmu.

– A gdzie tam. – Przez twarz Poety przemknęło coś na kształt uśmiechu. – Altruizm umarł wiele lat temu, podobnie jak niedźwiedzie polarne i wieloryby. Inspektorem kierowały pobudki znacznie bardziej przyziemne: chęć zemsty. Kilka lat temu ubiegał się o pracę w ministerstwie, a konkretnie w moim dziale. System komputerowy go odrzucił. Wykrył u kandydata poważne przeciwwskazanie w postaci skrupułów. Z pewnością rozumiesz, że takie zjawisko kompletnie nie współgra z zadaniami, które wykonujemy.

– Oczywiście. Dokąd go przenieśli?

– Do Melilli.

– Daleka podróż powinna go otrzeźwić. A dziewczyna? Wciąż węszy?

– Urządzenie śledzące pozostaje aktywne.

– Podoba ci się opowieść o Dawidzie i Goliacie? Dla mnie jest trochę dziecinna, ale muszę przyznać, że zawiera dwie nauki. Jedną prawdziwą, a jedną fałszywą. Fałszywa to ta, że słaby może pokonać silnego. Wiemy, że to nieprawda, ale lubimy myśleć inaczej, bo wtedy świat byłby lepszy. Prawdziwa nauka jest taka, że choćbyś był nie wiem jak wielki i silny, nigdy nie powinieneś sobie ufać. Wiesz, co mam na myśli?

– Tym razem Goliat wie, co chce zrobić.

– Wiesz, jak bardzo nie lubię niespodzianek.

– Nie będzie ich. A jeśli będą, to zapewniam cię, że wyłącznie przyjemne.

Wielki Brat wyjął pudełko cygar His Majesty's Reserve firmy Gurkha i podsunął Poecie. Nim zapalili, wciągnęli w płuca zapach ekskluzywnego tytoniu.

– Prawo zabrania palenia – zauważył Poeta.

– Przyjacielu, prawo jest jak głód. Dotyka tylko biednych.

Gabinet wypełniły salwy śmiechu odbijające się od ścian niczym ślepe ptaki.

22

Tego ranka Varona wbrew własnym żelaznym zwyczajom przyszedł do redakcji wcześniej. Chciał jak najszybciej zobaczyć efekty swojej pracy. Miasto płonęło niczym zamoczona w benzynie szmata, a podpalaczem był on. Nagrany ukrytą kamerą w mrocznym domu seniora w Ojos Albos film musiał już krążyć po internecie. Dziennikarz przez całą noc wysyłał go do znajomych z mediów wraz z artykułem wyjaśniającym jego zawartość, a przede wszystkim to, kto stoi za tą całą aferą. Materiał trafił wszędzie: do stacji telewizyjnych i radiowych, serwisów informacyjnych, youtuberów, blogerów... tylko nie do jego gazety. Sánchez-Bravo był zbyt cwany, by kiedykolwiek opublikować coś, co mogłoby mu zaszkodzić. Ale to nie miało znaczenia. Tym razem Varona mierzył w coś ważniejszego: w głowę samego Ministerstwa Prawdy.

„Czasem musisz kogoś ugryźć, żeby uwierzył, że masz zęby”, pomyślał.

Zmierzając w stronę biurka, ze zdziwieniem spostrzegł, że jego młodszy koledzy siedzą już na swoich miejscach, co tylko podkreślało, jak bardzo musiał się spóźnić na co dzień. Nie martwiło go to jednak. Przeciwnie – utwierdzało w przekonaniu, że jako weteran cieszy się pewnego rodzaju nietykalnością. Choć tego dnia przybył wyjątkowo wcześniej, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Młodzi dyskutowali o czymś zawzięcie, popijając napoje energetyzujące.

– Jak nie znasz dogłębnie klasyki, jak nie unurzasz się w jej duchu, w jej cudownej prostocie, nie jesteś w stanie docenić współczesnych dzieł.

Klasyka ma w sobie wszystko. Jest źródłem inspiracji dla tego, co powstaje dzisiaj.

– No, no – wtrącił się Varona. – Ranne ptaszki ćwierkają o literaturze. A o czym konkretnie mowa? Sofokles, Homer, Shakespeare, Cervantes?

Nawet gdyby wszedł do redakcji nagi i z siekierą w głowie, nie wywołałby takiego zdziwienia.

– No co? O jakich klasykach mówiliście?

– *Space Invaders*, *Pac-Man*, *Galaxian*... o klasycznych grach na konsole. Bez nich nie da się zrozumieć współczesnych gier.

– Rozczarowywanie poprzednich pokoleń to przywilej, który mają jedynie młodzi. – Varona westchnął z rezygnacją.

Nie było sensu z nimi dyskutować. Lepiej wracać do swoich spraw. Usiadł przy biurku i włączył komputer. Zapowiadał się wspaniały dzień. Varona zabrał się do przeglądania serwisów informacyjnych. Początkowo spokojnie, ale im dłużej nie znajdował na czołówkach żadnej wzmianki o filmie z domu seniora, tym mocniej się denerwował, aż w końcu niemal wpadł w histerię.

– Jakim cudem?

Przewijał ekran. Wciąż nic. Ani słowa. Ogarniało go coraz większe zniechęcenie. Po portalach informacyjnych przeniósł się na strony stacji telewizyjnych i radiowych, ale i tam nic nie było.

– Co tu się w ogóle dzieje?

Wideo zniknęło nawet z serwisów, na które sam je załadował.

Wyjął telefon i zadzwonił do redaktorki naczelnej magazynu „Merkury” – jednej z osób, do których wysłał materiał.

– Co tu się, do cholery, dzieje?! – wybuchnął, gdy odebrała.

– Nie wiem, co kombinujesz, ale dam ci pewną radę. Przestań grzebać kijem w mrowisku.

– O co ci chodzi? Wystarczyło opublikować...

– Wczoraj zaraz po twoim filmie dostałam drugą wiadomość. Był w niej oficjalny dokument o tym, że odbierają mi prawa do dzieci. Podpisany i z pieczętą. I z dzisiejszą datą, rozumiesz? Nie bawią się w subtelności. Takie rzeczy mogą robić tylko ci, którzy są na samej górze, tak wysoko, że nikt ich nie zobaczy ani nie ruszy. Przestraszyłam się, bo wiem, do czego są zdolni. Uwielbiam swoją pracę, ale nie nadaję się na bohaterkę. Nie postawię się szumowinom z góry jedynie po to, żeby coś opublikować. I grożono nie tylko mnie. Cerdanowi przysłali wyciąg z jego kont bankowych... wyczyszczonych do zera.

Varona poczuł, jakby po plecach schodził mu wielki pająk o odnóżach najeżonych kłującymi włoskami. Pająk strachu.

– I niech szlag trafi uwięzionych emerytów?

– Jeśli stawką w tej grze są moje dzieci, to tak, niech ich szlag trafi. I ciebie razem z nimi.

Rozłączyła się nagle, jakby podcinała mu skrzydła. Bo tak właśnie było. Ta rozmowa dobitnie pokazała, że przegrał, i to z kretesem. Wiara w to, że może uderzyć w Ministerstwo Prawdy, okazała się mrzonką. Oni mieli miecze, a on – zaledwie szpileczkę.

Z lewej strony dobiegł jakiś dźwięk. Varona obrócił głowę i zobaczył Sancheza-Bravo, który pukał knykциями w szybę swojego gabinetu, by przywołać podwładnego. Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, natarczywym gestem palca wskazał drzwi. Stary dziennikarz świetnie znał język gestów naczelnego: miał błyskawicznie porzucić wszystko, co robił, i udać się do gabinetu szefa.

Gdy tam wszedł, Sánchez-Bravo wbił w niego wzrok, nie przestając rozmawiać przez telefon.

– Planowałem go zwolnić... Tak, natychmiast... No cóż, myślałem, że... Jak pan sobie życzy... Nie, nie, żaden kłopot! Gdzieżby!

Varona odniósł dziwne wrażenie, że to on jest bohaterem tej rozmowy, ale ani trochę go to nie obeszło.

Naczelny się rozłączył.

– Siadaj, siadaj. Mam dla ciebie robotę. Grupa pomyleńców wynajęła prawnika, żeby udowodnił, że ich asystenci wirtualni, no wiesz, Alexa, Siri, Cortana i inne boty, znęcają się nad nimi psychicznie. Rzekomo krzyczą na nich, gdy dostają prośby o coś, co im się nie podoba, śmieją się z ich zwyczajów i ubiorów, a nawet ich obrażają.

– Widocznie mają już dość.

– To samo pomyślałem. Biedaczyska dzień w dzień muszą wysłuchiwać takich bzdur. Tu jest napisane, że jedną ze skarżących nazwały „podłą dziwką”. Co o tym sądzisz?

– Pewnie sobie zasłużyła.

– Zanim wyjdiesz, chcę cię o coś zapytać. – Sánchez-Bravo odchylił się w fotelu i włożył między zęby końcówkę zausznika okularów do czytania. – Nie masz mi nic do powiedzenia?

– Nie. Zupełnie nic. A ty mnie?

– Hmm, skoro już poruszyłeś ten temat, to owszem. I noszę się z tym od dłuższego czasu. Wiesz, jaka jest różnica między tobą a mną? Taka, że ty uważasz mnie za głupca, którym nie jestem, a ja wiem z całkowitą pewnością, że ty jesteś kompletnym kretynem.

– Tylko się nie pomył, panie redaktorze naczelny. Psy, które podają łapę, nie są mądre, lecz jedynie posłuszne.

– Ostrzegałem cię i nadal ostrzegam. Nadepnąłeś lwu na ogon. Po cholere komplikujesz sobie życie?

– Może z powodu czegoś tak głupiego jak chęć powiedzenia ludziom prawdy. Ostatnio zacząłem przywiązywać wagę do takich rzeczy. Pewnie dlatego, że się starzeję.

– „Powiedzenia ludziom prawdy”? Och, daj spokój. Mówisz poważnie? Prawda to ta niemiła, surowa nauczycielka, która ciągle wypomina ci błędy. Wytyka każdy twój defekt. Za wszystko cię karze i nigdy nie wybacza. Za to kłamstwa są atrakcyjne i przyjemne. Lekkie i powierzchowne jak letnie romanse. Zawsze w pobliżu, gdy ich potrzebujemy, by mówić sobie to, co chcemy usłyszeć. Wyrozumiałe dla naszych słabości jak kochająca matka. Porównuję je do siatki ochronnej, której używają trapeziści, by nie zrobić sobie krzywdy, gdy popełnią błąd i spadną z wysokości. Bo wszyscy czasem spadamy, Varona. A kłamstwa pozwalają nam wyjść z tego cało. Czynią życie o wiele znośniejszym. Dlatego ludzie wolą je od surowej i sztywnej prawdy.

– Piękne przemówienie. Powtórz je emerytom uwięzionym w domu starców i sprawdź, czy twoje kłamstwa ich uratują. Bo kłamstwa służą też do tego, żebyśmy nie widzieli niesprawiedliwości i nękania. Do ukrycia tych, którzy cierpią. Do zamiecenia pod dywan nierówności i znieważania. Są jak narkotyk, dzięki któremu odurzone społeczeństwo żyje w sztucznym raju, który gnije od środka.

– Kiedy odgrywasz zaangażowanego dziennikarza, robisz się strasznie nawiedzony. Nie to, co po pijaku. Wtedy jesteś znacznie bardziej przenikliwy. Emeryci podobnie jak ty nadepnęli lwu na ogon, a teraz za to płacą. Jeśli nie chcesz zostać pożarty, zejdź drapieżnikowi z drogi.

– Jeśli skończyłeś już przemówienie, pozwól, że zajmę się pisaniem artykułu. Potem muszę jechać na cmentarz. Dziś mają skremować dobrego

człowieka, którego spotkało zbyt wiele zła. Może dlatego, że mówił prawdę.

Gdy był już w drzwiach, dobiegł go cichy głos Sancheza-Bravo:

– Jeszcze jeden, który nadepnął lwu na ogon...

23

Niebo spowite szarą mgłą było jak oczy ociemniałego ośleple od obserwowania historii powtarzającej się rok po roku, dekada po dekadzie, wiek po wieku. Bólu i radości, nadziei i rozpacz kręcących się w wiecznym tańcu życia i śmierci.

Julia szła ulicą, przyciskając do piersi urnę z prochami ojca. Tak niewiele zostawiają po sobie zmarli. Tak nieznaczny ciężar w ramionach, a tak wielki na duszy. Tuliła urnę, jakby dzięki temu mogła utulić człowieka, którego już nie było. Całym swoim jestestwem pragnęła dotykać czegoś fizycznego. Czuła w palcach głód materialnej obecności, bo tylko tak mogła uciec przed dręczącą pustką, która na zawsze pochłonęła jej ojca i zostawiła jedynie efemeryczne wspomnienia oraz niezrozumiałe sny. A jej miłość, już pozbawiona adresata, wzlatywała w niebo i rozplýwała się w przestworzach niczym gaz szlachetny.

Była przerażona jak dziecko, które zgubiło rodziców. Narastała w niej rozpacz samotności, pustka świadomości, że nie jest już niczyją córką. Straciła rodziców. Oboje odeszli zbyt wcześnie. Zatrwożona balansowała nad wielką, nienasyconą otchłanią na linie bez rozpiętej pod stopami siatki bezpieczeństwa. Nie mogła patrzeć w dół – tylko przed siebie. Musiała iść dalej aż po kres.

Dlatego postanowiła umieścić prochy ojca w sklepie z antykami. Wśród wszystkiego, co kochał i co wciąż przechowywało jego ducha. Podniosła metalowy rygiel i otworzyła drzwi. Przywitał ją szcęk zawiasów. Zapaliła światło. Zgromadzone przez ojca rzeczy czekały na nią jak starzy

przyjaciele. Na regałach w rzędach stały urocze maszyny do pisania – wspomnienia czasów, w których tworzono piękne, rozjaśniające świat przedmioty. Po drugiej stronie stały książki przykryte narzuconą przez czas szarą peleryną zapomnienia. Ale Julia wiedziała, jak przywrócić je do życia. Ojciec ją tego nauczył. Wzięła z półki pierwszy tom i dmuchnęła na okładkę, był odsłonić tytuł. Był to *Makbet* Williama Shakespeare’a. Otworzyła go na chybił trafił i przeczytała:

*To życie tylko cieniem jest przelotnym,
Nędznym aktorem, co przez swą godzinę
Na scenie świata pawi się i puszy,
I milknie potem; to opowiadana
Z krzykiem i furią powieść przez idiotę,
Nic nie znacząca⁷.*

Poczuła, że czytając te słowa, ożywia nie tylko książkę, lecz także ojca. Następnie rozejrzała się za odpowiednim miejscem do postawienia urny. Szybko doszła do wniosku, że należy ją umieścić pomiędzy remingtonem, olivetti, olympią i jego ulubionym underwoodem. Odruchowo ściągnęła z półki tego ostatniego i postawiła na biurku, tak jak zwykł to czynić Gabriel. Przynajmniej to jej po nim pozostało: powtarzane gesty, odtwarzane chwile, przywoływane momenty, okruchy utraconego życia. Łatki naszywane na dziurę spowodowaną zniknięciem.

Usiadła w ojcowskim fotelu i poczuła się jak uzurpatorka. Jej stopy uderzyły w coś pod biurkiem. Karton wypełniony butelkami po ginie. Podniosła jedną, w której zostało trochę na dnie, i zachłannie wypila. Alkohol był gorzki jak pocałunek Judasza. Potem zauważyła, że oprócz butelek w kartonie spoczywają książki. Co ciekawe, były to różne wydania tego samego dzieła – 1984. Ojciec nigdy jej nie wspominał o tym utworze,

a jeśli sędzić po liczbie zgromadzonych egzemplarzy – co najmniej dziesięć – musiał być jego fanem.

Zaczęła stukać w klawisze underwooda, przywołując wspomnienie piszącego energicznie ojca. „Magiczny artefakt – mawiał o swojej maszynie – potrafi pochwycić eteryczne myśli i ulotne sny, by na białej karcie przemienić je w coś rzeczywistego”. I stary underwood znów czarował, a kadencyjny rytm klawiszy przenosił Julię w inne miejsce – miejsce, w którym czas przestawał biec i wszystko wciąż było możliwe. Do dziecięcego świata, gdzie śmierć nie istniała.

Palce dziewczyny ustąpiły miejsca łzom, pozwalając, by to one napisały ostatnie pożegnanie dla zabitego ojca.

Varona topił smutki w bąbelkującej toni rumu z colą przywodzącą na myśl gwiazdziste niebo. Alkohol, epilog klęsk. Człowiek z lustra naprzeciw sprawiał wrażenie przygnębionego, zmęczonego i rozgoryczonego. Alkohol, puenta niepowodzeń. Alkohol, zablizniacz ran. Dziennikarz przechylił collinsówkę, by wypić ostatnią brązową łąkę, podczas gdy drugą ręką przywoływał już barmana, by zamówić następną kolejkę. Alkohol, znieczulenie przeciwko ciosom otrzymywanym od życia.

Chicho najwyraźniej liczył na to, że klient ma już dość.

– Ostatnia szklanka?

– Tysiąc razy ci powtarzałem, że nie ma czegoś takiego jak ostatnia szklanka. Nie zadawaj mi więcej tego pytania. Po prostu lej, póki nie osunę się na podłogę.

– Za pół godziny zamykamy, pismaku. Pamiętaj o godzinie policyjnej.

– Sto razy zdążę stracić przytomność.

Na sąsiednim stołku siedział facet w średnim wieku. Miał niebieski garnitur i poluzowany krawat dyndający jak biała flaga wywieszona na

znak poddania się po całodziennej wojnie.

– Proszę nalać temu panu kolejną szklankę tego, co pije, a dla mnie negroni – powiedział do barmana.

Varona obrócił się i uniósł puste naczynie w geście podziękowania dla nieznanego. Szybko zrealizowane zamówienie przerwało niezręczną ciszę.

– Wie pan, dlaczego lubię negroni? – zapytał facet. – Bo przypomina życie: w jednej trzeciej łagodne i aromatyczne, w dwóch trzecich gorzkie.

– Słusznie. Z tej samej przyczyny wolę coś słodsze, takiego jak rum z colą. Życie jest wystarczająco gorzkie.

– Ciężki dzień?

– Trudno o gorszy. Niby się przyzwyczajasz do kopniaków od życia, ale wciąż bołą.

– A nie przyszło panu do głowy, że życie nas kopie, bo idziemy niewłaściwą drogą? Jest jak jeździec, który musi używać bata, żeby prowadzić wierzchowca.

– Ja jestem dzikim rumakiem i lubię biegać wolno.

– Wypijmy za to. Czym się pan zajmuje? Jeśli to nie tajemnica.

– Bez obaw. Jestem dziennikarzem.

– Ciekawy zawód. Choć moim zdaniem dość nieprzyjemny. Wtrącacie się w cudze życie, wężycie... I po co? Żeby wywołać sensację, która potrwa parę godzin? Następnego dnia i tak nikt o niej nie pamięta. Epatujecie tym, co egzotyczne, niezwykle i kompletnie bez znaczenia. Postępujecie trochę nieetycznie, bo nie wszystko powinno wychodzić na światło dzienne. Istnieją tajemnice, których nie należy ujawniać. Ale was to nie powstrzymuje, choć po każdym swoim przejściu pozostawiacie smugę krzywdy i bólu. Pielęgniarkę, która nigdy nie wróci do zawodu, dojrzałego modela, który już nigdy nie odsłoni w uśmiechu idealnego uzębienia...

Varonę jakby poraził prąd.

– A pan czym się zajmuje, przyjacielu?

– Mam niekonwencjonalny zawód. Jak by to powiedzieć... Żeby miasto funkcjonowało, musi mieć wydajną kanalizację. Albo, jak kto woli, system kloaczny. System ten składa się z szerszych i węższych rur. Miasto produkuje tony odpadków, z których spora część trafia do ścieków, żeby nikt ich nie zobaczył, przez co wąskie rury się zatykają. To zaś może powodować wielkie zagrożenie dla czystości miasta. Proszę sobie wyobrazić, że całe to paskudztwo wypływa na powierzchnię. Nikt nie chciałby być świadkiem czegoś takiego. A dlaczego to się nie dzieje? Dzięki szczurom. Gdy znajdują zator na drodze, przegryzają się przez odpadki i odykają rurę. Ja jestem jednym z takich szczurów.

– Żal mi pana. Szczurów nikt nie lubi.

– Prawda. Z wyjątkiem innych szczurów. A skoro o gustach mowa, lubi pan poezję? Bardzo chciałbym coś panu zadeklamować. Robię to przy każdym pożegnaniu. Choć w tej epoce głupców, w której przyszło nam żyć, w czasach, w których łabędzie szukają pokarmu w śmieciach, nikt już nie docenia subtelności.

– Kim pan jest i czego ode mnie chce?

Oczy faceta się zmieniły – były teraz czarne, bez tęczy. W jego dłoni wirowało coś metalicznego. Srebrny wiatrak, grzechoczący wąż. Chwilę później nóż przysiadł na udzie Varony niczym motyl.

– Ciii... Proszę się nie ruszać. Przetnę tętnicę udową i wykrwawi się pan, nim zdążę dojść do drzwi. Czuje pan to? Strach, najlepsza motywacja naszych czasów. Dzięki niemu społeczeństwo posuwa się naprzód, zamiast utknąć w miejscu. Strach zmusza nas do postępu, do przekraczania własnych granic. Strach przed zwolnieniem z pracy, przed porzuceniem

przez ukochaną, przed przyszłością, przed kryzysem, przed utratą tego, co mamy. To strach napędza świat.

– Cz... czego pan ode mnie chce?

– Sam pan się domagał mojego przyjścia. Chciał pan opowiadać o nas złe rzeczy, prawda? Namawiał kolegów po fachu, żeby zrobili nam krzywdę. Ale nie docenił pan potęgi strachu. Strach jest naszym sprzymierzeńcem, a pańscy koledzy go poczuli. Teraz czas na pana. Proszę powiedzieć: boi się pan?

Dziennikarz skinął nerwowo głową.

– To dobrze. Czasami strach pomaga nam zachować ostrożność i nie stracić życia. Teraz powiem, co musi pan zrobić, by go nie stracić. Zna pan niejaką Julię, córkę swojego dawnego kumpla Gabriela Romero, prawda?

Varona znów przytaknął. Adrenalina gwałtownie go otrzeźwiła. Jabłko Adama unosiło się i opadało w rozpaczliwej próbie przełknięcia choć odrobiny śliny.

– Chcę wiedzieć o niej wszystko. I dowiem się tego od pana. Bo zostanie pan jej najlepszym przyjacielem.

– Przecież ja ledwie ją znam. To tylko studentka, która chciała poznać przyczynę śmierci swego ojca. Dlaczego tak was interesuje? Nie wiem, co takiego mógłbym wam o niej...

– Już powiedziałem: wszystko. Z kim się spotyka, dokąd chodzi, z kim rozmawia, co czyta, czym pachnie jej oddech, jakiego koloru bieliznę nosi i kiedy ma okres. Rozumiemy się?

– Zobaczę, co da się zrobić.

Poczuł na udzie silniejszy nacisk ostrza.

– Och, więcej wiary w siebie! Przekona się pan, jak bardzo pomaga się w nią uzbroić strach. Zostawiam panu to. – Mężczyzna w niebieskim garniturze położył na barze telefon komórkowy. – Na liście kontaktów ma

pan tylko jeden numer. Codziennie punktualnie o dziewiętnastej proszę do nas dzwonić i relacjonować, co przez cały dzień robiła Julia. Jeśli się pan spóźni, nie zadzwoni albo zadzwoni tylko po to, by ściemniać, wróć i tym razem to on... – Znów przycisnął nóż do uda dziennikarza. – ...z panem pogada. A zapewniam, że jest niezwykle elokwentny. Teraz niestety muszę iść. Proszę nie zapomnieć telefonu. I jeśli wolno mi coś panu doradzić, proszę sobie znaleźć przyjaciół, bo przypomina pan postać z obrazu Hoppera. Nie ma nic smutniejszego niż mężczyzna pijący samotnie przy barze.

Zapłacił i wyszedł, pozostawiając Varonie towarzysza – strach.

⁷ W. Shakespeare, dz. cyt., akt V, scena V, wersy 2289–2294, Wolne Lektury (online), <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/makbet.html> (17.08.2022).

24

Wtorebce rozbrzmiewała przytłumiona melodia z *Ojca chrzestnego*. Julia wyjęła komórkę. Na ekranie wyświetliło się imię Maxa. Odrzuciła połączenie. Po raz piąty tego ranka. Czuła się głupia na myśl o tym, jak łatwo ją omotał. Wystarczyło kilka miłych słówek i dwie pizze, żeby mu zaufała. Ci z ministerstwa musieli ją uważać za idiotkę. I słusznie! Problem w tym, że jakaś część niej wciąż nie chciała wierzyć, że to wszystko spisek, i myślała o drugiej szansie dla Maxa, jeśli ten zdoła dowieść swojej niewinności...

– Och, przestań! – ofuknęła samą siebie. – Ogarnij się!

Siedziała przed ekranem w czytelni Wydziału Dziennikarstwa i bez większych nadziei szukała artykułów ojca. Wiedziała, że zasoby wydziału są nie tylko skromne, ale i niekompletne. Na długo przed zniknięciem papierowych gazet uczelnia z braku funduszy zawiesiła digitalizację i archiwizowanie czasopism. Nikogo to nie obchodziło. Studenci i tak od lat wszystko, co było im potrzebne, wyszukiwali w internecie. Julia wiedziała, że traci czas, ale musiała sobie udowodnić, że wciąż walczy. Że nie zrezygnowała ze śledztwa w sprawie śmierci ojca. Dla niego, ale też dla siebie. Nie znosiła tego gorzkiego posmaku, który pozostawiała na podniebieniu porażka; tego poczucia, że się dało za wygraną. Nie. To nie było w jej stylu. Ani w stylu Gabriela. Musiała więc szukać dalej, nawet w tak bezsensownych miejscach jak to.

– Proszę, proszę, kogo my tu mamy. Gwiazdę „Obserwatora Cyfrowego” wywindowaną przez przyjaciół z trybu A. Czego nie wyłapałaś

na zajęciach dla ubogich?

– Cześć, Collado. Nie znudziło ci się jeszcze to ciągle zasłanianie się transparentami?

Przewodniczący zrzeszenia studentów uśmiechnął się i usiadł obok niej.

– Słyszałem o twoim ojcu. Naprawdę bardzo mi przykro. Jeśli czegoś potrzebujesz, powiedz tylko słowo.

– Dzięki, przywódco rewolucji. – Julia pieszczotliwie zmierzwiła mu włosy. – Jeśli się postarasz, nie jesteś takim idiotą. Co tu robisz?

– Czasem przychodzę tu się uczyć. W bibliotece zwykle nikogo nie ma, więc mam spokój. A ty?

Wskazała brodą ekran.

– Szukałam starych artykułów ojca, ale bez skutku. Zresztą nawet nie liczyłam na to, że coś znajdę w tak beznadziejnym archiwum.

Collado się rozejrzał, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Ja tego nie powiedziałem, a jeśli będziesz twierdzić inaczej, wyprę się. W grę wchodzi moja reputacja.

– Jaką reputację może mieć ktoś o imionach Emilio Antonio? A może Antonio Emilio? Wszystko jedno, obie wersje brzmią jak imiona eleganta z telenoweli.

– Jeśli chcesz mojej pomocy, to nie tędy droga.

Uniosła ręce w geście poddania, po czym udała, że zamyka sobie usta zamkiem błyskawicznym.

– Niewiele osób wie, że snoby z trybu A mają własną czytelnię czasopism, do której nie mamy wstępu my, proletariusze. Nikt się tym nie interesuje, bo szukanie artykułów w czytelnicy jest równie passé jak chodzenie do kina. Jak myślisz: czy tamte zbiory są tak samo zdezaktualizowane i niepełne jak nasze?

Na samą myśl o tym Julia poczuła dreszcz.

– A gdzie tam.

– Właśnie. Ci, co płacą, zawsze mają lepiej, choć uniwersytet nie jest miejscem, w którym powinien panować kapitalizm...

– Mówisz, że tryb B nie ma dostępu do tych zbiorów?

– Jeśli znasz kogoś z A, możesz pożyczyć od niego kartę. Nie zorientują się. Już ci mówiłem, że nikt z tych zbiorów nie korzysta.

– Dzięki! Dzięki stokrotne!

Wstała i soczyście ucałowała go w czoło, po czym chwyciła torbę i wybiegła z sali.

– Praca przez internet, zajęcia przez internet, seks przez internet. Wszystko jest lepsze, jeśli można to robić na odległość. Bo... jak to szło? A, wiem: odległość zmienia perspektywę. Na przykład seks z monitora okazuje się sto razy lepszy. Bez nieprzyjemnych zapachów i płynów. Znacznie bardziej higieniczny i bezpieczny. Liczy się wyobraźnia, a nie automatyzm.

Julia myślami była gdzie indziej, choć z grzeczności udawała, że słucha Bei. W końcu to dzięki niej tu była. Siedziały przed potężnym komputerem w białej, nieskazitelnej i dobrze oświetlonej czytelni trybu A. Bea poprosiła koleżankę z roku o pożyczenie Julii karty bibliotecznej, żeby mogły udać się tam we dwie. Gdy przysunęły plastikowe prostokąty do czujnika, drzwi automatyczne otworzyły się bez oporów. Dyżurny pracownik nawet nie podniósł wzroku na dziewczyny, a oprócz niego nikogo nie było w pomieszczeniu.

– Poza tym eliminujesz zwierzęcą, prymitywną część tradycyjnego seksu i zastępujesz ją elektroniczną, która daje więcej możliwości i bardziej podnieca. To tak, jakby się było i jednocześnie nie było. Nie wiem, czy mnie rozumiesz.

Julia skinęła głową, bo czuła, że tak powinna zrobić, choć nie miała zielonego pojęcia, o czym mówi Bea. Zaczęła wypełniać pola wyszukiwania. Nazwa gazety: „Czas”, rok publikacji: 2023 i wreszcie kluczowe słowa. Westchnęła głęboko i wpisała nazwisko ojca.

– Ekran zmienia to, co widzisz, w coś nierealnego. Jest jak granica, która cię chroni, umysłowa bariera, dzięki której możesz się zdystansować i nie angażować. Dzięki temu nic cię nie dotyka. Taka mentalna prezerwatywa.

Zostało jedno. Zamknęła oczy i drżącą dłonią nacisnęła „enter”.

– A skoro o nieangażowaniu mowa, Max wciąż do mnie wydzwaniał. Najpierw chciał twój numer telefonu i adres, a teraz się skarży, że nie odbierasz. Moim zdaniem słusznie. Jest nudny jak mało kto.

Na ekranie pojawiła się informacja o znalezieniu 375 dokumentów. Julia kliknęła w pierwszy. Strona od razu się załadowała. Pełna, bez żadnych białych plam, z ciągnącym się na pięć szpalt tekstem „Ministerstwo Prawdy tworzy system mający wpłynąć na wyniki wyborów” sygnowanym nazwiskiem Gabriela Romero.

– Jest! – wykrzyknęła triumfalnie.

Bibliotekarz zgromił ją spojrzeniem. Złożyła ręce w geście prośby o wybaczenie.

– Co? – zapytała Bea.

– Artykuły! Znalazłam je! Znalazłam! – ekscytowała się Julia, otwierając jeden po drugim. Wszystkie były nienaruszone.

Wybierała te, w których znajdowała się wzmianka o ministerstwie. Chciała przeczytać je spokojnie w domu.

– Wyświadczysz mi jeszcze jedną przysługę? Możesz zapytać bibliotekarza, czy drukarka działa?

– Drukarka? Na jakim świecie ty żyjesz? Wyślij je sobie do chmury albo na maila. Albo zapisz na pendrivie. Wszyscy tak robią.

– Nie mam zaufania do elektroniki. Muszę wydrukować te teksty. Muszę ich dotknąć. Zmienić je w coś fizycznego, namacalnego, rzeczywistego.

Varona jeździł palcem po ekranie telefonu, łącząc diamenty. Trzy czerwone – pięćset punktów... Siedział w redakcji. Skończył pisać ten idiotyczny artykuł o grupie obłąkańców, którzy oskarżyli wirtualnych asystentów o nadużycia. Teraz zajmował się udawaniem, że pracuje. Trzy niebieskie – dwieście punktów... Trwonił czas na jakąś głupią grę. Całe jego życie było jedną wielką stratą czasu. I nic nie miało się zmienić. Trzy białe – trzysta punktów... Afera z emerytami w domach seniora sprawiła, że znów poczuł się dziennikarzem. A potem zjawił się typ z nożem i przypomniał mu, gdzie jego miejsce: w brązowym kontenerze, razem z resztą odpadów bioorganicznych. Trzy zielone – sześćset punktów...

Ciszę przerwali Rolling Stonesi. Plansza gry zniknęła z ekranu, ustępując miejsca nieznanemu numerowi. Paraliżujący strach zawładnął ciałem Varony jak nagła choroba. Po chwili wahania przełamał jednak niemoc i odebrał.

– Słucham?

– Varona? Tu Julia. Znalazłam je!

– Julia? To nie jej numer.

– Pożyczyłam telefon od koleżanki. Nie ufam swojemu. Słyszałeś, co powiedziałam? Znalazłam artykuły ojca!

– Tak, słyszałem. To... to świetnie.

– Idę prosto do domu i zabieram się do czytania. Chciałabym, żebyś mi towarzyszył. Może znajdziemy jakiś punkt zaczepienia.

– Julio... lepiej daj sobie z tym spokój. Możliwe, że przesadziliśmy.

– Co takiego?

– Sugeruję tylko, że może niepotrzebnie szukasz drugiego dna, a twój ojciec rzeczywiście odebrał sobie życie.

– A słowa inspektora Valverdego? I kasowanie artykułów na chwilę przed tym, jak do nich docierałam? Dziwne telefony i wiadomości, które potem znikają? To wszystko przypadek?

– Cóż... Być może.

– Och, przestań! Niemożliwe, żebyś w to wierzył. Jeśli nie chcesz mi pomóc, rozumiem. Ale nie próbuj mi wmawiać, że coś sobie uroiłam, i nie traktuj mnie jak pomyłonej.

– Nie, skąd. Oczywiście, że chcę ci pomóc. Po prostu... po prostu proszę, żebyś uważała.

– Coś się stało? Jesteś jakiś dziwny.

– Nic takiego. Ta afera, która miała pogrążyć ministerstwo, okazała się mrzonką. Urojeniem starego dziennikarzyny. Ale wystarczy parę kieliszków i wszystko wróci do normy.

– Zadzwoń, jak przeczytam artykuły. Sama sobie z tym nie poradzę. Potrzebna mi twoja pomoc. Ale musisz być w formie.

– Jestem w formie. Ze szklanką rumu w ręce czułbym się lepiej, ale daję radę. Pomogę ci. Zobaczymy, co tam znajdziesz.

Po rozłączeniu się sprawdził na ekranie godzinę. Dochodziła czwarta. Do telefonu zostały ponad trzy godziny. I wtedy do jego nozdrzy dotarł smród. Najpierw lekki, potem narastający, w końcu dławiący. Fetor zgnilizny albo rozkładających się zwłok szczura. Rozglądał się po redakcji w poszukiwaniu źródła... aż w końcu pojął, że to cuchnie jego własne ciało. Cuchnie zdradą, która zaczęła rozkładać je od środka.

CZĘŚĆ IV



*Ty złemu nie ustępuj, lecz przeciw idź śmiało!
Idź nawet wbrew Fortunie!**

- Wergiliusz

* Wergiliusz, *Eneida*, przeł. T. Karyłowski, Księga VI, wersy 95–96, Wolne Lektury (online), <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/wergiliusz-eneida.html#s6> (19.08.2022).

25

Szła szybko, przyciskając teczkę do piersi. Tak bardzo się o nią bała, że wyobraźnia podsuwała jej obraz czającego się za każdym rogiem niebezpieczeństwa. W końcu jednak dotarła do bramy swego bloku. Nie mogła się doczekać chwili, w której wejdzie do mieszkania i zacznie czytać artykuły ojca – te, które opowiadały o Ministerstwie Prawdy i stanowiły początek końca Gabriela Romero. Liczyła, że znajdzie tam odpowiedź na wszystkie dręczące ją pytania.

Po wejściu na klatkę schodową machinalnie podeszła do skrzynki pocztowej i otworzyła ją, wiedzona raczej rodzinnym rytuałem niż ciekawością tego, co mogłaby tam znaleźć. Nie znalazła nic. Zamknęła więc drzwiczki, by uwięzić tę nicość, i ruszyła na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Stała jak wryta na widok postaci siedzącej obok jej drzwi.

„Oni mi nawet nie pozwolą wejść do domu!”, pomyślała.

– Nie zamierzam cię nachodzić – powiedział Max, wstając z podłogi. – Chciałem tylko wyjaśnić...

– Nie mam czasu. Powiedzieliśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia, więc się...

– Daj mi tylko pięć minut. Potem odejdę, jeśli sobie tego zażyczysz, i dam ci spokój na zawsze.

– Naprawdę musi to być teraz?

– Proszę jedynie o pięć minut. Czy to tak wiele?

Westchnęła z rezygnacją i wzruszyła ramionami. Max uznał to za sygnał, że może kontynuować.

– Już parę razy zostałem porzucony, ale nigdy dlatego, że uznano mnie za szpiega.

– Żebyś mogła cię porzucić, najpierw musiałoby między nami coś być – odparła wymijająco.

– Zgoda. Ale wszystko szło w dobrym kierunku, dopóki sobie nie wymyśliłaś...

– Nie wymyśliłam? Więc to kłamstwo, że uczestniczyłeś w tej farsie dla dziennikarzy zaaranżowanej przez Ministerstwo Prawdy? Varona cię tam widział. Tym się zajmujesz? Oszukiwaniem ludzi?

– Cóż, przyznaję, byłem tamtego dnia w rezydencji dla seniorów. Powiedziano mi, że mistyfikacja ma na celu jedynie uspokojenie społeczeństwa i danie nam czasu na wyposażenie pozostałych domów. Nie chciało mi się w to wierzyć, ale wykonywałem polecenia przełożonych. Nie ja jeden muszę robić rzeczy, które mi się nie podobają. Tak działa rynek pracy. Jeśli powiesz „nie”, pokazują ci drzwi. A poza tym co to ma wspólnego z tobą?

– Co ma wspólnego? Wszystko! Nie masz pojęcia, co przeżyłam. Mój ojciec ginie w tajemniczych okolicznościach, a kiedy próbuję się dowiedzieć, co się stało, wokół zaczynają się dziać niezrozumiałe rzeczy: inspektor, który zajmował się sprawą, dzień po rozmowie ze mną zostaje przeniesiony, dokumenty wyparowują z internetu kilka minut przed tym, jak próbuję je otworzyć, z mojego telefonu tajemniczo znikają wiadomości... Ale w całym tym chaosie jest jedna rzecz, która wciąż się powtarza. Wiesz jaka? To, że gdzieś w tle, na drugim planie, niczym nietykalny wszechwładca zawiadujący wszystkim z oddali, zawsze tkwi Ministerstwo Prawdy. I dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym

czasie nie wiadomo skąd pojawiaasz się ty. Chłopak idealny, zawsze gotów do pomocy i do wspierania mnie w najgorszych chwilach. A gdzie pracuje ten idealny chłopak? W pieprzonym Ministerstwie Prawdy.

– Rozumiem twój tok myślenia, ale jest w nim sprzeczność. Gdyby ministerstwo chciało cię obserwować, czy naprawdę przysłałoby kogoś, kto już w pierwszych słowach przyznaje się, że tam pracuje?

Julia milczała. Może miał rację, a może po raz kolejny próbował ją zwieść albo... Zresztą nieważne! I tak nie miała czasu ani ochoty o tym myśleć. Artykuły, które wciąż przyciskała do piersi, czekały.

– Max, doceniam twoje wysiłki i tak dalej, ale teraz mam na głowie ważniejsze rzeczy – powiedziała i przekręciła klucz w zamku.

– Proszę jedynie, żebyś to przemyślała. Nic więcej.

– Dobrze – odparła, przechodząc obok niego i wchodząc do mieszkania.

– Obiecujesz?

– Żegnam – ucięła rozmowę i zatrzasnęła drzwi.

Wreszcie była w domu. Ku własnemu zaskoczeniu szukała pretekstu, by uwierzyć Maxowi, i ze wszystkich sił starała się obalić każdy argument podważający jego słowa. Chciała znaleźć wytrych, który pozwoliłby chłopakowi wrócić do jej życia.

– Ogarnij się! – ofuknęła się po raz kolejny, tym razem na głos.

Odłożyła torbę, zdjęła kurtkę i zaniósła teczkę na stół. Wiedziała, co musi zrobić najpierw. Podeszła do regału, na którym leżał jej telefon. Już prawie nigdzie go nie zabierała i nawet w domu przez większość czasu nie włączała. A kiedyś sama powtarzała ojcu, że to szaleństwo odmawiać posługiwania się tym urządzeniem! Teraz, gdy odszedł, z każdym dniem rozumiała go coraz lepiej. Czasem ktoś musi zniknąć z naszego życia, żebyśmy zaczęli go poznawać.

Wzięła telefon i upewniła się, że jest wyłączony. Wyjęła baterię i włożyła wszystko do szuflady. Potem odłączyła od prądu laptop, a nawet telewizor. Było to pokłosie przeczytanego artykułu, który w sensacyjnym tonie przestrzegał przed zagrożeniami ze strony inteligentnych telewizorów. Rzekomo przez wbudowane tam kamery można było obserwować użytkowników. Gdy cofnęła swoje mieszkanie do średniowiecza, postanowiła zamknąć się w łazience i tam przeczytać teksty ojca. Wiedziała, że to niemądre, ale właśnie tam czuła się w miarę bezpieczna. A więc to już się stało: przeobraziła się w podręcznikową wyznawczynię teorii spiskowych. Ale jak mogło być inaczej po wszystkim, co jej się przydarzyło?

Rozłożyła kartki na płytkach podłogi i zaczęła je szeregować według dat publikacji. Pierwszy artykuł pochodził z 30 września 2023.

[...] Ministerstwo Prawdy stworzyło algorytm pozwalający na manipulowanie wynikami wyborów. Źródła związane z ministerstwem twierdzą, że systemu używano w zeszłorocznych wyborach i używa się go do dziś. Program zaczyna od typowania użytkowników, którzy nie mają sprecyzowanych poglądów politycznych. Identyfikuje ich sztuczna inteligencja poprzez analizę preferencji użytkowników, badając ich media społecznościowe, obserwowane profile, czytane czasopisma i wiadomości. Na podstawie tych danych, których nieświadomie dostarczają mu obywatele, program wybiera osoby najbardziej podatne na manipulację. Od tego momentu otrzymują one przez wszystkie możliwe kanały komunikacyjne wiadomości faworyzujące konkretną partię i dyskredytujące jej przeciwników. Nieprzerwane bombardowanie spersonalizowanymi wiadomościami, które

przekonuje wyborców do głosowania na kandydata popieranego przez ministerstwo [...].

„Tato, byłeś genialny!”, pomyślała Julia, sięgając po kolejny artykuł. A więc ministerstwo swoimi brudnymi paluchami wpływało na wynik wyborów, kierując niczego nieświadomymi wyborcami. Kolejna notka, datowana na 2 października 2023, poświęcona była analizie konsekwencji prawnych opisanej manipulacji. Według niektórych prawników osoby odpowiedzialne powinny trafić do więzienia. Ponadto należało anulować wyniki wyborów i przeprowadzić nowe. Artykuł wywołał ogromny skandal, ale Gabriel Romero nie przestał dolewać oliwy do ognia.

5 października 2023

[...] Znaczna część informacji przesyłana przez Ministerstwo Prawdy niezdecydowanym wyborcom była fałszywa. Najnowsze sensacyjne doniesienia wskazują, że sprawa może być jeszcze poważniejsza, niż się zdawało. Dotąd sądzono, że podsuwane informacje były po prostu niekorzystnymi faktami dotyczącymi kontrkandydatów faworyzowanej przez ministerstwo partii, lecz źródła bliskie wysoko postawionym urzędnikom ministerstwa zapewniają, że przeważająca ilość tych informacji była nieprawdziwa, spreparowana przez tajną komórkę w samym ministerstwie, której nadano miano pokoju sto jeden. Zalew tak zwanych fake newsów, które odbiorcy traktowali jak fakty, w rekordowym tempie wywoływał powszechną niechęć do jakiejś partii. Pytanie brzmi: czy wybory, w których obywatele zmanipulowano kłamstwami, należy uznać za legalne? Do jakiego stopnia można wykorzystywać zdobycze techniki do prowadzenia

tajnych kampanii wyborczych, w których obywatele są nieświadomymi obiektami manipulacji?

Kolejne artykuły ujawniały dalsze oszustwa ministerstwa. Rządowe media publikowały sprostowania... aż w końcu pojawiła się bomba: wywiad na wyłączność z twórcą systemu manipulacji, inżynierem o nazwisku Virgilio Sanz, który jako pracownik jednej z czołowych firm z Doliny Krzemowej zajmujących się mediami społecznościowym otrzymał od hiszpańskiego przedsiębiorstwa technologicznego propozycję opracowania projektu równie innowacyjnego, co tajnego. Dopiero po przyjeździe do Madrytu dowiedział się, że w rzeczywistości będzie pracował dla Ministerstwa Prawdy. Stworzył dla nich skomplikowany algorytm mający początkowo umożliwić realizację nowatorskich badań socjologicznych i rynkowych służących obserwacji mechanizmów warunkujących gusty Hiszpanów, odkrywaniu ich zmartwień, przewidywaniu zwyczajów, antycypowaniu nowych potrzeb konsumenckich i tak dalej. Jego wynalazek przedzierzgnął się jednak w potężną broń przeznaczoną do manipulowania preferencjami wyborców w celu przeforsowania korzystnych dla ministerstwa wyników wyborów. Inaczej mówiąc, ministerstwo dawało sobie możliwość mianowania i obalania prezydentów. Począwszy od tamtego wywiadu, artykuły Gabriela Romero zajmowały w gazecie coraz mniej miejsca. Postępująca marginalizacja zakończyła się sprostowaniem, w którym redakcja odwoływała wszystko, co podpisano jego nazwiskiem. Stwierdzono, że za oszustwem stoi wspomniany Virgilio Sanz, który przedstawił gazecie fałszywe dowody. Ministerstwo Prawdy przystąpiło do ofensywy, która ostatecznie doprowadziła do zdyskredytowania Romero jako pijaka i nieudacznika.

„Może wojna wcale się jeszcze nie skończyła – pomyślała Julia. – Może mnie się uda doprowadzić do końca to, co zaczął ojciec”.

Miała przynajmniej punkt wyjścia, a był nim Virgilio Sanz.

Wyszła z łazienki, włożyła kurtkę, chwyciła torbę i opuściła mieszkanie. Musiała dowiedzieć się o tym człowieku czegoś więcej. Nie była jednak tak głupia, by szukać informacji na własnym komputerze. Kontakty z Ministerstwem Prawdy podniosły jej czujność do poziomu paranoi.

26

Obiekt od dwóch dni nie nosi ze sobą telefonu, w związku z czym przewidywanie jego ruchów stało się praktycznie niewykonalne. Choć rozsiane po mieście kamery z funkcją rozpoznawania twarzy pozwalają nam dokładnie śledzić, którędy się przemieszcza, otrzymujemy wyniki po fakcie. Uzyskanie tych danych w czasie rzeczywistym jest bardzo skomplikowane, by nie rzec: niemożliwe.

Poeta siedział przed komputerem, trzymając papierosa między palcami, i słuchał relacji agenta. Zaczekał, aż usta wypełnią mu się dymem, a następnie uchylił je leciutko i pozwolił szarej chmurze się wyśliznąć niczym lepkiemu językowi gada.

– Cwaniara. Coś jeszcze? – zapytał bez szczególnego zainteresowania, spowity kłębamii unoszącymi się leniwie ku nicości.

– Kiedy jest w domu, włącza telefon tylko po to, by przeprowadzać jakieś banalne rozmowy. Jeśli chodzi o internet, od dawna nie udziela się w mediach społecznościowych, a w wyszukiwarki wpisuje jedynie słowa związane ze swoją pracą w gazecie. Wiemy, że odwiedza kafejkę internetową w pobliżu miejsca zamieszkania, i próbujemy zhakować cały tamtejszy sprzęt. Musiała się zorientować, że ją obserwujemy.

– Technologia to współczesny bóg. – Poeta westchnął z niechęcią. – Wszechwiedzący, wszechpotężny, wymagający od wyznawców ślepego poświęcenia. Osobiście uważam się za agnostyka: obserwuję jego cuda, lecz wiem, że kryją się za nimi sztuczki. Dlatego nieszczególnie ufam

bogom. Nigdy nie widziałem, żeby robili coś dla ludzi. Tylko rzucają im kłody pod nogi. Za to ty jesteś wiernym czcicielem. Dlatego czujesz się zagubiony, gdy twój bóg cię opuszcza. Uważasz swoją wiarę za słuszną. Ale ja jestem tu po to, żeby wyprowadzić cię z błędu i pokazać ci nową drogę: drogę analogowej herezji. Istnieją inne sposoby śledzenia, które nie wymagają użycia technologii. Sposoby wymyślone w mrocznych wiekach. – Uśmiechnął się szyderczo. – Wiekach, kiedy człowiek był czymś więcej niż jednostką konsumencką, a maszyny nie decydowały o tym, co mamy myśleć – wygłosił tonem szamana.

– Sugeruje pan interwencję agentów? Liczne badania dowiodły ich bezużyteczności, dlatego dziś korzystamy z nich sporadycznie. Czynniki ludzkie czyni misje wysoce ryzykownymi, jeśli... Aaa! Pałę się! – wykrzyknął mężczyzna, bo przełożony użył właśnie jego głowy jako popielniczki do zgaszenia papierosa.

– Żyjemy w epoce znieczulenia – rzekł Poeta, odwracając się tyłem do podwładnego. – Za wszelką cenę chronimy jednostkę przed bólem niczym niewinne dziecko, udając, że róże nie mają kolców. A tylko ból może uczynić nas dorosłymi i kompletnymi. Powinieneś go zaznać, by móc się z nim zmierzyć, odkryć swoje granice, dowiedzieć się, kim naprawdę jesteś. Nie martw się, nie musisz mi dziękować za to, że pomogłem ci odrobinę dojrzeć, ale już nigdy nie podawaj w wątpliwość czegoś, co mówię. Rozumiemy się?

Agent przytaknął, nie odrywając dłoni od poparzonego czoła.

– Wygląda na to, że nasza ulubienica zaczęła się bać telefonów komórkowych. Sprawdźmy, czego jeszcze się boi.

W kawiarence internetowej unosił się zapach potu, curry i rozgrzanego plastiku. O tej porze niewiele komputerów było zajętych – tylko kilkoro

studentów zamiast na zajęciach siedziało tu i grało w najnowsze gry.

Julia usiadła przy stanowisku najbardziej oddalonym od drzwi. Połączyła się z internetem i wpisała w wyszukiwarkę „Virgilio Sanz”. Pojawiły się tysiące linków związanych z tym nazwiskiem. Wchodziła w każdy po kolei. Potrzebowała ponad godziny, by wyrobić sobie jasne zdanie na temat tego, co się wydarzyło. Bez wątplenia to właśnie inżynier Sanz był informatorem jej ojca na temat machlojek Ministerstwa Prawdy.

Jak można było się spodziewać, ministerstwo nie ucieszyło się z ich ujawnienia. Najpierw zorganizowano kampanię w celu zdementowania opublikowanych przez Gabriela informacji. Potem przedstawiono materiały internetowe rzekomo będące dowodem na to, w jaki sposób powstawały fake newsy. Wszystkie „dowody” pochodziły z zagranicznych serwerów, co miało sugerować, że ministerstwo nie ma z tym nic wspólnego. Zidentyfikowano paru autorów fałszywych filmików, którzy utrzymywali, że są patriotami i działali dla dobra ojczyzny. Chcieli, żeby wygrał ich kandydat, więc postanowili oczernić jego rywala. Wpuszczono nawet dziennikarzy do gmachu ministerstwa i pokazano im tajemniczy pokój sto jeden, który okazał się jednym z wielu nudnych biur pełnych szarych urzędników marnujących czas i życie.

Ale to była zaledwie pierwsza faza kontrofensywy. Druga polegała na zawodowej i moralnej dyskredytacji Virgilia Sanza. Najpierw zarzucono mu, że nie przedstawił dowodów. Następnie oskarżono go o okradzenie ministerstwa. Jeszcze później – o sprzedaż tajemnic państwowych. Krążył nawet bardzo słabej jakości film, na którym Sanz rzekomo wykorzystywał seksualnie nieletnią. Od tamtej pory we wszystkich artykułach powtarzało się to samo pytanie: „Gdzie jest Virgilio Sanz?”. Wszystko wskazywało na to, że rozplynął się w powietrzu.

„I nie dziwota”, pomyślała Julia.

Sąd wydał za nim list gończy. Mijały tygodnie i miesiące, lecz wciąż nie trafiano na jego ślad. Nawet gdy ministerstwo zaoferowało nagrodę dla osoby, która wskaże miejsce jego pobytu, nic się nie zmieniło. Julia ze zdumieniem odkryła, że jedne z największych ataków przypuszczała jego własna żona, Gloria de la Serna. W wywiadzie udzielonym „Czasowi” nazwała męża „potworem, któremu w głowie tylko dwie rzeczy: pieniądze i kłamstwa”. Wiedząc, że znalezienie Sanza nie będzie łatwe, Julia zanotowała jej nazwisko. Od czegoś musiała zacząć poszukiwania. W miarę upływu czasu prasowe wzmianki o inżynierze stawały się coraz bardziej lakoniczne, a ich miejsce zajmowały bieżące zdarzenia.

Przeczytanie artykułów ojca i dzisiejszych rewelacji nadało jej śledztwu nowy kierunek. Po pierwsze, dowiedziała się, kim był Gabriel Romero, zanim popadł w niełaskę. Po drugie, zrozumiała, dlaczego Ministerstwo Prawdy wciąż tak się interesuje jej ojcem i nią samą. I wreszcie po trzecie – miała coś, czego mogła się uchwycić: nazwiska Virgilia Sanza i jego żony Glorii. Wpisała w wyszukiwarkę „Gloria de la Serna”. Pojawiło się niewiele wyników, z których większość miała związek z jakimiś wydarzeniami w wyższych sferach. Koktajle, prezentacje, fiesty. Żona Sanza najwyraźniej lubiła luksus i lans. Nie wystarczy mieć pieniędzy. Trzeba jeszcze pokazać, że się je ma.

– Świetnie – mruknęła dziewczyna do wizerunku szykownej damy na ekranie. – Tylko jak ja mam cię znaleźć?

Wtedy wpadła na pomysł.

Wyłączyła komputer, poszła do domu, włączyła komórkę i zapisała na kartce jeden z numerów ze swojej listy kontaktów. Wróciła do kawiarenki, tym razem po to, by zadzwonić. Poprosiła siedzącego za ladą Pakistańczyka o połączenie, weszła do kabiny ze sklejką i wstukała zapisany numer.

– Jeśli chcesz mi coś sprzedać, nie trudź się. Jestem bardzo zadowolona ze swojego dostawcy usług telefonicznych.

– Bea, to ja, Julia. Dzwonię z budki.

– Słucham? Odkąd pracujesz w tej gazecie, stajesz się coraz bardziej tajemnicza. Zaczyna mnie to wciągać. Może jednak poproszę ojca, żeby dla mnie też znalazł miejsce?

– Potrzebuję twojej pomocy. Muszę znaleźć pewną osobę. Nazywa się Gloria de la Serna.

– Nic mi to nie mówi.

– Tak myślałam. Ale twoja mama może ją znać. Wygląda na to, że obracają się w tych samych kręgach.

– Mam spytać królową matkę? To będzie nowość, bo od dawna nie rozmawiamy... Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie nic, co ma związek z Czarownicą z Północy. Za to ona bez przerwy mnie o coś pyta. „Dokąd idziesz?” „Skąd wracasz?” „Z kim będziesz?” Chyba mnie myli z Alexą.

– Jeśli się znają, bardzo by mi zależało na skontaktowaniu się z tamtą osobą. Bardzo, bardzo.

– Doobra, rozumiem. Zapytam ją i do ciebie oddzwonię. Chyba że akurat jest u fryzjera.

– Nie dzwoń na moją komórkę. Czekał, dam ci inny numer.

Opuściła kabinę i podeszła do lady.

– Może mi pan podać numer telefonu, którego używam? Ktoś ma do mnie zadzwonić.

Patrzył na nią jak ciele na malowane wrota.

– Nie wiem, czy mnie pan rozumie. To nagła sytuacja. Potrzebuję...

– Doskonale panią rozumiem – stwierdził mężczyzna. – Dziesięć euro.

– Słucham? Dziesięć euro za odebranie rozmowy? Przecież pan nie ponosi żadnych kosztów.

– Tak mi doradzają moi wielcy przyjaciele: podaż i popyt. Słyszała pani o nich? Pani potrzebuje telefonu, a ja go mam. Dyszka i gotowe.

Z ociąganiem wyjęła banknot, a facet zapisał jej na kartce numer. Wzięła ją i wróciła do kabiny.

– Bea? Pisz.

Posiadłość wyglądała jak wielka śpiąca bestia. Julia nie miała odwagi nacisnąć dzwonka, żeby jej nie obudzić. Wyobrażała sobie, że okna zmieniają się w dwoje olbrzymich gadzich oczu o owalnych źrenicach, a drzwi – w gigantyczną paszczę, która ją pożre. Doskonale wiedziała, jak ważny jest ten krok. Za chwilę miała wsiąść do rozklekotanej kolejki górskiej, z której nie będzie mogła wysiąść do samego końca, czy jej się to podoba, czy nie. Wzięła głęboki oddech i pomyślała o rodzicach. „Byliby ze mnie dumni”, uznała i przestała się czuć samotną, zagubioną sierotką. Czuła ich obecność u boku.

Podniosła dłoń i nacisnęła dzwonek. Po chwili w drzwiach stanęła kobieta w stroju pokojówki.

– Dzień dobry, nazywam się Julia Romero. Jestem umówiona z panią Glorią de la Serna z polecenia pani Sánchez-Bravo. Dziś rano dzwoniłam, by potwierdzić wizytę.

– Proszę wejść. Pani czeka.

Pokojówka poprowadziła ją w głąb posiadłości. Uwagę Julii przykuł pstrokaty wystrój, w którym wszystkie przedmioty miały jedną wspólną cechę: wprost ociekały przepychem. Gdziekolwiek spojrzała, widziała komody, obrazy, dywany, lustra, wazy, lampy, zestawy wypoczynkowe... Najwyraźniej w tym domu puste przestrzenie były zakazane. Nieważne, że kiczowato; ważne, że bogato. Gumy podszew Julii piszczały na wypolerowanej marmurowej posadzce, jakby broniły się przed wejściem,

ale pokojówka nieubłaganie prowadziła dziewczynę do salonu. Tam, rozparta na sofie z polerowanej czarnej skóry, siedziała Gloria de la Serna z kieliszkiem martini, w którym niczym zielona planeta w alkoholowym kosmosie pływała oliwka.

– Proszę pani, przyszła Julia Romero.

– Och, miło cię poznać. Nie stój tak, usiądź. Napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję. – Julia usiadła w fotelu twarzą do gospodyni.

Czas nie był dla Glorii łaskawy. Na twarz kobiety z internetu nałożył się zmarszczek, którą bezskutecznie próbowała przykryć warstwami makijażu. Reszta ciała, podobnie jak dom, nosiła ślady przedawkowania złota: pełno go było na szyi, w uszach, na rękach. Julia nie mogła oderwać wzroku od dłoni Glorii, które bez przerwy wędrowały w górę i w dół po nogach, twarzy oraz sofie niczym niespokojne pająki albinosy o nóżkach unurzanych we krwi.

– A więc nasza gaduła Elvira to twoja znajoma? – zapytała kobieta, mając na myśli matkę Bei.

– Tak naprawdę znam tylko jej córkę. Studiujemy na tym samym wydziale.

– Och, moja droga, dla twojego dobra mam nadzieję, że nie wdała się w mamusię, jeśli chodzi o gadulstwo. Wciąż boli mnie głowa, gdy sobie przypominam ostatnie przyjęcie, na którym wpadłam w jej szpony. Zauważyłaś, że ci, co najwięcej mówią, mają najmniej do powiedzenia? Boże, jak ja tego nie cierpię!

– Sądziłam, że panie się przyjaźnią.

– Przyjaźnią? A gdzie tam! Ona brzydzi się mną, a ja nią. I dobrze nam z tym. My, bogaci, z zasady brzydzimy się wszystkim. Przyjaźń jest dla biedaków. Ta ich potrzeba bliskości i kontaktu, taka prymitywna i nieokrzesa! O ileż bardziej wytwornie, elegancko i... higienicznie jest

się brzydzić. A przede wszystkim o ileż wygodniej! Bez porównania! Żeby się kimś brzydzić, trzeba tylko znaleźć powód, a czasem nawet nie. Zresztą jakiś powód jest zawsze. Przyjaźń z kolei wymaga pewnych zobowiązań, rezygnacji. Mam nadzieję, że nie urażą cię moje słowa. Ledwie cię poznałam, a już zaczynasz mnie brzydzić.

Julia robiła coraz większe oczy. Ta kobieta fascynowała ją i odpychała zarazem.

– Mam nadzieję, że kiedyś nauczę się czuć odrazę.

– Dobrze powiedziane. Młoda dama może wkroczyć na salony jedynie wtedy, jeśli w bardzo młodym wieku nauczy się brzydzić bliźnim. Ale powiedz, co cię do mnie sprowadza. Pytałam już, czy się czegoś napijesz?

– Tak, dziękuję, niczego mi nie trzeba. Muszę wiedzieć, co zaszło między pani mężem, Virgiliem Sanzem, a moim ojcem.

– Och... no tak! Julia Romero. Jakim cudem wcześniej nie skojarzyłam? Jesteś córką Gabriela, tak? Jednego z największych kretynów, jakich spotkałam. Nic dziwnego, że dał się nabrać takiemu klaunowi jak mój mąż. Virgilio jest żaloszny. Dobry w łóżku, to trzeba mu przyznać, ale poza tym doprawdy odrażający.

Julia zacisnęła zęby, by nie wybuchnąć. Wzbierała w niej furia. Pierwszy raz w życiu słyszała, jak ktoś obraża jej ojca. Ale nie mogła dać się ponieść. Jak to mawiał Varona? Musiała zachować dziennikarski profesjonalizm i wydobyć z tej harpii wszelkie możliwe informacje.

– Dlaczego uważa pani swego męża za klauna? – zapytała z udawanym spokojem.

– Z powodu tych wszystkich bzdur, które wymyślił! Przecież to one cię tu sprowadziły, prawda? Te idiotyzmy o manipulowaniu wyborcami, żeby głosowali na ludzi ministerstwa! Co za brednie. Kompletne, niepojęte brednie.

– W takim razie dlaczego to zrobił? Czytałam wywiad, którego udzielił ojcu...

– Chcesz wiedzieć dlaczego? Cóż. Zanim wybuchł ten cały skandal, mieszkaliśmy w Dolinie Krzemowej. Potwornie nudnym miejscu dla kogoś, kto ma gorącą krew. Virgilio zawsze mawiał, że żyje się tam równie fascynująco jak w zamkniętej szufladzie ze skarpetkami. Kiedy więc zaproponowali mu powrót do Hiszpanii i rozwijanie nowego projektu, nie zastanawialiśmy się ani chwili. Bawiliśmy się tu świetnie, ale gdy projekt dobiegł końca, nie mieliśmy innego wyjścia niż powrót do dawnego życia. Mąż zaproponował ludziom z ministerstwa, żeby go zatrudnili. Argumentował, że przyda im się w pobliżu ktoś, kto stworzył dla nich tak pożyteczny algorytm. Kiedy odrzucili propozycję, wściekł się i postanowił na nich zemścić, wymyślając całą tę mistyfikację o sterowaniu ludźmi. Ja sama odcięłam się od tego wszystkiego, gdy tylko zdałam sobie sprawę, że konsekwencje jego kłamstw mogą dotknąć i mnie. Byłam za stara, by się bawić w policjantów i złodziei. Dla kogoś, kto już nauczył się spać w łóżku, podłoga jest stanowczo zbyt twarda.

– A mój ojciec? Jak się w to wplątał?

– Bardzo prosto, moja droga. Twój ojciec był pożytecznym idiotą. Takich nigdy nie brakuje, zwłaszcza wśród dziennikarzy. Węszą za sensacją, która odmieni ich życie. Twój ojciec tak bardzo chciał, żeby to, co opowiedział mu mój mąż, było prawdą, że nie dostrzegął sygnałów ostrzegawczych. Połknął przynętę jak ryba. Nawiasem mówiąc, słyszałam, że nie żyje. Przyjmij moje kondolencje. To było samobójstwo, tak? Jeśli chcesz wiedzieć, co myślę, to wybrał drogę tchórzy.

Julia czuła, że dłużej tego nie znieśie. Ogień płonął jej w trzewiach i strzelał z oczu. Już miała wstać i się odgryźć, ale Gloria ją uprzedziła – położyła jej na ramieniu swą pajęczą dłoń.

– Proszę, nie gniewaj się. Przed drugim martini zawsze staję się niemiała – wyjaśniła. – Imeldo! – zawołała w próżnię. – Gdzie moja druga dawka? Nie mam pojęcia, jak ludzie mogą się mierzyć ze światem bez tej szczepionki.

Julia trwała w bezruchu, czekając, aż ta okropna kobieta zabierze łańsko.

– A teraz, moja droga, lepiej będzie, jeśli wyjdziemy do ogrodu. Może będziemy miały trochę szczęścia i unikniemy wzroku mojej zwariowanej sąsiadki.

Ujęła zdeorientowaną dziewczynę pod rękę i poprowadziła przez przesuwne szklane drzwi do otoczonego żywopłotem z cyprysów arizońskich ogrodu z równo przystrzyżonym trawnikiem. Ledwie znalazły się na zewnątrz, a Gloria de la Serna wyjęła z kieszeni paczkę cienkich, filigranowych papierosów i włożyła jednego do ust.

– Chcesz? – Podsunęła paczkę Julii.

– Nie palę. To nielegalne.

– Przyznaję, że przepisy stworzono po to, żeby chronić nas przed sobą nawzajem i żebyśmy się nauczyli szanować cudzą przestrzeń. Ale nie rozumiem, dlaczego ktoś uzurpuje sobie prawo do decydowania o moich nałogach. Nałogi są święte. Pomagają nam nie oszaleć. Dlaczego nie wolno mi wybrać sposobu, w jaki chcę się otruć? Palę w ogrodzie. Nikomu nie przeszkadzam. A jednak okazuje się, że popełniam przestępstwo. Twierdzą, że robią to dla mojego zdrowia, ale gdyby naprawdę tak się o nie troszczyli, zakazaliby używania samochodów. Więcej osób rocznie ginie w wypadkach drogowych, niż umiera na raka płuc. Najwyraźniej ktoś w rządzie zabrał się do liczenia i wyszło mu, że leczenie rozedmy kosztuje państwo więcej. Jak temu zaradzić? Zakazać używania tytoniu i dzięki temu zaoszczędzić. A co

ze swobodami obywatelskimi i wolną wolą? To tylko słowa, które tym bardziej tracą na znaczeniu, im częściej je powtarzamy.

– Morderczyni! Wszystkich nas wykończysz! – zawołała jakaś kobieta z najwyższego okna willi po prawej stronie.

– I to jest najgorsze. Prawa są stanowione przez państwo, ale to obywatele decydują się ich przestrzegać. Niczym armia samozwańców inkwizytorów pragnących wycelować w ciebie oskarżycielski palec. Nawiedzonych prokrustów ostrzających noże, żeby nas wszystkich zrównać. Ważne, żeby przestrzegać praw, nawet jeśli są niesprawiedliwe. Zero refleksji, wyłącznie posłuszeństwo.

– Nagrywam cię, zbrodniarko! Żebyś wiedziała, że doniosę na ciebie na policję! – wydzierała się dalej sąsiadka.

– Nie wiem, co ty o tym sądzisz, moja droga, ale moim zdaniem odrobina nieposłuszeństwa od czasu do czasu jest dobra dla zdrowia. – Gloria de la Serna pokazała sąsiadce środkowy palec i wydmuchnęła w jej kierunku wielką chmurę dymu.

Julia miała wrażenie, że odkąd wyszły na zewnątrz, w stojącej obok niej kobiecie zaszła niewytłumaczalna zmiana. Kiedy dotarły na skraj ogrodu, Gloria spojrzała w stronę domu, po czym powiedziała szybko ściszonego głosem, bez śladu wcześniejszego dystansu:

– Nie masz przy sobie komórki, prawda?

– Nie. Dlaczego pani pyta?

– Słuchaj mnie uważnie, bo czas nas goni. Nie mogłam rozmawiać w domu, bo mnie obserwują. Podśłuchują rozmowy, nagrywają wszystko, co robię.

– Po co im...

– Zamknij się i słuchaj! Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem. Jedyną osobą, która odważyła się ujawnić całą prawdę. Wszystko, co mu

przekazał mój mąż i co zostało opublikowane, to prawda.

– W takim razie dlaczego pani potępiła męża?

– To był jego pomysł. Uważał, że dzięki temu nie będę musiała się ukrywać. Nie chciał dla mnie takiego losu. Ale nie wiedział, co mnie czeka w zamian. Codzienne odgrywanie roli, którą przed chwilą odegrałam przy tobie. Wiem, że mimo swoich deklaracji wciąż jestem na cenzurowanym. Ministerstwo widzi we mnie niedokończony rozdział. A ci ludzie lubią mieć wszystko domknięte. Ale to teraz nieważne. Ważne, żebyś wiedziała, że ktoś się z tobą skontaktuje. Wypatruj znaków.

– Jakich znaków?

– Virgilia i pozostałych.

– Pani wie, gdzie on jest?

– Nie. Ja nie wiem. Dla dobra nas obojga. Ale komunikujemy się za pośrednictwem innych. Mam świadomość, że już nigdy nie będziemy razem. To cena, jaką musimy zapłacić za to, by móc dalej żyć. Dawno się z tym pogodziliśmy. A teraz słuchaj. Sprawy mają się fatalnie. Ministerstwo nigdy nie miało takiej władzy jak teraz. Twój ojciec musiał coś odkryć. Jakąś tajemnicę, słaby punkt... Dlatego go zabili. I nie tylko jego. Zachowaj najwyższą ostrożność. Skoro tu przyszłaś, z pewnością już cię śledzą. Nikomu nie ufaj i niczego nie przyjmuj za pewnik. Strzeż się ludzi z ministerstwa, a w szczególności człowieka, którego nazywają Poetą. Jest najgorszy ze wszystkich.

– Ale co ja w zasadzie mam robić? – Julia próbowała przetrwać wszystkie te informacje, choć z każdą kolejną w jej głowie pączkowały nowe pytania.

– Nie mamy czasu. Jeśli długo nie będziemy wracać do domu, zaczną coś podejrzewać. Teraz musisz na mnie nakrzyczeć. Obrazić mnie. Wściec

się i jak najszybciej stąd wyjść. I niech ci nie przyjdzie do głowy wracać,
bo zabiją nas obie. A teraz krzycz. Krzycz!

28

Dzwonek dzwonił jak opętany.

– Chwila, chwila! – wołał Varona, biegnąc w stronę drzwi.

Otworzył. To była Julia. Wpadła do mieszkania niczym huragan, nie czekając na zaproszenie.

– Gdzie ty się, do diabła, podziewałeś? Szukam cię od paru godzin!

– Jak to: gdzie się podziewałem? Jakbyś nie zauważyła, to wpadłaś właśnie do mojego domu.

– Właśnie. Kto by pomyślał, że cię tu znajdę. Zawsze mówiłeś, że mieszkanie to twój drugi dom po barze.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że wokół jest czysto i schludnie. Spodziewała się pobożowiska – talerzy z resztkami, mebli obwieszonych brudnymi ciuchami, kartonów po pizzy na podłodze i mnóstwa kurzu, po którym można poznać mieszkanie samotnego mężczyzny. Tymczasem podłoga, meble i okna dosłownie błyszcząły, wystrój był harmonijny i stylowy, a w powietrzu unosił się sztuczny zapach kwiatów, pochodzący zapewne z odświeżacza. Na widok zaskoczenia dziewczyny Varona poczuł się zobowiązany do wyjaśnień.

– Pewnie myślałaś, że mieszkam w koszu na brudną bieliznę. Otóż nie. Jestem leniem, który lubi porządek, co oczywiście nie szło w parze, póki z pomocą nie przyszły mi nowoczesne wynalazki. Teraz drobnomieszczanin, którego masz przed sobą, wydaje pół pensji na roboty sprzątające. Mam je wszystkie.

– Nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać.

– Ja siedzę w barze, a one pracują. Każdy z nas robi to, co umie najlepiej: one czyszczą mieszkanie, a ja brudzę szklanki. Nawiasem mówiąc, skąd wiedziałaś, gdzie mieszkam?

– Najpierw pojechałam do redakcji. Nie przyjaźnisz się zbyt z współpracownikami, co? Bo oprócz tego, że znają twoje nazwisko, niewiele o tobie wiedzą.

– Staram się, naprawdę się staram. Ale ilekroć ci kretyni się odezwą, zaczynam się zastanawiać, co się stało z selekcją naturalną. Po co niektórzy rodzice wciąż oklejają kanty stołów gumą, a szafkę z wybielaczem zamykają na klucz? To wbrew naturze. Uniemożliwia eliminację pewnego procenta idiotów.

– Potem byłam w Rozdrożu – kontynuowała Julia. – Tam dostałam twój adres. Podobno parę razy tak się naprułeś, że barman musiał cię zapakować do taksówki i wysłać do domu. Dzięki temu wiedział, gdzie mieszkasz.

– I ty pytasz, dlaczego tak lubię ten bar. Powiedz jednak, dlaczego tak pilnie chciałaś się ze mną zobaczyć.

– W ciągu ostatnich godzin wiele się wydarzyło.

Opowiedziała mu wszystko, czego się dowiedziała: o systemie manipulowania wyborcami, o którym poinformował jej ojca Virgilio Sanz, i o swojej rozmowie z Glorią de la Serna.

– Powiedziała, że się ze mną skontaktują – dokończyła.

– Kto?

– Ten cały Virgilio i inni.

– Jacy inni?

– Niedługo się dowiem. Najwyraźniej nie jesteśmy jedynymi, którym nie podoba się Ministerstwo Prawdy.

– Julio... – Varona nerwowo drapał się po głowie. – Ta sprawa śmierdzi. Śmierdzi z daleka. Lepiej odpuść, nie mieszaj się w to.

– Co ty opowiadasz? Teraz, kiedy jestem bliska odkrycia, co się dzieje w ministerstwie, i ujawnienia, kto odpowiada za śmierć mojego ojca, ty każesz mi odpuścić?

– Właśnie dlatego. Jeśli to oni zabili twojego ojca, są zdolni do wszystkiego. Gdy tylko się zorientują, ile wiesz, spuszczą psy. A zorientują się na pewno. Ministerstwo wie wszystko. Ja tylko mówię, że masz przed sobą całe życie. Nie warto iść na wojnę, która była wojną twojego ojca, a nie twoją. On już ją przegrał. Jeśli będziesz szła tą drogą, skończysz podobnie, a tego bym nie chciał.

– Wojną mojego ojca? To wojna nas wszystkich! Co ci się stało? Nie poznaję cię. Parę dni temu stawałeś na głowie, żeby przygotować reportaż, który pogrąży ministerstwo, a teraz mnie prosisz, żebym udawała ślepa. Żebym odpuściła. Żebym żyła w świecie radosnej ułudy jak wszystkie te posłuszne, zadowolone owieczki wokół. Ale wiesz, co ci powiem? Zamierzam doprowadzić tę sprawę do końca niezależnie od konsekwencji. I nie myśl, że robię to tylko dla ojca. Teraz, gdy już widzę sznurki wprowadzające nas w ruch, chcę wiedzieć, czyja ręka nimi porusza. Ale sama nie dam rady. Potrzebna mi twoja pomoc. Potrzebny mi ktoś, komu mogę zaufać.

Varona poczuł ucisk w żołądku. Musiał spuścić głowę. Nie potrafił spojrzeć Julii w oczy.

– Mogę na ciebie liczyć? – zapytała.

– Jasne. Przecież wiesz. – Ucisk stał się silniejszy i boleśniejszy.

– Świetnie. W takim razie pójdę już. Muszę czekać na wieści od Virgilia.

– Zanim pójdziesz, chcę ci coś dać.

Otworzył szufladę komody i coś z niej wyjął. Wrócił, ujął dłoń Julii i włożył do niej pęk kluczy.

– To klucze do tego domu. Daję ci je, bo wszystko może się zdarzyć. Jeśli będziesz potrzebowała spokojnego miejsca, by się ukryć, możesz tu przychodzić, kiedy chcesz.

Objęła go, ucałowała w policzek i szepnęła mu do ucha:

– Wszystko będzie dobrze. Tworzymy świetny zespół.

Gdy wyszła, począł do kuchni i po kolei włączył wszystkie roboty sprząające. Miał wrażenie, że brud jest wszędzie. Naciera, atakuje cały dom. I znowu ten nieznośny, wszechobecny smród. Nie mógł go znieść. Wszedł pod prysznic. Stojąc w strumieniu gorącej wody, szorował skórę, aż poczerwieniała. Do bólu. Ale zaraza wciąż wyczierała ze wszystkich jego porów. I nagle poczuł, jak łyzy – jedyna czysta rzecz, jaką miał w sobie – wychodzą z niego i przemieniają się w mydliny. Banalne mydliny.

Tęskniła za zwierzęcym rykiem silników spalinowych. Za poczuciem mocy czerpanym z naciskania pedału gazu, za rykiem bestii ukrytej pod maską, obudzonej przekręceniem kluczyka. Gloria de la Serna z konieczności przerzuciła się na bezgłośnie, bierne auta elektryczne. Mniej trujące, bardziej praktyczne, bardziej funkcjonalne... i tak dalej. Fajnie i ekologicznie, ale dla niej był to kolejny dowód, że wbrew temu, co myślała większość ludzi, rozwój technologiczny czynił rzeczy i sprzęty nudnymi. Miała wrażenie, że zamiast prawdziwego pojazdu prowadzi zabawkę. Podobne emocje wzbudzało wszystko wokół: społeczeństwo, życie, świat. Coraz bardziej dziecinne, powierzchowne, przewidywalne... i nieznośne.

Zatrzymała mercedesa przed wejściem do klubu i podała kluczyki parkingowemu. W drzwiach budynku, przy stylizowanym pulpicie, czekał

ukryty za szerokim i profesjonalnym uśmiechem *maître*.

– Miło cię widzieć, Alfredo.

– Nam też zawsze jest miło panią gościć.

– Chciałabym zjeść u was kolację, ale nie mam rezerwacji. Liczę, że coś dla mnie wyczarujesz.

– Jest wcześnie, więc z pewnością znajdziemy stolik – odparł mężczyzna, przeglądając listę rezerwacji.

Gloria tymczasem przyglądała się, jak słońce chowa się za horyzontem. Niebo spowijała ciemność niczym ogromna zamykająca się powieka zmęczona oglądaniem ludzkich nieszczęść i podłości i otwierająca drogę ciemności, w której wszystko jest dozwolone, ukryte przed taksującym okiem poranka.

– W miarę upływu lat zaczęłam gustować we wczesnych kolacjach. Kiedy cię pytają: „Co ostatnio porabiałeś?”, a ty możesz jedynie odpowiedzieć: „Chodziłem spać z kurami”, wiesz, że się starzejesz.

– Proszę tak nie mówić. Jest pani fantastyczną osobą.

– Dzięki za miłe słowa, mój drogi. Człowieka kulturalnego poznajemy po tym, że umie pochlebnie kłamać.

– Ależ ja nie...

– Och, nie psuj wszystkiego dodawaniem do tortu kolejnej warstwy. Kłamstwo działa tym lepiej, im jest prostsze i mniej wyszukane. Tajemnicze to wszystko, prawda? Dlaczego kłamstwa tak nas pociągają? Moim zdaniem są jak tytoń: wiemy, że jest zły, ale go lubimy.

– Jak pewnie pani wiadomo, teraz ludzie nie znoszą tytoniu.

– Nie wyobrażam sobie nikogo mniej interesującego niż osoba bez nałogów.

– Zawsze mam w pamięci zdanie, które kiedyś od pani usłyszałem: „Całe życie byłoby znacznie przyjemniejsze, gdyby każdy wypijał co najmniej dwa martini dziennie”. O, proszę, znalazłem idealny stolik. Jeśli będzie pani łaskawa pójść za mną...

W tym momencie Gloria de la Serna dostrzegła żebraka siedzącego na podłodze kilka metrów od wejścia.

– Zaczekaj chwilkę, Alfredo. Trzeba dopomóc potrzebującemu.

Podeszła do nędzarza świadoma, że kamery monitoringu – te uliczne i te klubowe – rejestrują każdy jej krok.

„Wciąż to robią – myślała. – Wciąż mi nie ufają. Wciąż jestem żoną największego wroga i zagrożeniem dla ministerstwa”.

Uśmiechnęła się z dumą, rozbawieniem i ze złośliwością.

– Weź. – Wrzuciła do kartonika złożony banknot dziesięcioeurowy. – Ale obiecaj, że nie wydasz tego na wino.

Mężczyzna zaśmiał się i kiwnął głową. Gdy odchodziła, upewnił się, że kamery podążają za nią, i dopiero wtedy rozwinął banknot. W środku znalazł kartkę. „Była u mnie dziewczyna. Niech Virgilio się z nią skontaktuje”.

Włożył papier do ust i zaczął go przeżuwać. Robił to tak długo, aż uzyskał możliwą do przełknięcia masę. Poruszając żuchwą, uniósł wzrok i skrzyżował spojrzenia z Głorią de la Serna. Nim weszła do wnętrza ekskluzywnego klubu, dał jej znak nieznacznym ruchem głowy. Odczekał chwilę, po czym wstał i zniknął w objęciach nocy.

29

Julia weszła do domu wyczerpana, ale szczęśliwa. Zrzuciła buty i zblazowanym gestem pozbyła się jednocześnie skórzanej kurtki i torby. Upewniła się, że jej telefon wciąż leży na regale wyłączony, obok wyjętej baterii. Potem padła na łóżko. Nie miała ochoty nic jeść. Wystarczało jej, że musi przetrwać wszystko, co się wydarzyło w tym emocjonującym dniu. Artykuły ojca, odkrycie postaci Virgilia, rozmowę z Glorią de la Serna, nietuzinkową kobietą, która przestrzegła ją przed niebezpiecznym typem o przydomku Poeta... Teraz musiała jedynie czekać, aż skontaktują się z nią przedstawiciele tajemniczego ruchu oporu. Tylko jak mieli to zrobić? Telefonu nie używała. Wątpiła też, by mieli tak po prostu zjawić się w jej domu. To byłoby zbyt oczywiste. Ci ludzie lepiej niż ktokolwiek rozumieli, jak funkcjonuje ministerstwo. Rozmyślała nad tym tak długo, aż w końcu, sama nie wiedząc kiedy, zapadła w sen.

Zbudził ją zgrzyt zawiasów. Ktoś otwierał drzwi wejściowe bloku.

Jej uwagę przykuło dziwne światło. Wstała z łóżka. Światło emitował leżący na regale telefon, obok którego wciąż spoczywała wyjęta bateria.

„Co, u licha? – pomyślała. – To jakieś czary!”

Potem usłyszała kroki na schodach i coś ją tknęło.

To nie sąsiad. To ktoś, kto po nią idzie. Jej umysł wydawał rozkazy, ale ciało odmawiało posłuszeństwa. Lepki wąż strachu oplatał je powoli, zamykając w lodowatych pierścieniach i wywołując paraliż. Przez szparę pod drzwiami przenikało z korytarza światło jarzeniówki. Kroki na

schodach zbliżały się powoli, lecz nieubłaganie. Nie wydawało się jej. Ktoś tam był.

Cała się trzęsła. Panika szarpała nią jak grzechotką.

Nagle kroki umilkły i ktoś przysłonił światło pod drzwiami. Najpierw czekał w bezruchu, a potem zaczął postukiwać palcami w drewno.

Julia uniosła stopę, jakby na nowo uczyła się chodzić, i zrobiła niepewny krok w tył. Po nim drugi. Musiała oddalić się od drzwi. Bezszelestnie wycofywała się w stronę swojego pokoju. Tymczasem stukanie narastało. Ten, kto stał na zewnątrz, najwyraźniej się niecierpliwił. Aż w końcu usłyszała głucho uderzenie. Nie miała wątpliwości – intruz próbował wyważyć drzwi. Pobiegła do pokoju i zrobiła jedyną rzecz, jaka jej pozostała: położyła się na łóżku i przykryła kołdrą niczym struś chowający głowę w piasek.

Nagle hałasy ucichły. Wsunęła głowę spod kołdry. Za drzwiami panowała cisza, jakby tajemnicza postać odeszła. Julia już miała wstać, ale usłyszała spod łóżka jakiś szmer. Pojedynczy szmer, który po chwili przeistoczył się w tupot mnóstwa maleńkich łapek biegających po całym pokoju niczym armia chochlików. Wyciągnęła rękę do włącznika światła.

Spod mebla wybiegały szczury. Dziesiątki szarych i czarnych gryzoni z niespokojnymi pyszczkami, czerwonymi ślepiami, bezwłosymi różowymi ogonkami i pazurkami drapiącymi drewno. Zaczęła krzyczeć. Rozdzierająco, jak może krzyczeć tylko ktoś, kto zaznał prawdziwego strachu. Zwabione wrzaskiem stworzenia próbowały się wspinać na łóżko, chwytając łapkami prześcieradło. Oszalała z trwogi Julia tupiała i uderzała w nie lampką nocną, a one piszczały w proteście. Musiały być głodne, bo coraz więcej z nich podejmowało wysiłki, by wspiąć się na łóżko.

Wstała, odbiła się od materaca jak od trampoliny, wylądowała przy szafie i natychmiast się w niej zamknęła. Przez chwilę czuła się bezpieczna

w ciemnościach, ale gdy tylko szczury ją wywęszyły, zaczęły się schodzić i drapać w drzwi. Potem próbowały je gryźć. Pogłos we wnętrzu mebla zwielokrotniał się przez dźwięk dziesiątków ząbków dziurawiących drewno. Julia wiedziała, że nie ma dużo czasu. Po omacku znalazła jakieś buty, włożyła je, owinęła się pierwszą z brzegu rzeczą zdjętą z wieszaka, zaczerpnęła tchu, policzyła do trzech, otworzyła drzwi i wybiegła, kopiąc po drodze wszystko, co ruszało się pod jej nogami.

Wypadła na klatkę schodową i spróbowała zatrzasnąć drzwi, ale coś je zablokowało. Coś, co piszczało i miotało się wściekle. Napięła mięśnie i pociągnęła mocniej. Za drugim razem się udało – piski umilkły, drzwi się zamknęły, a ona pognęła po schodach, pragnąc jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz i oddalić od tego miejsca. Pędziła na złamanie karku, nie oglądając się za siebie. Panika deptała jej po piętach, chłodne dłonie nocy głaskały twarz. A ona biegła. Tak rozpaczliwie, jak może biec tylko ktoś, kto wie, że nie ma na świecie miejsca, w którym mógłby się ukryć.

30

Ktoś zadzwonił do drzwi. Max otworzył i zrobił wielkie oczy. W progu stała Julia – spocona, ze zmierzwionymi włosami, tak zdyszana, że nie mogła wykrztusić słowa. Miała na sobie męską marynarkę i górskie buty w nie swoim rozmiarze. Ledwie go zobaczyła, rzuciła mu się na szyję, jakby ją uratował po tygodniach dryfowania na oceanie. Trzęsa się jak osika.

– Co się sta...?

Przywarła do niego wargami, uniemożliwiając wypowiedzenie kolejnych bezużytecznych słów. Nie chciała słyszeć pytań, wymówek ani rad. Chciała mniej myśleć, a więcej czuć. Pragnęła zapomnieć o wszystkim i o wszystkich. Pójść na całość, oddać się we władanie nieświadomości i pożądania. Tej nocy usta miały służyć wyłącznie do pocałunków, a dłonie – posługiwać się najstarszym językiem świata: językiem pieścizot, który nie zna kłamstw. Bo po tej nocy nie nastanie dzień; bo kiedy tylko się obejmą, Ziemia przestanie się kręcić.

Max pojął, że dziewczyna szuka w jego ramionach schronienia. Poprowadził ją do sypialni, po drodze nie szczędząc pocałunków. Potem były już tylko ubrania zostawione pod nogami łóżka jak balast albo rzucona skóra dwóch węży, dwa ciała przyciągane pragnieniem ku pierwszemu pieścizotom. Skóra lśniła od potu, kropelki połyskiwały wśród nocy niczym świetliki. Julia oddawała mu się w ofierze; jego pieścizoty były jak zaklęcia. Palce czytały opuszkami blizny jej duszy jak palce ślepeca, śledziły geografie ciała, mapę skóry. Usta przemierzały każdą

ścieżkę, każdą krzywiznę. Język przesuwiał się w dół powoli, bardzo powoli, szukając nowych, nieprzebytych dróg. Jęki Julii, ruchy jej ciała służyły mu za przewodnika. Ślina smakująca kwaśnym potem i pożądaniem parzyła skórę niczym łatwopalny płyn. Julia poczuła, jak rwie się jej oddech, a plecy wyginają w łuk. Dała się ponieść fali rozkoszy niszczącej po drodze wszystko: obowiązki, obietnice, odpowiedzialność, przyszłość, przeszłość, marzenia, ambicje... Wszystko to płonęło na wielkim stosie. Bo seks jest jak ogień – oczyszcza i niszczy. Czuła, jak odradza się z popiołów.

Słońce zakradało się przez okno niczym złodziej bielizny. Julia otworzyła oczy na światło poranka, które zrzuciło jej na barki cały ciężar rzeczywistości. Problemy szykowały ofensywę, a obowiązki ciągnęły za prześcieradło, żeby wstała. Tęskniła za nocą, kiedy pijana z pożądania wymknęła się całemu światu. Kiedy nie liczyło się nic oprócz rozkoszy. Kiedy ścisnęła w dłoniach niebo.

Obróciła się i zobaczyła twarz Maxa. Obserwował ją wsparty na łokciu.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiedziała i przeciągnęła się jak kotka. – Długo tak na mnie patrzysz?

– Całe życie.

„Cholera, co ja zrobiłam?”, pomyślała.

– Spiesz ci się? Możemy zjeść razem śniadanie.

Chętnie zabawiłaby się w zwykłą dziewczynę, która właśnie spędziła pierwszą noc ze swoim chłopakiem. Niestety rzeczywistość była inna. Wróciło wszystko: artykuły, Virgilio, szczury... i noc spędzona w łóżku z pracownikiem Ministerstwa Prawdy.

Julia wyskoczyła spod kołdry, jakby z materaca nagle wyrosły kolce.

– A ty dokąd? – zapytał Max.

– Muszę iść – odparła, ubierając się. – Słuchaj... Wczoraj byłam w strasznym stanie. Zdarzyły się... potworne rzeczy. Musiałam uciekać z domu i nie wiem, dlaczego nogi zaniósły mnie do ciebie.

– Moim zdaniem wiesz. Po prostu nie chcesz się do tego przyznać. Czego się boisz?

– Max, nie odgrywajmy sceny z telenoweli, dobra? Nie wiem, jakie wnioski wyciągnęłaś z ostatniej nocy, ale nie mam czasu ani ochoty się nad tym zastanawiać.

– A więc o to ci chodzi? Chcesz tu przychodzić i spać ze mną, ilekroć masz jakiś problem?

– Wielu mężczyzn byłoby zachwyconych propozycją seksu bez zobowiązań.

– Ale nie ja. Ja chcę mieć z tobą zobowiązania.

– Daj spokój. Nie teraz. Proszę.

– Wciąż mi nie ufasz? Nie do wiary! Po takiej nocy nadal myślisz, że próbuję cię szpiegować?

– Max, ja już sama nie wiem, w co wierzę, a w co przestałam wierzyć. Wczoraj ktoś wpuścił mi do mieszkania szczury.

– Czemu wcześniej mi tego nie powiedziałaś?

– Bo byłam zmęczona tym... tym wszystkim.

– I co zamierzasz teraz zrobić?

– Jeśli pożyczysz mi telefon, zadzwonię do likwidatora plag, żeby wykończył te przerażające stwory, zanim tam wrócę.

– Idę z tobą.

– Daj spokój, nie potrzebuję superbohatera, który przyjdzie mi na ratunek.

– Może to ja potrzebuję ratunku od szarego, nudnego żywota.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo tęsknię za jednym nudnym dniem.
- Daj mi minutę. Podwiozę cię.
- W porządku, ale najpierw muszę zadzwonić.

Kiedy schodzili po schodach, Max odruchowo ujął ją za rękę. Jego palce ścisnęły jej dłoń niczym szew ściągający ranę. Nie wypowiedzieli ani słowa. Tak było lepiej.

– Nawiasem mówiąc, nie powinieneś jechać do pracy? – zapytała, gdy stanęli przy samochodzie.

– Wysłałem szefowi wiadomość, że trochę się spóźnię.

– Nie narobię ci kłopotów? Jeśli masz przy sobie telefon, słyszeli wszystkie nasze rozmowy. Tym przecież zajmujecie się w ministerstwie, co? Obserwowaniem mnie. Kto wie, czy nie pracujesz w pokoju sto jeden.

Max stanął jak wryty i popatrzył na nią znad otwartych drzwi auta.

– A ty znowu o tym samym? Co mam zrobić, żebyś mi zaufała? Nie spotykam się z tobą po to, żeby cię szpiegować.

– Rozbij telefon. Teraz, na moich oczach. W ten sposób udowodnisz, że nie uważasz mnie za wariatkę.

– Mówisz poważnie? Wiesz, ile on kosztował?

– I ty pytasz, dlaczego ci nie ufam?

– Julio, poproś o cokolwiek, tylko nie o to.

– Max, oni mogą nas śledzić przez niego.

– Sam nie wierzę w to, co zaraz zrobię.

Uderzał telefonem o ziemię tak długo, aż go roztrzaskał. Potem spojrzeli na siebie, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. W końcu niemal jednocześnie wybuchnęli śmiechem. Na koniec wsiedli do samochodu.

– Wspominałaś o jakimś pokoju sto jeden. To ma związek z ministerstwem?

– Tak sądzę.

– Chcesz, żebym popytał kolegów? Może coś wiedzą.

– Chyba wystarczy mi to, co zrobiłeś z telefonem. Nie rób nic więcej, bo zaraz i tobie wpuszczą szczury.

– Daj spokój, mnie nie...

Położyła dłoń na jego udzie. Ich głosy złagodniały. Julia miała w oczach strach.

– Max, mówię serio. Nic nie rób. Nie masz pojęcia, do czego oni są zdolni. Mogą... Obiecuj mi, że nic nie zrobisz.

– Obiecuję – odparł zadowolony, że dziewczyna się o niego martwi. Że jest dla niej ważny.

Likwidator czekał naprzeciwko wejścia do bloku, oparty o furgonetkę z wymalowanym na masce wielkim szczurem. Julia aż się wzdrygnęła.

– Oto klucze. Pierwsze piętro. Uprzedzam, że jest ich dużo – ostrzegła mężczyznę, a ten przeszedł przez ulicę z wyraźną niechęcią kogoś, kto nienawidzi swojej roboty.

Julia i Max woleli zaczekać na dole.

– Nawiasem mówiąc, skąd miałaś mój adres?

– Nie jesteś jedyną osobą, która wyciąga informacje od Bei.

Likwidator wrócił po dziesięciu minutach z obrażoną miną.

– Szanowna pani, nie wiem, o co tu chodzi, ale nie lubię, gdy ktoś marnuje mój czas.

– Jak to? – zdumiała się, spoglądając z dezorientacją w stronę Maxa.

– W tym mieszkaniu nie ma żadnych szczurów ani śladu po nich. Żadnych zadrapań ani ekskrementów. Nic.

– Ale... to niemożliwe! Widziałam je! Wczoraj wieczorem były ich setki! Nie mogły zniknąć bez śladu!

Pobiegła do mieszkania. Mężczyźni ruszyli za nią. Bardzo powoli otworzyła drzwi, spodziewając się widoku odstręczającej szaro-czarnej hordy miotającej się histerycznie po podłodze. Nic takiego jednak się nie wydarzyło. W mieszkaniu panowała cisza. Julia otwierała drzwi coraz szerzej i wciąż nie widziała nic niepokojącego.

– Nie do wiary – mruknęła do siebie.

Zaraz po niej do mieszkania wszedł Max, rozglądając się ze zdziwieniem, a za nim – likwidator.

– Nic nie widać – powiedział.

– Mogły się ukryć.

– Już pani mówiłem, że tu nie ma szczurów.

Po kolei sprawdzali wszystkie pomieszczenia. Julia szła przodem, a Max i likwidator za nią – obaj z każdą chwilą coraz bardziej sceptyczni.

– Niemożliwe, żeby wszystkie uciekły – mruknęła do siebie. – Do licha, przecież sobie tego nie wymyśliłam! – dodała na widok ich min. – Widziałam je. Chodźmy do sypialni. Pokażę wam szafę ze śladami zębów i pazurów...

Ale szafa była nienaruszona. Żadnych oznak obecności zwierząt.

– To jakieś czary. Przecież je widziałam! Schowałam się w szafie i słyszałam, jak gryzą drewno.

– Może to był sen? – podsunął Max. – Niektóre sny wydają się bardzo rzeczywiste.

– Nie rób ze mnie wariatki! Oni tylko na to czekają. Chcą, żebym postradała zmysły, ale nie dam im tej satysfakcji.

– To ja uciekam – wtrącił likwidator. – Robota czeka.

Gdy Max mu płacił, Julia rzuciła się na podłogę i zaczęła gorączkowo szukać jakiegokolwiek dowodu obecności szczurów. Przesunęła palcami po

parkiecie pod łóżkiem. Nie wyczuła śladu zadrapań.

– Przecież tu były! Nie wymyśliłam ich sobie.

Desperacko szukała dalej, a Max podążał za nią po całym mieszkaniu.

– Daj już spokój. To się zdarza. Przeżyłaś ostatnio zbyt dużo stresu. Może powinnaś się skonsultować ze specjalistą.

Nie słuchała go.

– Drzwi wejściowe! Jeden się tam zaklinował.

Ale i na drzwiach nic nie było. Ani szczątków, ani krwi, ani żadnych innych śladów. Maxowi serce się krajało, gdy patrzył, jak Julia w rozpaczy czołga się po podłodze i przesuwa opuszkami po wszystkich powierzchniach niczym narkomanka, która upuściła ostatnią dawkę.

– Proszę, wstań. Musisz odpocząć. Tyle nieszczęść cię spotkało w tak krótkim czasie...

Ale w tym momencie jej palce w końcu coś wymacały – niewielkie wybrzuszenie we framudze, niemal przy samej podłodze.

– Wraz ze śmiercią ojca zawalił się twój świat...

Trudno było je zauważyć, bo drewno nawet nie popękało. Dlatego tamci to przeoczyli, gdy pucowali mieszkanie.

Julia wstała, odepchnęła Maxa i pobiegła do łazienki. Po chwili wróciła z pęsetą i znów przyklękła.

– Nie wiem, czy masz świadomość, jakie wrażenie teraz sprawiasz, czołgając się jak pomyłona. W ten sposób nic nie osiągniesz. Powinnaś...

Wtedy mu to pokazała.

– Kto teraz jest pomyłony? To był tylko sen, tak? Omamy spowodowane stresem?

Podetknęła mu pod nos pęsetę, w której coś tkwiło. Był to obrzydliwy, żółtawy ząbek szczura.

Odprowadziła Maxa do samochodu. Nie miała ochoty zostawać sama w domu. Zwłaszcza po tym, jak stało się jasne, że inwazja szczurów wydarzyła się naprawdę. Głupio jej było to przyznawać, ale wolałaby, żeby chłopak teraz jej nie opuszczał.

– Zamierzasz tu spać? – zapytał.

– Nie wiem. Muszę sobie wszystko przemyśleć.

– Wiesz, że możesz do mnie przyjechać, kiedy tylko chcesz.

– To chyba zły pomysł.

– Nie... Słuchaj... Chodzi mi tylko o...

– Już wiem, o co ci chodzi.

Nagle z ciemności wyłonił się jakiś facet.

– Czy ten pan znów panią zaczepia?

To był ten sam zwalisty obdartus co poprzednio. Max zrobił krok do tyłu.

– Tak, zaczepia mnie, ale ja to lubię – odparła Julia, obracając sytuację w żart.

Mężczyzna pokiwał głową i wrócił do przetrząsania kontenerów wypełnionych po brzegi książkami. „Czy dzisiaj jest czwartek?“, zastanawiała się, wiedząc, że tego dnia służby opróżniają kubły i wywożą książki do spalarni.

– No dobrze, to jadę – odezwał się Max. – Widzę, że masz ochronę. Zastanawiałaś się, jak będziemy się kontaktować, skoro żadne z nas nie ma już telefonu?

– Coś wymyślimy.

Cmoknął ją w usta i wsiadł do auta. Już miała wejść z powrotem do budynku, ale usłyszała za plecami głos bezdomnego.

– Czego to ludzie nie wyrzucają. Rozpacz bierze. Proszę spojrzeć na ten egzemplarz.

Z grzeczności spojrzała... I na widok trzymanej przez niego książki poczuła, że chodnik pod jej stopami zmienia się w ruchome piaski, które zaraz ją pochłoną.

– To może panią zaciekawić.

Było to stare wydanie *Eneidy*, najsłynniejszego dzieła Wergiliusza.

– Proszę. Niech to będzie prezent dla pani.

Ostrożnie chwyciła tom, nie przestając się bacznie wpatrywać w mężczyznę.

– Wergiliusz zawsze pomaga. Ma pani szczęście, ktoś podkreślił najciekawsze fragmenty.

– Zwróć na nie uwagę – powiedziała.

Zanim weszła do bloku, bezdomny odezwał się ponownie:

– To piękny dzień na czytanie na zewnątrz. Szkoda zamykać się w domu. Książki też lubią się przewietrzyć.

Usiadła w ogródku piwnym i poprosiła kelnera o pożyczenie długopisu. Potem pieczołowicie spisywała na serwetce podkreślone słowa i litery. Gdy skończyła, czuła się, jakby w miejscu serca miała uderzającą mocno pięść. Na serwetce widniała wiadomość od Virgilia: „Jutro. 19. Plac O-l-a-v-i-d-e”.

Jutro się z nim zobaczy! O siódmej wieczorem na placu Olavide. Przepelniona emocjami wstała gwałtownie, by poszukać telefonu publicznego. Musiała z kimś pogadać. Musiała zadzwonić do Varony.

– Niech Bóg błogosławi alkohol, który upiększa brzydotę świata! – wykrzykiwał Varona przy barze w Rozdrożu, podnosząc szklanekę w udawanych toastach.

Reszta klienteli nie patrzyła na niego. Ot, kolejny pijak, który próbuje zwrócić na siebie uwagę.

– Wesołka zmienia w nudziarza, nieśmiałego w chojraka, wlewa odwagę w serce...

Wbił wzrok w dno szklanki. Rum z colą wydał mu się mroczną, nęcącą otchłanią. Bo tak naprawdę kto tu kogo pochłaniał?

– ...tchórza – dokończył i wypił duszkiem zawartość.

Odstawił naczynie na kontuar z głośnym stukotem, który miał przywołać barmana.

– Ostatnia kolejka? – zapytał Chicho.

– Nigdy nie mów „ostatnia”. To przynosi pecha.

– Prawda, pismaku. Zawsze o tym zapominam – ukorzył się barman i poszedł przygotować drinka.

Gdy tylko postawił go przed Varoną, ten wypił jednym haustem pół szklanki. Szósta kolejka, a odwaga wciąż nie wstępowała w jego serce. Nadal nie mógł znieść spojrzenia faceta z lustra. Na ladzie, niczym kuszący diablík, leżał telefon otrzymany od człowieka z ministerstwa. Dawny Varona cisnąłby nim o podłogę i deptał tak długo, aż doszczętnie by go zniszczył. Obecny wiedział, że powinien tak postąpić, lecz zamiast tego pił kolejnego drinka i czekał na przypływ odwagi. Jak gdyby jego ciałem zawładnął ktoś inny – jakaś brudna istota, która uszkadzała mu narządy i psuła go od wewnątrz do tego stopnia, że czuł pod skórą zgniliznę. Zmieniała go w obrzydliwego człowieczka. W innego Varonę, z którym ten nie chciał mieć nic wspólnego. Którego nie mógł znieść. Coraz bardziej kusiła go perspektywa zatracenia się w ciemnościach kłębiących się na dnie szklanki. Nagle przypomniał sobie odwiedzinę Julii i młodzieńczy entuzjizm w jej głosie. Wszechogarniający entuzjizm kogoś, kto opowiada przyjacielowi o swoim odkryciu. Przyjacielowi...

Dopił drinka kolejnym łykiem i uniósł szkło w kierunku barmana.

– Alkohol nie jest wyjściem, pismaku.

– Jasne. Ale sprawia, że przestajesz się przejmować problemem.

Spojrzał na telefon. Za minutę siódma. Miał wrażenie, że przez jego żyły powoli przepływa gęsta smoła i barwi na czarno wszystko na swojej drodze. I to ten drugi, ten brudny typ rosnący w jego wnętrzu, wystukał numer. To on przemówił. To on wyśpiewał wszystko Poecie.

Szarzyzna. Ogromna, pożerająca wszystko, zajmująca całe pole widzenia szara plama. Tak wyglądało w oczach Maxa jego biuro. Wszechobecny, nieubłagany kleks pochłaniający każdy kolor. Wykładzina twarda i szorstka niczym broda bezdomnego; komputery, biurka i krzesła, farba na ścianach, nawet twarze tych, którzy pracowali tu od dłuższego czasu – wszystko nabrało szarego odcienia. Niektórzy jego towarzysze próbowali walczyć z tą monochromatyczną dyktaturą, ozdabiając biurka roślinkami, zdjęciami rodzinnymi czy kolorowymi rysunkami swoich dzieci, ale była to walka z wiatrakami – jakby groteskowe zielone pędy próbowały wyrastać pośród setek kilometrów asfaltu. Bezwartościowe, bezużyteczne i bezsensowne.

Wszyscy przyssali się do ekranów jak przyciągane przez światło muchy, które uderzają w szybę. Tak wyglądał Dział Detoksykacji Informacyjnej, DDI, należący do Krajowego Biura Ministerstwa Prawdy.

Tamtego dnia Max miał za zadanie zdementowanie fałszywej informacji, którą on i jego koledzy woleli nazywać z angielska hoaxem, bo brzmiało to bardziej profesjonalnie. Najnowszy hoax głosił, że w narodowej loterii nikt naprawdę nie wygrywa, a ona sama jest jednym wielkim oszustwem rządu w celu oskubania obywateli z pieniędzy. Wynajmowano nawet aktorów, żeby podawali się za zwycięzców i występowali w mediach, dzięki czemu przekręt mógł się utrzymywać nieodkryty przez tyle lat. Jedyne argument wicherzycieli stanowiło pytanie: „Znacie kogoś, kto wygrał na loterii?”. Proste i skuteczne, bo w zdecydowanej większości przypadków

odpowiedź brzmiała: „Nie”. Tego rodzaju kłamstwa demaskowało się łatwo, więc Max strasznie się nudził. Krajowa Komisja Loterii i Zakładów wydała już odpowiednie oświadczenie, a on przez cały ranek rozsyłał je po sieci i dołączał rozmowy z ostatnimi zwycięzcami świątecznej kumulacji, którzy zachęcali do obserwowania ich w mediach społecznościowych, żeby każdy mógł się przekonać, jak uśmiech losu odmienił ich życie.

– Idziemy do automatu z kawą. – Jeden z kumpli, Lobato, położył Maxowi rękę na ramieniu. – Idziesz z nami?

– Już myślałem, że nikt mnie nie uratuje.

Stali w kółku, z papierowymi kubkami w dłoniach niczym członkowie sekty oddający hołd metalowemu posągowi bożka kawy. Ich rozmowy były ulotne i nijakie jak bańki mydlane. Przeskakiwali z tematu na temat bez uzasadnienia – oglądany serial, nowy model telefonu, premiera gry wideo... Aż nagle Max zapytał:

– Słyszeliście o pokoju sto jeden?

Zaskoczeni koledzy spojrzeli po sobie.

– Nie. Powiesz coś więcej? – zapytał Lobato.

– Podobno to jakieś biuro działające w tym budynku.

Wzruszali ramionami jeszcze bardziej zadziwieni.

– Pierwsze słyszę – mruknęła Melisa.

– To musi być gdzieś na górnych piętrach. A tam, drogi kolego, tacy śmiertelnicy jak my wstępu nie mają.

W Ministerstwie Prawdy pracowników oznaczano kolorami w zależności od stanowiska i odpowiedzialności. Każdy musiał nosić w widocznym miejscu identyfikator ze zdjęciem i danymi osobowymi oznaczony barwą wskazującą na przynależność do odpowiedniej kategorii. Pracownicy niższego szczebla, tacy jak Max i jego towarzysze, nosili pomarańczowe; pracownicy średniego szczebla – zielone, wysocy

urzędnicy i politycy – niebieskie, a czarne – wyłącznie Doradca Generalny i jego zaufani ludzie. Co ciekawe, sam minister prawdy nosił plakietkę w kolorze niebieskim. Pracownicy mieli w budynku wyznaczone obszary. Pomarańczowi mogli się poruszać jedynie po dwóch pierwszych piętrach, na których znajdowały się biura obsługujące obywateli. Na pozostałe kondygnacje nie mieli wstępu. Po całym budynku mogli chodzić wyłącznie właściciele czarnych plakietek.

– Znacie kogoś zielonego lub niebieskiego, kogo mógłbym spytać o ten dział? – zagadnął Max. – Zdaje się, że Rivera ostatnio awansowała.

– Maica? Nie radzę, zachorowała na chorobę wysokościową. To typowa dolegliwość tych z góry. Tlen jest rozrzedzony, za mało go dociera do mózgu i zmieniają się w debili.

Już mieli wrócić do pokoju, gdy nagle ktoś chwycił Maxa za przedramię i zatrzymał.

– Na pańskim miejscu odpuściłabym sobie takie pytania.

Nie patrzyła mu w oczy – wydawała się zainteresowana wyłącznie automatem z kawą. Jej makijaż podkreślał urodę, która nie chciała minąć z upływem lat. Ubrana była w elegancki, drogi garnitur, a na piersi nosiła niebieską plakietkę.

– To chyba nic złego chcieć dowiedzieć się więcej o miejscu, w którym pracuję? – zapytał naiwnie.

– Zapewniam pana, że są rzeczy, których lepiej nie wiedzieć. Niewiedza to jeden z głównych składników szczęścia. A także jeden z najlepszych leków na uspokojenie.

– Nie zgadzam się. Im więcej wiemy...

– Jest pan tego pewien? – przerwała mu kobieta. – Chciałby pan wiedzieć, jak się żyje z amputowanymi rękami? A może jak się czuje człowiek, któremu celują w głowę z broni? Albo jak zawala się życie

kogoś, komu zamordowano całą rodzinę? Chce pan to wiedzieć? Nie, prawda? W takim razie niech pan przestanie pytać.

Na placu Olavide kłębił się tłum. Piątek zwracał wolność obywatelom uwiezionym na co dzień za kratami obowiązków, harmonogramów i zadań. W kawiarnianych ogródkach młodzież głośno świętowała krótkotrwały powrót swobody, a wykończeni urzędnicy luzowali zaciśnięte na szyjach pętle.

Julia spojrzała na zegarek. Za pięć siódma. Siedziała w bluzie z naciągniętym kapturem i w okularach przeciwsłonecznych. Wcześniej przez godzinę jeździła metrem, zmieniając linie i wygląd, by się wymknąć ewentualnym prześladowcom. Zakładała i zdejmowała okulary, kaptur, czapkę, upinała włosy, przekładała dwustronną kurtkę to na jedną, to na drugą stronę. W efekcie była niemal pewna, że nikt jej nie śledzi. Zrobiła rundkę po placu, rozglądając się w poszukiwaniu człowieka, z którym się umówiła. Ciekawe, jak mieli się odnaleźć w tym tłumie. Mijała pary pchające wózki z dziećmi, deskorolkarzy kręcących piruety w powietrzu, od czasu do czasu jakiegoś zmiatacza ulic czekającego na koniec swojej zmiany. I wtedy go zobaczyła. Na ławce, z siwymi włosami zbitymi w grudę niczym brudny śnieg, siedział bezdomny mężczyzna. Trzymał *Eneidę*.

Podeszła do niego ostrożnie, rozglądając się nerwowo na wszystkie strony.

– Jestem Julia. Dostałam wiadomość. Rozumiem, że mam przyjemność z Virgiliem.

Mężczyzna podniósł wzrok. Jego oczy były jak para psychopatów zamkniętych w szklanych celach. Przestraszyły ją. Wykrzywił wargi

w groteskowym uśmiechu przypominającym pękniętą piłkę, ukazując jeden poślizgnięty ząb przywodzący na myśl rozbitka, który zaraz zniknie w toni.

– Trzy cycki marimby syn tatki zabitego – wyrzucił z szybkością karabinu maszynowego.

To nie mógł być Virgilio. To jakiś bezdomny wariat.

Dopiero wtedy dostrzegła, że dzieje się coś dziwnego. Na placu zapanowała ogłuszająca cisza. Julia podniosła wzrok i przekonała się, że wszyscy ją obserwują. Młodzież, urzędnicy, pary, deskorolkarze, zamiatacze. Wszyscy obecni na placu Olavide wbili w nią spojrzenia i co więcej – krok po kroku zbliżali się do niej. Była jak ranne zwierzę, które poniewczasie się zorientowało, że wpadło w pułapkę. Kręciła się w kółko w poszukiwaniu drogi ucieczki, ale tłum zacieśniał się wokół niej... aż w końcu rzucił się na nią. Dziesiątki rąk przygwoździły ją do ziemi, przyciskając jej policzek do szorstkiego kamienia. W głowie huczały krzyki i rozkazy. Kazali jej leżeć, milczeć i się nie ruszać.

– Trzy cycki marimby syn tatki zabitego...

Obok niej leżał żebrak przyciśnięty do ziemi jak ona, choć w odróżnieniu od niej wydawał się nieświadomy tego, co się działo. Wciąż tylko powtarzał niczym mantrę te dziwne słowa, jakby liczył na to, że wybawią go od problemów.

– Trzy cycki marimby syn tatki zabitego...

Obok jego głowy zatrzymała się para błyszczących czarnych butów, ponad którymi widniały charakterystyczne niebieskie nogawki spodni od garnituru.

– To nie ten, którego szukamy. Puśćcie go.

Głos był miękki i straszny zarazem, jakby się wkładało rękę do klatki, by pogłaskać bestię.

– A z nią co robimy? – zapytał inny głos.

Właściciel czarnych butów przykucnął, by przybliżyć twarz do jej twarzy.

– Witaj, Julio. W końcu możemy się poznać – powiedział i dmuchnął jej w twarz dymem papierosowym. – Zabierzcie ją do baru. Zaraz tam przyjdę.

Lokal był pusty. Julia siedziała w boksie pilnowana przez groźnie wyglądających mężczyznę i kobietę. W oczekiwaniu na faceta w czarnych butach usiłowała z nimi rozmawiać, ale tylko warczeli i prychali. Nie miała wątpliwości, że są pracownikami ministerstwa.

– Nie umiecie mówić? Trudno. Na pewno macie inne talenty. Chodzi o to, żebyśmy się nie nudzili. Umiecie podawać łapę?

Mężczyzna zrobił krok w jej stronę, ale kobieta zgromiła go wzrokiem.

Drzwi baru się otworzyły i stanął w nich facet w czarnych butach. Ruchem głowy kazał swoim ludziom się ulotnić.

– No, no – powiedział, gdy zniknęli. – Nie mogłem się doczekać spotkania z tobą, droga Julio. – Wszedł na krzesło, by rozbroić czujnik dymu. – Z kim się umówiłaś tam, na zewnątrz? Na kogo czekałaś?

– Nie wiem, o czym pan mówi. Chciałam tylko pomóc temu biednemu człowiekowi, a cały plac dosłownie się na mnie rzucił. Jesteście z policji? Zostałam aresztowana? Bo jeśli nie, to...

– Opowiem ci coś o sobie. Ludzie kłamią. Kłamią bez przerwy. Dlatego nie zadaję pytań, jeśli nie znam odpowiedzi. Dzięki temu nie marnuję czasu. Dobrze znam Virgilia. To cwaniak. Od lat próbuję go przyskrzynić. Nie przyszedł na spotkanie, bo się domyślał, że cię śledzimy. Zamiast siebie podstawiał tego nieszczęśnika.

Mężczyzna włożył do ust cienkiego białego papierosa i wyjął z kieszeni pudełko zapalek. Fosforowa główka zapłonęła w jego palcach.

– Od dawna nie widziałam, żeby ktoś używał zapalek.

– Trudno do nich dotrzeć. Podobnie jak do twojego kumpla Virgilia. Ale ja zawsze znajduję to, czego szukam.

I wtedy po raz pierwszy wbił w nią wzrok. Wzrok, w którym mieszały się żądza i pogarda drapieżnika osaczającego ofiarę przed atakiem. Jakby dwa głodne wiertła wwierały się w ścianę. Julia bez cienia wątpliwości zrozumiała, że ma przed sobą Poetę.

– Igrasz z ogniem...

Mężczyzna rzucił zapaloną zapałkę na jej udo, jakby spluwał. Zdołała ugasić płomień, uderzając dłońmi o nogawkę.

– Co pan...?

– ...a to bardzo niebezpieczne...

Rzucił kolejną zapałkę. I kolejną. A potem jeszcze jedną. I tak bez przerwy.

– ...bo ogień nigdy się nie cofa...

Dziewczyna gorączkowo usiłowała zatrzymać inwazję płomieni, ale nie nadązała. Uda parzyły i czuła nieprzyjemny zapach palonych włosów.

– ...a oparzenia na skórze zostają na zawsze...

– Proszę przestać!

Nagle deszcz ognia ustał, a na obliczu Poety wykwitł buńczuczny uśmiech.

– A to pech. Zapałki mi się skończyły – oznajmił, miażdżąc w pięści pudełko. – Może się jeszcze spotkamy. Chciałbym ci wyrecytować jakiś wiersz. A teraz idź stąd, Julio. Uciekaj od ognia, mała ćmo, bo spalisz sobie skrzydełka.

Wstała i pospiesznie wyszła z lokalu, oglądając się za siebie z przerażeniem. Gdy tylko skręciła za róg, puściła się biegiem. Może

Varona miał rację. Może powinna dać sobie spokój. Może ta sprawa ją przerastała.

I wtedy jakieś postacie chwyciły ją za ramiona z taką siłą, że zaczęła lewitować. Nie przestała się przy tym posuwać naprzód.

O tej porze w Ministerstwie Prawdy nie powinno już przebywać wiele osób. Max był kłębkim nerwów. Niepokój kąsał go w pięty niczym wściekły pies. Chłopak robił dwa, trzy kroki i zawracał, zadając sobie pytanie, co tu w ogóle robi. Potem zaczynał spacer od nowa. I tak w kółko. Od niemal godziny kręcił się w okolicach wyjścia, patrząc, jak współpracownicy jeden po drugim wychodzą do domów. Zaczynał wątpić, czy osoba, na którą czekał, wciąż jest w budynku. Może skończyła pracę wcześniej niż on, może... I wtedy ją zobaczył. W eleganckim, gustownym garniturze, z naszyjnikiem z pereł przywodzącym na myśl konstelację umarłych planet. Obcasy rytmicznie stukały o posadzkę – tak chodzi tylko ktoś, kto doskonale zna swoją drogę. Na jego widok zatrzymała się i oparła dłoń na biodrze, jakby stawiała znak zapytania.

– Nie miałyby pani ochoty wyskoczyć ze mną na drinka?

Jej uśmiech wyglądał jak wycięty skalpelem.

– Jeśli jeszcze raz zwrócisz się do mnie per pani, skończymy tę rozmowę.

– Yyy... przepraszam...

– Jestem za stara, żeby wierzyć w strzałę Amora. A to jedyne racjonalne wytłumaczenie twojego zaproszenia. Bo inne byłoby skrajną głupotą sprowadzającą niebezpieczeństwo na nas oboje.

– Grozisz mi po raz kolejny tylko dlatego, że zapytałem o pokój sto jeden?

– To nie groźba, lecz rada. I to święta. Cokolwiek się zdarzy, powinieneś za nią podążać jak za Mesjaszem.

– Opowiedz mi o pokoju sto jeden. Tyle, ile możesz, nie więcej.

Westchnęła i ruszyła w dalszą drogę. Max podążył za nią.

– Nie chcę cię stawiać w niebezpiecznej sytuacji – naciskał. – Po prostu zapraszam cię na drinka. Jeśli nie zechcesz mi nic powiedzieć, zrozumiem.

Zatrzymała się i spojrzała mu w oczy.

– Nie masz o niczym pojęcia, prawda? Nawet sobie nie wyobrażasz, w co się pakujesz. Chcesz wejść do klatki z tygrysami, żeby się z nimi bawić. Ale tygrysy bawią się tylko między sobą. Ty jesteś dla nich posiłkiem. Cóż, już dawno żaden młodzieniec o niewinnym spojrzeniu nie zapraszał mnie na drinka. A okazje są jak młodość: kiedy odejdą, nigdy nie wracają. Rozczarujesz się jednak, bo nie zamierzam ci nic powiedzieć.

Półmrok lokalu skłaniał do intymności i fizycznego kontaktu. W tle rozbrzmiewał stary standard jazzowy, a na stoliku z niepokojącą regularnością pojawiały się kolejne szklanki. Max postanowił przerzucić się z ginu z tonikiem na piwo, zanim alkohol zrodzi w jego głowie nieodpowiednie myśli. Ona natomiast tankowała whisky, jakby koniecznie chciała wesprzeć gospodarkę Szkocji. Wyschnięta, samotna roślina, którą wreszcie ktoś postanowił podlać.

Nazywała się Brianda Zumaeta.

– Chłopiec o niewinnych oczętach się gniewa. – Z trudem wypowiadała słowa, jakby najpierw musiała przeżuć każde z nich. – Dlaczego jesteś zły, chłopcze o niewinnych oczętach? Dlatego że ta stara baba nie opowiada ci tego, co chcesz wiedzieć?

– Miałem nadzieję, że mi wyjaśnisz, dlaczego samo pytanie o pokój sto jeden jest tak niebezpieczne. Nie mogę tego pojąć.

– Robię to dla twojego dobra. Lepiej, żebyś myślał, że to miejsce nie istnieje. Wszyscy tak robimy. Nawet sobie nie wyobrażasz, co by nam zrobili, gdyby się dowiedzieli, że cokolwiek ci powiedziałam.

– Ale kto? Komu tak zależy na tym, żeby nikt nie wiedział, co tam się dzieje?

Brianda przyłożyła palec do ust. Potem zamknęła oczy i pozwoliła, by whisky zawładnęła jej ciałem i duszą niczym kochanek, który powrócił po długiej rozłące. Max nabierał coraz większej pewności, że zaproszenie jej tutaj było stratą czasu.

– Och, nie rób miny pieska z kalendarza. W porządku, coś ci powiem. Nie to, czego oczekujesz, ale jak się nie ma, co się lubi... W zamian chcę powtórzyć to spotkanie, ale tym razem bez niewygodnych pytań. Zgoda, chłopcze o niewinnym spojrzeniu?

– Zgoda.

– Pamiętasz słowa Lincolna o tym, że można oszukiwać wszystkich przez pewien czas, a niektórych przez cały czas, ale nie można oszukiwać wszystkich przez cały czas?

– Jasne.

– No więc wygląda na to, że teraz już można.

– Już można co?

– Oszukiwać wszystkich przez cały czas.

Julia ledwie dotykała stopami ziemi. Mijała jedną ulicę po drugiej, sama nie wiedząc jak. Podniosła wzrok. Dwaj bezdomni trzymali ją z obu stron i niemal nieśli.

– Musimy się spieszyć, szanowna pani, bo nie zdążymy – powiedział młodszy, cuchnący kwaśnym, nieświeżym potem.

– Dokąd mnie zabieracie? – zapytała.

– Niedługo się pani dowie.

Zbiegli po schodach prowadzących do metra, unosząc ją ze sobą. Ani myśleli kupować bilet. Przerzucili dziewczynę nad bramką, a potem sami przeskoczyli przez przeszkodę. Czujnik wykrył ruch i alarm zaczął wycie niczym ranna bestia, ale oni gnali dalej jakby nigdy nic.

– Nie musicie mnie nieść. Umiem chodzić.

– Nie mamy czasu. Metro zaraz przyjedzie.

Wpadli na peron dokładnie w momencie, w którym pociąg pojawiał się w czarnej dziurze tunelu. Pędzili dalej wzdłuż stacji, a gdy otworzyły się drzwi, wsiedli do ostatniego wagonu i posadzili Julię na jednym z foteli. Rozejrzała się zdumiona. W tym wagonie wszyscy wyglądali na bezdomnych!

– Wybacz, że musiałem cię tu sprowadzić w tak mało cywilizowany sposób. W dzisiejszych czasach kultura i dobre wychowanie są na wymarciu, jak wszystko, co nie daje się przeliczyć na pieniądze.

Słowa te wypowiedział mężczyzna siedzący w tym samym rzędzie co Julia, dwa siedzenia od niej. Miał już swoje lata, lecz jego ciało zachowało tężyznę fizyczną właściwą komuś, kto w młodości uprawiał sport. Ogorzała twarz zdradzała, że żyje pod gołym niebem, a siwizna na głowie wciąż nie dokończyła podboju rudych kosmyków wykwitających wśród bieli niczym płomienie wśród śniegu.

– Witaj w armii zepsutych zabawek. Przepraszam za ten brak taktu. Pozwól, że się przedstawię: Virgilio.

– Och, myślałam... ci ludzie na placu też sądzili, że umówiłam się z panem... i jeszcze ta książka...

– Spokojnie. Wiedzieliśmy, że ludzie z Ministerstwa Prawdy cię śledzą. Dlatego wysłaliśmy dublera. Wszystko poszło zgodnie z planem, a po

spektaklu, który tamci odstawili na placu, w życiu nie przyjdzie im do głowy, że sami połknęli przynętę.

Z każdym słowem jego dłonie poruszały się wolno i hipnotycznie niczym atrament rozchodzący się po wodzie.

– A co się stanie z człowiekiem z placu, którego zatrzymali?

– Nic. Aurelio świetnie umie grać rolę schizofrenika. Pewnie dlatego, że naprawdę nim jest.

Bezdomni wybuchnęli śmiechem, ukazując bezzębne usta, które przyprawiły Julię o gęsią skórkę.

– Pewnie chcesz mi zadać wiele pytań – kontynuował Virgilio. – Przekonajmy się, czy potrafię na wszystkie odpowiedzieć.

– Znał pan mojego ojca...

– Miałem ten przywilej. Był jednym z najodważniejszych i najuczciwszych ludzi, jakich dane mi było poznać.

– Myśli pan, że to było samobójstwo czy...

– Myślę, że znasz już odpowiedź. Zginął z rąk ministerstwa. Podobnie jak twoja matka, choć tamto było pomyłką, nieoczekiwaną, lecz korzystną dla nich.

Zakręciło jej się w głowie. Miała wrażenie, że Virgilio właśnie wbił jej nóż w serce. W głowie wirowało jej tornado splecione ze wszystkich związanych z matką wspomnień, jakie zachowała. Śmierć jest jak sito, które przepuszcza piasek wad i błędów, pozostawiając jedynie złoto zalet, w dodatku niekiedy fałszywe.

– Ale... ale moja mama zginęła w wypadku...

– Wywołanym przez ludzi z ministerstwa. Maleńkie urządzone spowodowało pęknięcie opony i wypadnięcie samochodu z drogi. W efekcie zginęła kobieta. Celem ataku był oczywiście twój ojciec. Nie przypuszczali, że tamtego dnia w aucie będzie ktoś jeszcze. Ale doskonale

odnaleźli się w sytuacji. Wiedzieli, że byłoby podejrzane, gdyby Gabriel Romero zginął kilka dni po żonie, więc postanowili wykorzystać jej śmierć jako ostrzeżenie dla niego, żeby przestał węszyć i dał sobie spokój z dziennikarstwem śledczym.

– Ale co jeszcze mu groziło? Sam pan powiedział, że nie mogli go zabić...

– Jego nie. Ale ciebie owszem.

Całe ciało Julii przeszył dreszcz, jakby ktoś przebił jej serce na wylot soplem lodu.

– Dlatego porzucił dziennikarstwo i zmienił się w szarego, przegranego człowieka. Żeby cię chronić. Żeby cię nie skrzywdzili. A gorycz takiego życia usiłował złagodzić słodkim znieczuleniem, które daje alkohol.

– Dlaczego nic mi nie powiedział? Pomogłabym mu.

– Im mniej wiedziałaś, tym bezpieczniejsza byłaś. Był gotów na wszystko, żeby tylko tobie nie spadł włos z głowy. Nawet na rezygnację z własnego ja.

– Jezu. A on słyszał ode mnie takie okropne rzeczy...

– Bolało go to, ale rozumiał, że to część poświęcenia. Jeśli jego córka miała żyć, musiał zgodzić się na to, by nim gardziła. Tak bardzo cię kochał. Wszyscy musieliśmy ponosić ofiary. Zdaje się, że miałaś okazję poznać moją żonę. Już nigdy z nią nie będę. Nie obudzę się u jej boku, nie szepnę jej do ucha, że ją kocham. Mogę co najwyżej obserwować ją z daleka. Ministerstwo to mściwy złodziej; zawsze zabiera to, co kochasz najbardziej. Tak jak w przypadku twoich rodziców.

Julia poczuła na plecach bicz furii.

– Dlaczego chciał pan ze mną rozmawiać?

– Rozejrzyj się. Co widzisz? Powiem ci: tłum lunatyków nieodrywających wzroku od ekranów, by nie wiedzieć, co się wokół nich

dzieje. Karmiących się rozrywką z telefonu, komputera, telewizora czy tabletu. Bezmózgie automaty, które myślą, że szczęście można kupić w supermarkecie; podążające jak osiołki za elektroniczną marchewką. Porzuciliśmy człowieczeństwo na rzecz konsumpcjonizmu, wymieniliśmy wolną wolę na najnowsze gadzety. Jesteśmy sterowalni i łatwowierni jak dzieci, którym nie pozwala się decydować o rzeczach ważnych. Posłuszne dzieci, którym trzeba mówić, co mają robić, co jeść, jak się ubierać, kiedy się odzywać, a kiedy zamknąć. A jeśli któreś nie słucha, wystarczy pogrozić mu palcem. Lęk przed utratą żalosnych dóbr materialnych zmienia nas w niewolników. Strach to najlepszy nauczyciel wszech czasów. I oni o tym wiedzieli: wykastrowali człowieka z wielkości, żeby interesowała go wyłącznie przeciętność. Mylimy dziś sukces ze szczęściem, a zdolności nabywcze z intelektualnymi. Doprowadzili do tego, że ten sam gatunek, który zbudował Partenon, namalował *Panny dworskie*, wyrzeźbił *Myśliciela* i napisał *Księgę niepokoju*, aspiruje co najwyżej do tego, by mieć stałą pracę. Szczęśliwi niewolnicy przytulający łańcuchy, uznający niewolę za przywilej. Nic już nas nie uwzniośla, nie porusza, nie emocjonuje. Chcemy tylko się bawić, zamiast stymulować aktywność mózgu jakimś tam myśleniem. I za całą tą degeneracją stoi Ministerstwo Prawdy, rządzące nami za pomocą zdobywczy techniki. Dzięki nim wszystko o nas wiedzą. Dostarczamy im wszelkich informacji o sobie w zamian za nową grę, nowy program, nową apkę... Ilekroć klikamy „akceptuję”, podpisujemy cyrograf. W całej swojej historii ludzkość nigdy nie była tak kontrolowana, tak uwarunkowana, tak zmanipulowana. Na dźwięk przychodzącej na komórkę wiadomości rzucamy wszystko, bo musimy natychmiast ją przeczytać. Jeśli nie potrafisz już odróżnić prawdy od kłamstwa, to znaczy, że kłamcy zwyciężyli. Żyjemy w świecie fikcji, w świecie papierowej wolności.

Ilekroć metro wjeżdżało na stację, bezdomni przyklejali twarze do szyb i wykrzywiali je groteskowo, by nikt nie ośmielił się wsiąść do ich wagonu. Dzięki temu Julia i Virgilio mogli spokojnie kontynuować rozmowę.

– Dlatego postanowiliście zostać bezdomnymi?

– Jeśli nie używasz zdobyczy techniki, oni nie mają nad tobą władzy. Poza tym, nie będąc konsumentem, nie masz wartości dla społeczeństwa. Stajesz się niewidzialny, niepotrzebny, bezużyteczny. I ci na górze o tobie zapominają. Dzięki temu wysliznęliśmy się z ich łap. W dzisiejszych czasach to jedyny sposób na to, by być wolnym. Jesteśmy właścicielami własnego czasu, zwolnionymi z ciągłego obowiązku osiągania sukcesu materialnego, równie fałszywego jak obietnice przygodnego kochanka. Uprawiamy kontemplację w stylu klasyków: czytamy wielkie dzieła wyrzucone na śmietnik, z upodobaniem dyskutujemy i rozmyślamy o wszystkim, co się wokół dzieje. Jesteśmy intelektualnymi dandysami odpornymi na małostkowość tych czasów. Obecne przesłanie nas nie dotyczy. Nie boimy się, że coś stracimy, bo nic nie mamy. Zdziwiłabyś się, ile osób porzuca wszystko, by odzyskać własne życie. Jesteśmy współczesną armią Diogenesa szukającą wśród fałszu i pozorów kogoś uczciwego. I sądzimy, że tym kimś jesteś ty. Potrzebujemy cię, Julio. Chcemy, byś dokończyła to, co rozpoczął twój ojciec.

– Ja? Ale co ja mogę zrobić?

– Twój ojciec jako jedyny odważył się opisać wszystko, co mu opowiedziałem. I wiele osób o tym nie zapomniało. Na przykład pewna dziennikarka. Wiesz, o kim mówię? Pracowała w tej samej gazecie, w której masz praktyki.

– Marta Alonso? Powiedzieli mi, że zmarła w wyniku zatrzymania akcji serca.

– Skłamáli. To ja ją poinformowałem, że w pokoju sto jeden Ministerstwa Prawdy dzieje się coś dziwnego. Ale nie mieszałem w to twojego ojca. Nie chciałem mu robić problemów. Powinienem był przewidzieć, że Marta znajdzie artykuły Gabriela i się z nim skontaktuje. Powiedział jej niewiele, ale dość, żeby nadal drażyła. I to był błąd, grzech pychy, zrozumiała po tylu latach chodzenia ze spuszczoną głową. Przychodzi ktoś i sprawia, że znów czujesz się ważny. Oboje zapłacili za to życiem.

– Pan wie, czym jest pokój sto jeden?

– Ja go stworzyłem. Twój ojciec opisał to w artykułach. Ale nie mam pojęcia, w co ewoluowało to miejsce. Przypuszczam, że manipulacja wyborcza im nie wystarczyła. Posunęli się dalej. Chcemy, żebyś to zbadła. Nazwisko Romero to klucz do wielu drzwi. Są osoby, które otworzą się tylko przed tobą, bo ufały twojemu ojcu.

– Ale co dokładnie mam zrobić?

– Krótko po publikacji artykułów Gabriela ówczesny minister prawdy niespodziewanie podał się do dymisji. Na jedynej konferencji prasowej, którą pozwolono mu zorganizować, dał do zrozumienia, że odchodzi ze stanowiska, bo w ministerstwie dzieją się rzeczy, które mu się nie podobają i przeszkadzają mu w pełnieniu obowiązków. Inaczej mówiąc, że już nie on tam rządzi. Po tym wystąpieniu rozpętano kampanię przeciwko niemu. Oskarżono go o oszustwa, przekupstwa, łapówkarstwo, a przede wszystkim o przywłaszczenie tajnych dokumentów. Po tym wszystkim facet zniknął, ale wiemy, że żyje. Najlepszym dowodem na to jest fakt, że ministerstwo przez tyle lat nie przestało go szukać. Nazywa się Daniel Consalvo. Co ważne, tym razem dysponujemy informacją, której oni mimo całego wsparcia technicznego nie mają. To może być nasza ostatnia szansa, żeby

zaszkodzić ministerstwu, żeby sprawić, że społeczeństwo w końcu pozna prawdę.

– Co to za informacja?

Virgilio przeniósł wzrok na jednego z bezdomnych – mężczyznę o wielkich oczach wizjonera i dłoniach dusiciela.

– To Moya. Pracował jako ochroniarz w hotelu Villamagna – wyjaśnił dziewczynie. – Pewnej nocy wezwano go do jednego z apartamentów. Zastał tam zapłakanego, przerażonego i nagiego ministra Consalvo. Na podłodze leżał równie nagi nieprzytomny mężczyzna. Minister nie wiedział, co robić. Chciał ratować kochanka, który najprawdopodobniej doznał ataku serca, ale wiedział, że jeśli rozpoznają go ratownicy, będzie skończony jako polityk. Wrogowie by go zniszczyli, gdyby wyszło na jaw, że jego małżeństwo i życie, które oficjalnie prowadził, to fikcja. Moya wezwał pogotowie, a potem przemycił ministra do garażu i odwiózł do domu. Ratownicy zdołali uratować życie Javiera Cano, bo tak nazywał się kochanek. Przypuszczamy, że pan Cano może wiedzieć, gdzie przebywa eksminister.

– Nie próbowaliście sami z nim porozmawiać?

– Bezdomność ma swoje zalety, ale ma i wady. Ludzie widzą jedynie brud i łachmany, a nie człowieka pod nimi. Kilkakrotnie próbowałem porozmawiać z Javierem Cano. Mówiłem, że znam Consalvo; że pracowałem z nim w ministerstwie. Zignorował mnie, tak jak to czynią wszyscy. Dlatego potrzebuję ciebie. Bo nazywasz się Romero, bo Consalvo znał też twojego ojca i ufał mu. Ale zanim odpowiesz, chcę ci coś dać.

Ostrożnie wyjął z kieszeni złożoną kartkę i podał jej. Ledwie ją rozwinęła, rozpoznała czcionkę ojcowskiej maszyny do pisania.

Julio, córeczko!

Choć serce mi pęka, nie mam innego wyjścia, jak tylko Cię opuścić – miejmy nadzieję, że na krótko, choć realizm każe mi przypuszczać coś przeciwnego. Nie chcę, żebyś się o mnie martwiła. Nic mi nie będzie. Mężczyzna, który da Ci ten list, ma na imię Virgilio. Możesz mu zaufać, to przyjaciel. Poprosiłem go, żeby się Tobą opiekował i pomagał Ci w razie potrzeby. Możliwe, że Ministerstwo Prawdy będzie Cię wypytywać, gdzie jestem i co robię. Współpracuj z nimi i mów prawdę – że nic nie wiesz. To jedyny sposób, żeby przestali Cię nachodzić i pozwolili Ci żyć dalej swoim życiem. Przepraszam, że sprawiam Ci tyle kłopotu, ale mam powody. Jedyne, co mogę powiedzieć, to żebyś nigdy nie wątpiła w swojego ojca i że wszystko, co zrobiłem, zrobiłem dla Twojego dobra. Nie wiem, jak długo będę musiał się ukrywać. Odkąd pierwszy raz trzymałem Cię w ramionach, zaraz po tym, jak się urodziłaś, część mojego serca zawsze należała do Ciebie. Ta część cały czas w Tobie bije. Kiedyś poznasz prawdę, a ja odzyskam Twoją miłość i znów będziesz ze mnie dumna.

Słowa zaczęły się rozplýwać w kapiących na kartkę łzach, jak gdyby tusz na powrót się skraplał, nie mogąc znieść zawartego w tych zdaniach bólu.

– Nie zdążyliśmy go uratować. Ludzie z ministerstwa byli szybsi. O właśnie, byłbym zapomniiał...

Virgilio zaczął przeszukiwać kieszenie swoich łachmanów.

– O, jest.

W rękach trzymał kieszonkowe wydanie *1984* George'a Orwella.

– Nadal będziemy cię obserwować, a ta książka to znak. Jeśli ci ją przyślemy albo zobaczysz ją u kogoś na ulicy, wiedz, że jesteś w niebezpieczeństwie. Cokolwiek będziesz wtedy robić, rzuć to i ukryj się w bezpiecznym miejscu. Tę metodę wymyśliłem wraz z twoim ojcem. Gabriel chciał zmieniać świat i prawie mu się to udało. Nie pozwól, by śmierć twoich rodziców poszła na marne. Nadchodzi czas zemsty.

Otarła łzy i pokiwała głową.

– Co mam zrobić?

CZĘŚĆ V



*Nie potrafią dostać się do twojej głowy [...]. Jeśli nadal czujesz, że warto być człowiekiem, choćbyś nawet nic już nie mógł dzięki temu osiągnąć, wygrasz. Pokonałeś ich_u**.

- George Orwell, 1984

_u G. Orwell, dz. cyt., s. 180.

Naciskała przycisk z rozpaczliwym uporem psychopaty dźgającego nożem swoją ofiarę, ale nikt się nie zgłaszał w domofonie. Minęła dwudziesta druga, a Maxa najwyraźniej nie było w domu. Julia pożałowała, że zmusiła go do zniszczenia komórki. Niemożność porozmawiania z nim w tej chwili doprowadzała ją do szaleństwa. Jak żyli ludzie, zanim wynaleziono telefony komórkowe? Musiała wyrzucić z siebie wszystkie emocje minionego dnia, ale nie miała pojęcia, gdzie szukać chłopaka.

– Gdzie on, do diabła, się podziewa?

Przez głowę przemykały jej czarne myśli. A jeśli coś mu się stało? Sama go prosiła, żeby dowiedział się czegoś o pokoju sto jeden, choć później go od tego odwodziła. „Max jest bardzo ostrożny – pocieszała się – nie wpakowałby się w kłopoty”. Na pewno został dłużej w pracy albo wyszedł gdzieś z kolegami.

Pomyślała, że wpada w paranoję. Trudno jednak się dziwić po tym wszystkim, co ją ostatnio spotkało.

Mogła jedynie usiąść w bramie i czekać, aż chłopak wróci do domu. Nie była w stanie zachować spokoju. Po wydarzeniach ostatnich godzin nawet nie rozważała powrotu do mieszkania, nawet jeśli likwidator się zarzekał, że nie ma tam ani jednego szczura. Poza tym nie chciała być sama. Nie tej nocy. Bardziej niż kiedykolwiek czuła do Bei wdzięczność za

podanie jej adresu Maxa bez zadawania niewygodnych pytań. Mimo swojej ekscentryczności dziewczyna okazała się prawdziwą przyjaciółką.

Nagle Julia przypomniała sobie o kluczach, które dał jej Varona. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła je, połyskujące niczym skrawki nadziei.

Po wejściu do mieszkania zastała dziennikarza leżącego na podłodze twarzą w dół. Obok niego stała na baczność butelka z resztką rumu na dnie. Julia niejednokrotnie bywała świadkiem takiej sceny z ojcem w roli głównej i doprowadzało ją to do furii, ale tego dnia na widok Varony w tym samym stanie poczuła przypływ czułości. Jej ojciec wyrzekł się wszystkiego, by ją chronić, a alkohol jako jedyny sprzymierzeniec pomagał mu to znieść.

Poszła do kuchni i nastawiła kawiarkę. Po powrocie do salonu zaczęła potrząsać ciałem dziennikarza – najpierw łagodnie, a wobec braku efektu z większą werwą.

– Wstawaj! Mam ci mnóstwo do opowiedzenia, więc trzeźwiej, i to szybko.

W końcu Varona oprzytomniał. Białą porcelanę jego oczu przecinały czerwone żyłki, a zdezorientowana mina wyglądała się w miarę kojarzenia faktów.

– Jeśli chcesz, możesz mnie porwać, przekłeta kosmitko, ale przestań już mną potrząsać. Która godzina?

– Prawie jedenasta. Chodź, pomogę ci wstać. Zaprowadzę cię pod prysznic, a potem wypijemy kawę. Już ją wstawiłam. Mam ci do przekazania ważne wieści.

Niedługo potem Varona siedział w kuchni w szlafroku z nadrukiem pewnego hotelu – przywiezionym z podróży, choć nie pamiętał już jakiej – i popijał parujący brązowy płyn.

– Mój ojciec przysysał się do butelki, żeby znieść pogardę własnej córki, której w rzeczywistości ratował życie – oznajmiła Julia.

– Tylko dżin potrafi się schować w butelce.

– A ty? Przed czym się chowasz?

Odwrócił wzrok i przytknął kubek do ust z wahaniem kogoś, kto zanurza stopę w basenie, by sprawdzić temperaturę wody.

– Piję, by przestać być sobą, przynajmniej na czas odurzenia. Coraz trudniej mi się żyje we własnej skórze. Nie znoszę osoby, którą się stałem. Alkohol przypomina mi, kim byłem i kim powinienem być. Ale nie bierz sobie do serca moich wywodów. Filozofowanie to jeden z etapów trzeźwienia. Opowiadaj.

Zanim zaczęła, zmusiła go do wyjęcia baterii z telefonu i włożenia jej do szuflady w pokoju najbardziej oddalonym od salonu. Potem odłączyła komputer od prądu i także pozbawiła go baterii. Telewizor nawet nie należał do tych inteligentnych modeli z wbudowaną kamerą, ale na wszelki wypadek i jego wyłączyła. Dopiero potem opowiedziała Varonie o wszystkim, co się wydarzyło tego dnia. O dziwnej zasadzce na placu Olavide, późniejszym porwaniu przez bezdomnych i wreszcie o rewelacjach, które usłyszała od Virgilia.

– I co teraz zrobisz? Nie, nie musisz mi mówić. Widzę to w twoich oczach. Wbrew temu, co podpowiadają rozum i ostrożność, posłuchasz wizjonera dowodzącego bandą żebraków.

– Już dawno przestałam słuchać rozumu. Poza tym Virgilio nie jest jakimś tam oszołomem. To inżynier, który pracował w Ministerstwie Prawdy.

– I postradał zmysły, bo spędzał zbyt wiele czasu pod gołym niebem, i gadając z kartonem po winie.

– Nie przywoływałabym w tej rozmowie tematu wina. Pomyśl: gdyby był jakimś tam bezdomnym z urojeniami wielkościami, ministerstwo nie zajęłoby całego placu, żeby go schwytać. Bo przypominam ci, że rzucili się na mnie dosłownie wszyscy.

– Ale czy ty nie widzisz, co on kombinuje? Na miłość boską, manipuluje tobą! Wykorzystuje śmierć twoich rodziców, żeby cię skłonić do podjęcia ryzyka. Nie rozumiesz tego? Przecież sam się zdradził. Kto rozmawiał z Martą Alonso?

– Virgilio.

– I co się z nią stało?

– Umarła.

– Zabili ją, Julio. Zabili. Tak samo jak twoich rodziców. I ty mi mówisz, że chcesz zrobić to, o co cię prosi ten szaleniec? Niech nadstawiają karku on i jego armia nędzników!

– A ja? Co ja mam zrobić? Żyć normalnie jak gdyby nigdy nic? Ministerstwo zrobiło ze mnie sierotę, a ja udaję, że mnie to nie obchodzi, bo wolę iść sobie na zakupy? Zamiast próbować coś zrobić, żeby winowajcy zapłacili za swoje czyny, twoim zdaniem mam wrzucać na Instagram zdjęcia kolacji? Do tego mnie zachęcasz?

– Zachęcam cię do pozostania przy życiu.

– Uważasz, że potrafiłabym żyć, siedząc z założonymi rękami po tym, jak zabito mi ojca? Ty byś potrafił?

Varona spuścił wzrok. Wiedział, co powinien odpowiedzieć, ale nie była to prawda. Kłamstwa są jak seks bez miłości: przyjemne, ale puste.

– Nie, ja też nie chciałbym żyć z takim ciężarem na barkach. Nawet bez niego z trudem daję radę...

Pogłaskała go po policzku.

– Aby być zwycięzcą, nie zawsze trzeba wygrywać. Dopóki się nie poddasz, nigdy nie będziesz się czuł pokonany. Dzięki za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Troskliwie uściskał jej dłoń i przypomniał sobie, kim kiedyś był. I kim chciałby być.

Słońce chowało się za woalem mgły niczym skrytobójca przerażony obrazem własnych czynów. Julia stała oparta o ścianę i zabijała czas liczeniem przemierzających poranne niebo dronów objuczonych paczkami, nie spuszczać wzroku z bramy, w której lada chwila mógł się pojawić Javier Cano, kochanek eksministra Consalvo. Virgilio przekazał jej wszystkie potrzebne informacje na jego temat. Bezdomni czasu mieli w bród, więc mogli obserwować, kogo tylko chcieli. Julia знаła więc jego domowy adres oraz adres agencji reklamowej, w której pracował, mieszczącej się dokładnie naprzeciw miejsca, w którym teraz stała. Wiedziała też, że Cano codziennie o jedenastej wychodzi z biura, by zjeść lunch w pobliskim barze. Wcześniej w kafejce internetowej wpisała w wyszukiwarkę jego nazwisko i obejrzała zdjęcia, więc rozpoznała go, gdy tylko stanął w drzwiach budynku. Wyglądał na kogoś, kto zdmuchnął pięćdziesiąt świeczek na torcie ładnych parę lat temu, ale absolutnie się do tego nie przyznaje. Szeroka kurtka z kapturem, młodzieżowa torba przerzucona przez ramię i sportowe buty, w których nigdy nie ćwiczy. Miejski Piotruś Pan nadążający za najnowszą modą. „Musi być niezłym palantem”, pomyślała Julia, podchodząc do niego z zeszytem i długopisem w dłoni.

– Dzień dobry. Javier Cano, agent reklamowy?

– Z kim mam przyjemność? – zapytał nieufnie mężczyzna.

– Nazywam się Julia Romero, jestem praktykantką w „Obserwatorze Cyfrowym”. Przygotowuję reportaż o świecie reklamy.

Otworzyła zeszyt i pokazała mu kartkę, na której napisano: „Muszę z panem porozmawiać o Danielu Consalvo”.

Na widok tych słów Javier Cano zrobił wielkie oczy i cofnął się o krok. Julia szybko nabazgrała w zeszycie kolejną wiadomość, nie przestając gadać:

– Chciałabym wiedzieć, jak wygląda proces od momentu powstania reklamy...

„Mój ojciec znał ministra. Mogą pana podsłuchiwać przez telefon. Proszę o kilka minut, to sprawa życia i śmierci”.

Niechętnie skinął głową i podjął grę Julii.

– Cieszę się, że pani gazeta interesuje się naszą pracą. Może porozmawiamy w tym barze? Będziemy tam mieć znacznie większy spokój.

Torbę z telefonem powiesił na wieszaku z dala od stołu, który zajęła Julia, i zamaszystymi krokami przemierzył lokal, by usiąść obok dziewczyny.

– Słuchaj, smarkulo, nie wiem, za kogo się uważasz ani co knujesz, ale wbij sobie do głowy, że nie mam ani nie miałem nic wspólnego z panem Consalvo.

– O ile wiem, byliście kochankami.

Zapadła niezręczna cisza.

– Rozmawiałaś z tym rudym wariatem, tak? Z Virgiliem i jego żebraczą świtą, w której mózgach groteskowe teorie gnieźdzą się jak pluskwy w starym materacu. Jesteś równie stuknięta jak oni.

– Proszę jedynie, żeby przekazał pan panu Consalvo wiadomość. Nic więcej. Muszę z nim porozmawiać i zobaczyć dokumenty, które wyniósł

z ministerstwa. Mogą zawierać informacje, które pomogą nam powstrzymać tych ludzi. Trzeba je za wszelką cenę ujawnić. Może on wie, czym się zajmuje pokój sto jeden. Wszyscy, którzy próbują ujawnić machlojki ministerstwa, giną w tajemniczych okolicznościach. Między innymi mój ojciec.

– Cóż, przykro mi, ale powtarzam: nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nie mam nic wspólnego z żadnym ministerstwem ani ministrem, więc daj mi spokój i idź ze swoją paranoją gdzie indziej. Możesz na przykład żebrnąć w metrze ze swoimi przyjaciółmi.

– Jeśli mi pan nie pomoże, anonimowy rozmówca zadzwoni do Ministerstwa Prawdy i poinformuje, że agent reklamowy Javier Cano miał romans z ministrem Consalvo.

Ci ludzie zawsze dokładnie sprawdzają takie tropy, więc z całą pewnością zadzwonią do pańskich drzwi.

Cano uśmiechnął się wyzywająco i wstał.

– Nie odważysz się. Zadzwoniłabyś do morderców swoich rodziców? Ściemniasz. Nie szczerz zębów, bo widzę, że to mleczaki. Poza tym już powiedziałem: jeśli chcą mnie przeświecić, proszę bardzo. Nie mam nic do ukrycia.

– Skoro nie ma pan nic wspólnego z ministrem Consalvo i jest pan czysty, to dlaczego zostawił pan telefon na drugim końcu baru?

Uśmiech zniknął niczym ninja po wyrzuceniu bomby dymnej.

– Nie chcę cię więcej widzieć, rozumiesz, suko? Jeśli jeszcze raz mnie zaczepisz, sam zadzwonię do ministerstwa.

34

Varona obserwował wskazówki zegara odcinające kawałki czasu niczym nożyczki i z każdą chwilą pozostawiające go coraz mniej. Szklanka rumu z colą pozwalała całować się w usta jak trzpiotka – już piąta, którą uwodził tej nocy.

– Co dziś świętujemy, pismaku? – zapytał barman.

– To, że żyjemy... i że zaraz nalejesz mi kolejną szklankę.

Uśmiech Chicha był niczym ściana, przez którą nie mógł się przebić zły humor. Varona znów spojrział na zegar ścienny: była za kwadrans siódma. Wyjął z kieszeni telefon i już miał wstukać numer, ale jego uwagę przykuła parka w średnim wieku, która właśnie weszła do lokalu z maleńkim, może rocznym dzieckiem w wózku. Maleństwo krzyczało i się śmiało, usiłując przyciągnąć uwagę rozgadanych rodziców. Ojciec podał mu telefon, by je czymś zabawić, a ono natychmiast ucichło pochłonięte czymś, co widziało na ekranie. Varona spojrział z odrazą na własny aparat i cisnął nim o podłogę z taką siłą, że ten rozpadł się na kawałki.

– Co się dzieje? – zapytał przestraszony Chicho.

– Życie staje się bardzo nudne, gdy zawsze robisz to, co trzeba, co wypada, co przynosi korzyść... Od czasu do czasu najzdrowsza rzecz, jaką możesz zrobić, to wysłać to wszystko do diabła – wyjaśnił Varona i mrugnął okiem.

– Jasne, pismaku. Normy są dla normalsów, a ani ty, ani ja nimi nie jesteśmy. Proszę, oto twoja szklanka.

– Ileż uroku mają w sobie te cztery słowa! „Proszę, oto twoja szklanka”.

Wreszcie poczuł się lekki. Szczęśliwy. Jak gdyby nagle wszystko wskoczyło na swoje miejsce, a problemy przestały być ważne. Rum smakował lepiej niż kiedykolwiek. „Upojenie wywołuje w nas stan bliski boskości – pomyślał Varona – i sprawia, że wszystkie przyziemne problemy i jałowe troski znikają”. Znów spojrzął na zegar. Kwadrans po siódmej. Raz jeszcze ucałował szklankę.

Gdy poczuł na ramieniu ciężką dłoń, nie przestraszył się. Wiedział, z kim ma do czynienia.

– Wnoszę, że twój telefon uległ wypadkowi – powiedział swym sardonicznym tonem Poeta.

– To nie był wypadek.

– Powinienem przez to rozumieć, że nie masz mi nic do powiedzenia o naszej wspólnej znajomej?

– Właśnie tak.

– Głupotę można zrozumieć u młodych. U kogoś w twoim wieku jest groteskowa.

– Wie pan co? Kiedy byłem mały, ojciec zabrał mnie do cyrku. W tamtych czasach dozwolone były jeszcze pokazy z udziałem tresowanych zwierząt. W pamięci utkwił mi szczególnie jeden, w którym człowiek w czerwonym fraku, z batem w dłoni zmuszał do tańca niedźwiedzia ubranego w różowe tutu i malutki kapelusik. Wszyscy wokół się śmiali, a ja wybuchnąłem płaczem. Nie mogłem znieść patrzenia, jak złamano duszę tego pięknego zwierzęcia, zastraszając je, a następnie upokarzając. Jeśli coś jest groteskowe, to właśnie to. W rytm uderzeń bata wykonywać każdy rozkaz, zapominając, kim się jest i w co się wierzy. Ale dość tego. Już się nie boję. Jestem wolny.

Poeta skinął powoli głową i kilkakrotnie poklepał Varonę po ramieniu.

– Pójdziemy, gdy będziesz gotów.

Odwrócił się tyłem do niego i ruszył do drzwi, recytując *Soneto crítico* Luisa Garcii Aresa.

*Smok wachlował ogonem to w prawo, to w lewo,
uderzał nim jak biczem, gwiazdy w pył zmieniając,
wygaszając firmament, blask ich za nic mając.*

Zostawił tylko gorycz i bezgwiazdne niebo.

Varona duszkiem opróżnił szklanekę.

– Niewielu rzeczy będzie mi brakowało tak jak picia.

– Nalać ci przedostatnią, pismaku?

– Tym razem ostatnią, przyjacielu. Tym razem ostatnią.

Javier Cano otworzył drzwi swego domu. Przywitała go cisza. Jak co dzień. Mieszkał w dzielnicy Viso, w odziedziczonej po rodzicach willi: dużej, dwupiętrowej, zimnej i głuchej jak wielki pusty kufer. Dobrze, że wkrótce nadejdzie noc i zamknie mu oczy. Aksamitna ciemność, w której nic nie widać i nic nie jest ważne. Strażniczka sekretów, w której prawdziwe jest tylko to, czego dotykamy.

Machinalnie powiesił torbę i kurtkę na wieszaku, poszedł na górę, rozebrał się i wziął prysznic. Przez chwilę zabijał czas, oglądając w telewizji odcinek nowego, niezbyt przekonującego serialu wyświetlanego od zeszłego tygodnia. Potem zrobił kolację, przykrył pokrywką talerz z nienaruszonym jedzeniem i postawił wraz z tacką na komodzie w korytarzu, bo tylko tam nie było żadnych urządzeń elektronicznych. Wszedł na górę, podłączył telefon do ładowarki w łazience, z dała od sypialni, położył się w łóżku i zgasił światło. Wszystko pożarła wielka paszcza ciemności. Teraz musiał tylko czekać.

Godzinę później jego uszu dobiegł znajomy dźwięk, cichutki jak trzepot motyli skrzydeł. Zaczekał, aż odgłos umilknie, po czym wstał i zszedł po schodach. Nie powinni chodzić po domu jednocześnie. Dźwięk kroków dwóch osób mógłby uruchomić alarm i napytać im biedy. Bo tamci podsłuchiwali swoimi elektronicznymi uszami, obserwowali metalowymi oczami. Był tego pewien i wiedział, że tak już będzie zawsze.

Z wyciągniętymi przed siebie rękami brnął przez korytarz, aż wymacał znajomy kształt. Geologię ukochanej twarzy, upragnionego ciała. Nadzieję, której mógł się uchwycić pośrodku nicości. Przywitali się pocałunkiem i zastygli przytuleni w ciemnościach, jakby ścisnęła ich jakaś wielka pięść. Stali i szeptali sobie miłosne wyznania, uzdrawiające i bolesne niczym alkohol, którym przemywa się ranę.

– Zaczepiła mnie dziś jakaś dziewczyna – szepnął Javier. – Pytała, czy wiem, gdzie jesteś.

– Przedstawiła się? – zapytał były minister prawdy Daniel Consalvo.

– Mówiła, że jest córką jakiegoś Gabriela Romero, którego rzekomo znałeś.

– Owszem. To był dobry człowiek.

– Jestem pewien, że przysłał ją ten wariat Virgilio. Idiota, któremu się wydaje, że może wygrać z ministerstwem. Nie martw się, nie będzie próbowała ponownie. Byłem bardzo stanowczy.

– Zazdroszczę Virgiliowi, wiesz? On przynajmniej próbuje coś zrobić. A my... tylko się chowamy jak szczury przerażone widokiem nadlatujących orłów. Nie możemy tak dalej. To nie jest życie.

– A co twoim zdaniem mamy zrobić? Ministerstwo wciąż cię szuka. Wiesz, co zrobią nam obu, jeśli cię schwytają.

– Wiem to lepiej niż ktokolwiek. Ale jak długo można tak trwać? Zadowalać się okruszkami, żyć na pół gwizdka? Nie wiem, czy w ogóle

warto...

- To nie potrwa wiecznie. Kiedyś sytuacja się zmieni.
- Niby jak? A przede wszystkim kiedy?
- Nie mamy innego wyjścia, jak tylko czekać.
- Owszem, mamy. Jeśli chcesz zburzyć mur, nie wystarczy siedzieć i czekać. Trzeba go wysadzić.

35

Wydmuchiwali gigantyczne widma z dymu, jakby ich ciała nie zawierały nic oprócz niego. Puste istoty z pogardą wyrzucające z siebie nikotynowe dusze. Wielki Brat siedział za swoim biurkiem i obracał w palcach cygaro, a Poeta ścisnął końcówkę papierosa palcem wskazującym i kciukiem.

– Zginął kolejny dziennikarz. Niejaki Varona.

– Kolejny pijak. Wszyscy wiedzą, że wypadkom najczęściej ulegają pijani.

– Udało ci się coś z niego wycisnąć? – zapytał od niechcienia Wielki Brat.

– Nie. Myśleliśmy, że wytrzyma dłużej, ale raz-dwa się przekręcił.

– Marta Alonso, Gabriel Romero i Alfredo Varona. W krótkim czasie umiera nagle troje dziennikarzy. Ktoś mógłby coś podejrzewać.

– Zgon z przyczyn naturalnych, samobójstwo i wypadek. Taka będzie nasza odpowiedź.

Ilekcio wciągali w płuca dym, koniuszki papierosów stawały się czerwone jak oczy diabła. Szare duszyczki krążyły wokół nich, rozpływały się, chciały zostać wchłonięte z powrotem, nim ostatecznie znikną.

– Rozumiem, że wraz ze śmiercią Varony straciliśmy dziewczynę. Nie wiemy, gdzie jest ani co robi.

– Podejrzewamy, że w końcu udało jej spotkać się z Virgilem.

– Powinniśmy byli ją powstrzymać. To był błąd. A w Ministerstwie Prawdy nie ma miejsca na błędy ani na tych, którzy je popełniają.

– Swego czasu sam ostrzegałem, żebyśmy nie polegali tak bardzo na zdobyczach techniki. Kiedy obserwowana nas przejrzała, przestała używać wszelkich urządzeń. Od początku należało postawić na czynnik ludzki. Ale nikt mnie nie słuchał.

– Czynnikiem ludzkim był Varona, którego zlikwidowałeś. Nie mam innego wyjścia, jak tylko zaangażować się w sprawę osobiście. Na szczęście ciągle pamiętam z autopsji, jakich sposobów używają agenci.

– Myślisz, że on pomoże nam ją zwabić?

– Ba! Gość praktycznie je mi z ręki.

Zza olśniewających i przerażających uśmiechów wymknęły się dwa kolejne obłoki dymu.

36

Max bawił się w balansowanie długopisem między górną wargą a nosem – takie coś może przyjść komuś do głowy tylko wtedy, gdy powinien pracować. Nagle zadzwonił leżący na biurku telefon i długopis spadł na podłogę.

– Słucham?

– Jaki profesjonalny ton przybierasz, gdy jesteś w biurze!

– Julia! Skąd wzięłaś ten numer?

– Mam swoje sposoby. Zadzwoniłam na centralę Ministerstwa Prawdy i powiedziałam, że muszę porozmawiać ze swoim narzeczonym Maxem. Wiem, że to brzmi staroświecko, ale zadziałało. Wytłumaczyłam, że jesteś bardzo dyskretny, więc nie wiem dokładnie, w jakim dziale pracujesz, wiem tylko, że zajmujesz się dementowaniem fake newsów. Wiedziałeś, że jesteś jedynym Maxem w Dziale Detoksykacji Informacyjnej?

– Dla oszczędzenia czasu nazywamy go DDI. Chwila... Powiedziałeś, że jesteś moją narzeczoną?

– Brzmi fatalnie, wiem. Chciałam tylko, żeby mnie połączyli. Przeszkadza ci to?

– Przeciwnie, jestem zachwycony. Czasem opłaca się wrócić do klasyki. Okazuje się, że brak komórki potrafi być zabawny. W takim razie mogę wszystkim powiedzieć, że mam narzeczoną?

– W centrali Ministerstwa Prawdy są już tego pewni. Ale będzie lepiej, jeśli spotkamy się po twojej pracy, by kontynuować tę semantyczną

dyskusję. Mam ci wiele do opowiedzenia, tyle że nie przez telefon, a w szczególności nie przez ten. Mogę tylko zasugerować, że powoli znajduję to, czego szukałam.

– Ja też mam wieści. Jeśli chodzi o problem zer i jedynek, który cię nurtował... wygląda na to, że miałaś rację.

„Zer i jedynek? O czym on, u diabła, gada?”, zachodziła w głowę. I nagle ją olśniło: chodziło o pokój sto jeden.

– Nie rób nic więcej w tej sprawie, rozumiano? Nie chcę, żebyś i ty się w to mieszał. O której wychodzisz?

– Jeśli nic się nie wydarzy, to o piątej.

– Spotkajmy się u Varony, mojego kolegi z pracy, którego poznałeś w domu pogrzebowym. Jego adres znajdziesz w waszej bazie danych. Praca w twoim dziale ma swoje zalety.

– A dlaczego nie u ciebie?

– Jeszcze tam nie wróciłam. Boję się.

– Mieszkasz u kolegi z redakcji? – zapytał z nieukrywanym niezadowoleniem.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że stałeś się zazdrosny? Nasze narzeczeństwo szybko uderzyło ci do głowy – zażartowała Julia.

– Nie... – Oczywiście, że tak było. – Po prostu zamiast u niego mogłaś zamieszkać u mnie.

– Posłuchaj, panie urzędniku Ministerstwa Prawdy. Jeśli chodzę do Varony, to po to, żeby spać, co raczej nie byłoby możliwe u ciebie. Rozumiesz? A teraz dementuj fake newsy i myśl o swojej „narzeczonej”.

– O swojej... A więc jesteśmy...?

Ale na drugim końcu linii już nikogo nie było.

W miarę wędrówki windy ku górze zmieniały się numery pięter: trzecie, czwarte... W kabinie znajdowali się dwaj mężczyźni i dwie kobiety. Jednym z mężczyzn był Max. Im wyżej wznosiła się kabina, tym bardziej kręciło mu się w głowie z nerwów. Piętro piąte, szóste... Wszyscy pasażerowie mieli przypięte w widocznym miejscu niebieskie plakietki dające dostęp do wyższych kondygnacji budynku Ministerstwa Prawdy. Nietrudno było je podrobić. Musiał tylko zeskanować własną, zmienić kolor za pomocą aplikacji do obróbki zdjęć, wydrukować, przykleić zdjęcie, zalaminować i gotowe. Piętro siódme, ósme... Problem pojawi się po wyjściu z windy, gdy trzeba będzie przejść przez bramkę. Max liczył, że uda mu się to zrobić w większej grupie.

Gdy otworzyły się metalowe drzwi, wysiadł pierwszy. Miał nieprzyjemne wrażenie, że pocałował mu się ręce, i wciąż je wycierał. „Nie mogą zauważyć wahania – powtarzał sobie. – Idź pewnie, a będą myśleli, że tu pracujesz”.

Dotarł do bramki, przyłożył kartę do czytnika i zgodnie z przewidywaniami usłyszał nieprzyjemne brzęknięcie oznaczające odmowę przejścia.

– Znowu błąd! Te karty wciąż się psują! Też tak masz? – zapytał stojącą za nim kobietę.

– Zdarza się. Pogadaj z ochroniarzami, to ci ją wymienią.

– Dzięki. Tak zrobię. Mógłbym przejść razem z tobą? Mam nawał pracy.

– Z którego działu jesteś? – zapytała nieufnie.

Stała z plakietką w ręku i nie zamierzała odblokować bramki, póki Max nie odpowie.

– Mam spotkanie z Briandą Zumaetą. Już jestem spóźniony.

– Nie kojarzę jej, ale w końcu jest nas tu tyle...

Uśmiechnęła się i przyłożyła kartę do czytnika. Długi dźwięk oznajmił, że blokada została zwolniona.

Ściany obito wykładziną niczym wewnątrz trumny. Max zdecydowanym krokiem przemierzał korytarze w poszukiwaniu biura Briandy. Był przekonany, że na jego widok kobieta wpadnie w szal, ale musiał dowiedzieć się więcej o pokoju sto jeden. Dla Julii, cokolwiek ona sama o tym myślała. Ale też dla siebie. Chciał wiedzieć, dla kogo naprawdę pracuje. W głębi duszy wciąż żywił resztkę nadziei, że to wszystko się wyjaśni, że okaże się nieporozumieniem. Choć im więcej się dowiadywał o tajemniczym miejscu z numerem sto jeden, tym bardziej topniała owa nadzieja.

Nie znalazł nazwiska Briandy Zumaety na żadnych drzwiach, więc postanowił zapytać o nią pierwszą napotkaną osobę – jednego z tych szarych urzędników, którzy zawsze zaludniają ministerstwa niczym pasożyty żyjące w cieniu wielkiej bestii.

- Przepraszam, gdzie mogę znaleźć Briandę?
- Kogo? – zapytał zdziwiony pasożyt.
- Briandę Zumaetę. Pracuje na tym piętrze.
- Nic mi to nie mówi.
- Szukasz Briandy? – wtrącił przechodzący obok facet.

Na jego widok pasożyt natychmiast umknął, zlewając się w jedno z wystrojem korytarza.

- Zaprowadzę cię do niej. Chodź.

Mężczyzna miał na sobie klasyczny niebieski garnitur – nieoficjalny mundurek ministerstwa. Na urzędnika jednak nie wyglądał. Jego powolne, wyszukane gesty, wyzywające spojrzenie, a nawet rytm kroków nie przypominały zachowania tych szarych ludzików.

– Jeśli jest zajęta, przyjdę kiedy indziej – wykręcał się przestraszony Max.

– Przeciwnie. Nie znajdziesz lepszego momentu, żeby się z nią spotkać.

Nieznajomy poprowadził go do windy i zawiózł na dziesiąte piętro, dostępne jedynie dla osób z czarnymi identyfikatorami. Bez słowa zatrzymał się przed jedynymi drzwiami, które wyróżniały się barwą. Pozostałe były niebieskie, te – czerwone.

– Wejź pierwszy. Pani Zumaeta z pewnością ucieszy się na twój widok.

Uchylił lekko drzwi i puścił Maxa przodem. Przed nim w ogromnym pomieszczeniu siedziała Brianda. Na jego widok wyszczerzyła zęby w czymś, co mogło być uśmiechem lub groźbą.

– No, no, kogo my tu mamy...

Mężczyzna w niebieskim garniturze zamknął drzwi. Zaraz potem zapalił papierosa, bawiąc się trzymanym w ręku nożem motylkowym. Maxa ogarnął niepokój.

– Nie stój tak, usiądź – zachęciła kobieta. – Niech zgadnę: przyszedłeś, bo chcesz się dowiedzieć więcej o pokoju sto jeden? Pewnie pomyślałeś: „Mam już starą w garści. Zrobi wszystko, o co ją poproszę”. Prawda?

Facet za plecami Maxa parsknął śmiechem, jakby te słowa niesamowicie go rozbawiły.

– Wiesz, dlaczego tu przyszedłeś? – ciągnęła Brianda. – Powiem ci: jesteś jak dziecko, które nie potrafi się oprzeć ciekawości i rozbiera zabawkę, żeby sprawdzić, jak działa, a w środku znajduje tylko mnóstwo nieciekawych śrubek, trybików i kabelków. Tyle że wtedy jest już za późno. Zabawka została zdemontowana na zawsze. To właśnie chcielibyście zrobić z ministerstwem. Ty i twoja przyjaciółka Julia. Odkryć, co ma w środku, i przy okazji zniszczyć coś, co działa.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego...

Kobieta przytknęła palec do ust.

– Ciii... Nie przypominam sobie, żebym pozwoliła ci mówić. Nie należę do osób, które wzruszają się na widok naiwności. Moim zdaniem łatwowierność to po prostu inne określenie głupoty. Bo myśląc, że zdołasz mnie uwieść dzięki młodości i przewracaniu oczami, pokazałeś jedynie, jakim jesteś durniem. Przychodząc tu z fałszywym identyfikatorem i chorą ciekawością, zdradziłeś ministerstwo. Zdradziłeś swoich. Wiesz, jak się nazywa taka osoba? Robak. Jesteś wstrętnym, obrzydliwym robakiem. A wiesz, do czego służą robaki? Powiem ci: są dobrą przynętą.

37

Po rozmowie z Maxem Julia postanowiła iść do redakcji, by opowiedzieć Varonie o swoim spotkaniu z kochankiem eksministra. Nie miała wątpliwości, że mężczyzna kłamie. Może zwyczajnie chciał utrzymać w tajemnicy charakter swojej relacji z Consalvo, ale mogło chodzić o coś więcej. Może jednak znał miejsce pobytu tamtego. Jeśli tak, była gotowa na wszystko, by je z niego wydobyć.

Weszła do redakcji i ruszyła prosto do biurka Varony, ale go przy nim nie zastała. Dziwne. Nawet jak na niego pora była zbyt wczesna, żeby popijać w Rozdrożu pierwszą szklaneczkę.

– Nie wiecie, gdzie jest Varona? – zapytała jego gładkoliczych towarzyszy.

W milczeniu wbili w nią spojrzenia, po czym zaczęli patrzeć po sobie w poszukiwaniu kogoś, kto odważy się odpowiedzieć. W końcu jeden z nich przerwał ciszę:

– To nie wiesz? Varona nie żyje. Wczoraj wieczorem przejechała go śmieciarka. Policja przypuszcza, że był pijany.

Miała wrażenie, że wielka pięść spadła z nieba i uderzyła ją prosto w serce.

– Nie, tylko nie on... To niemożliwe... Znowu...

Oszołomiona ruszyła w stronę gabinetu Sancheza-Bravo. Naczelnny wbił w nią spojrzenie ostre niczym harpun. Przy ustach trzymał telefon, a drugą rękę opierał o szklaną ścianę. Wyglądał jak wielki pająk przyglądający się

musze, która wpadła w jego sieć. Julia zaczęła się wycofywać małymi krokami, ale on wyskoczył ze swego boksu i ruszył za nią.

– Przyszła – powiedział do kogoś po drugiej stronie linii telefonicznej.

Nim zdążyła ruszyć biegiem, naczelnny chwycił ją za przedramię.

– Już wiesz o Varonie? Co za nieszczęście. Na pewno bardzo to przeżywasz. Może wpadniesz do mnie na kawę?

– Naprawdę nie mogę... Mam ważne spotkanie...

– Ważniejsze niż wspomnianie przyjaciela? – Jego dłoń ścisnęła jej ramię jak żelazne sidła.

– Niech pan mnie nie dotyka! Ma pan krew na rękach! Ponosi pan taką samą winę jak ministerstwo!

– Varona był nędznym frajerem, podobnie jak ty. Szukaliście prawdy, ale nie wiedzieliście, że ona nie istnieje. Umarła dawno temu. Wszyscy razem ją zamordowaliśmy. Zostały tylko kłamstwa. Życie stało się wielkim supermarketem, w którym możesz wybrać taki fałsz, jaki ci się żywnie podoba. A jeśli będę musiał się pozbyć takiej gnidy jak ty, żeby zachować swoje, zrobię to.

Kopnęła go w krocze. Zgiął się wpół i puścił jej ramię. Natychmiast rzuciła się do ucieczki. Zbiegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie, ale śmiech i krzyk Sancheza-Bravo dopadły ją jeszcze na ulicy.

– Nie ukryjesz się! Cały czas mamy cię na oku! – wołał za nią.

W wagonie metra wszyscy wpatrywali się w ekrany telefonów. Wszyscy oprócz Julii. „Tak właśnie wygląda teraz życie – pomyślała – sprowadza się do tego, że w poszukiwaniu rozrywki jeździsz to tu, to tam i nigdy donikąd nie dojeżdżasz. Jak na karuzeli, zapominając, że niosący cię koń jest drewniany”. Postanowiła przeczekać na stacji do spotkania z Maxem, ale rana po stracie Varony wciąż krwawiła. Najpierw matka, potem ojciec,

a teraz przyjaciel. Strach na myśl o tym wywoływał w niej takie same mdłości jak te, które się czuje, gdy spogląda się w dół z dużej wysokości i widzi w dole śmierć zachęcającą do skoku. Musiała ruszyć przed siebie, by lęk nie sparaliżował jej na zawsze.

Do spotkania wciąż miała sporo czasu. Postanowiła wziąć się w garść i zajrzeć do domu, żeby spakować trochę rzeczy. Musiała gdzieś się ukryć przed ludźmi z ministerstwa, choć nie miała pojęcia gdzie. Możliwe, że obserwowali jej dom. Może nie wiedzieli, że ma klucze do mieszkania Varony. Może powinna przystać na propozycję Maxa. Zbyt wiele tych „może”, ale żadnej pewności, która by ją wzmocniła.

Ukryta pod kapturem i okularami przeciwsłonecznymi lustrowała wejście do budynku. Nie miała wątpliwości, że powrót do domu to skrajna głupota, ale właśnie z tego powodu tamci mogli sobie odpuścić obserwację. W każdym razie stała tu już dość długo i nie zauważyła nic podejrzanego. Musiała zaryzykować. Powoli przeszła przez ulicę uczulona na wszelkie podejrzanе ruchy w pobliżu. Żadnych jednak nie dostrzegła. Weszła do bramy z obawą, że zaraz pochwycą ją czyjeś ręce, ale wciąż nic się nie działo. Już miała postawić stopę na pierwszym schodku, ale na wszelki wypadek postanowiła zajrzeć do skrzynki. Złożyć codzienny drobny hołd pamięci ojca. Otworzyła drzwiczki i zobaczyła kartkę białą niczym perła w morzu smoły.

To od Maxa. Pisał, że udało mu się wyjść wcześniej z pracy i czeka na nią w ogródku barowym w dzielnicy La Latina. Podał adres. „Kocham Cię”, dodał na końcu. Nigdy dotąd jej tego nie powiedział. W jej wnętrzu wybuchło milion sztucznych ogni.

Stukot własnych butów o chodnik brzmiał w uszach Julii niczym uderzenia młotka przybijającego wieko trumny. Dwa kroki za nią szedł strach,

muskając opuszkami palców plecy, i choć wciąż nie udawało mu się jej schwytać, nie potrafiła go zgubić. W nieodłącznych okularach i kapturze zmierzała na spotkanie z Maxem, zmieszana z tłumem, by nie rzucać się w oczy. Jak kameleon wtopiona w ludzki pejzaż. W pewnej chwili dostrzegła siedzącego na ziemi żebraka z książką, pozornie niezainteresowanego tym, co się wokół niego działo. Przyjrzała się okładce i zastygła w bezruchu niczym gazela, która wywęszyła stado lwów. To 1984 Orwella! Nie było mowy o przypadku – to musiało być ostrzeżenie od Virgilia! Ukradkiem zbliżyła się do grupy hałaśliwej, podchmielonej młodzieży i udając, że jest z nimi, rozejrzała się w poszukiwaniu kogoś podejrzanego. Wszystko wydawało się jednak w porządku. Co miała robić? Iść na spotkanie z Maxem? A może i jemu coś groziło?

Ostrożnie, przesuwając się między gromadkami przechodniów, zdążyła w kierunku miejsca spotkania. Odwagi dodawał jej ukryty w kieszeni liścik. Bar mieścił się na placu Paja.

Max siedział w ogródku i popijał piwo w promieniach słońca. Ich spojrzenia się spotkały, ale zaraz potem on odwrócił wzrok. Może jej nie rozpoznał w tych okularach i kapturze? Już zamierzała je zdjąć, lecz zauważyła, że ręka Maxa wykonuje jakiś dziwny ruch. Przesuwała się po poręczy krzesła to w przód, to w tył. Musiał być zdenerwowany. Szła jednak dalej w jego stronę, bo co miała robić? Wtedy ich oczy spotkały się ponownie i chłopak wskazał wzrokiem swoją rękę, nadal poruszającą się w przód i w tył. Wtedy zrozumiała. Najpierw książka, a teraz to. Musiała jak najszybciej stąd uciekać.

Poprawiła okulary i dla niepoznaki zapytała o ulicę pierwszego napotkanego człowieka. Potem się obróciła, by po raz ostatni spojrzeć na Maxa, a oddalając się, zacisnęła palce na ukrytej w kieszeni kartce. Już rozumiała, że nigdy nie usłyszy z jego ust owego „kocham cię”, które tam

widniało, i po jej policzkach, niczym odłamki szkła zadające rany, które nigdy się nie zabliznią, popłynęły łzy.

Jakieś pół godziny później ktoś przysiadł się do Maxa. Był to Poeta. Na jego twarzy widniał niezmienny półuśmiech, jak gdyby nic w świecie nie mogło go w pełni rozbawić... ani zasmucić.

– Nie przyjdzie – stwierdził, gdy tylko usiadł.

– Jest sprytniejsza, niż wam się wydaje – odrzekł Max.

– Albo nie jesteś dla niej wystarczającą przynętą. Może zobaczyła błysk splotawika i doszła do wniosku, że nie warto się dla ciebie poświęcać.

– Zabije mnie pan? – zapytał chłopak z dziwnym spokojem.

– A co się robi z robakiem, który nie potrafi zwabić ryby? Zadeptuje się go. Nigdy nie myślałeś, że nic tak nie upodabnia człowieka do bogów jak możliwość zabijania? Wyprzedzić czas, zdecydować o losie, nagiąć prawa natury. Nie każdy to potrafi. Tylko nieliczni wybrańcy ośmielają się przekroczyć czerwoną linię. Kiedy celuję do kogoś z broni, czuję, że dotykam niebios.

Max poczuł ukłucie w udo. Wiedział, co to znaczy. Zamiast spojrzeć w dół, wolał w tych ostatnich chwilach, które mu pozostały, patrzeć w górę. I w tym króciutkim wycinku czasu wszystko wydało mu się cudowne. Rozciągał się przed nim wszechświat w całej swojej krasie. Niebo zmieniło się w wieczność. Czas przestał istnieć. Przeszłość i przyszłość zostały zdemaskowane jako uzurpatorki. A na jego ustach na zawsze pozostały ostatnie wypowiedziane słowa:

– Julia, moja narzeczona.

– Tacy słabeusze jak ty nigdy tego nie rozumieją.

Zamykając mu oczy, Poeta wyrecytował *Kołysankę dla więźnia José Hierro*:

*Nieprawda, że mężczyzną jesteś;
ty jesteś dzieckiem, które nie śpi.
Nieprawda, że cierpiełeś w życiu:
to tylko smutne opowieści.
Zaśnij. Czeka na ciebie mrok.
Hej, przyjacielu...
Jesteś dzieckiem bez uśmiechu⁸.*

⁸ J. Hierro, *Canción de cuna para dormir a un preso*.

38

Dzwonek dzwonił jak szalony, a do tego ktoś maniakalnie walił w drzwi.

Wyrwany ze snu Javier Cano zszedł po schodach swojej willi, zawiązując po drodze pasek szlafroka. Dzwonienie i walenie nie ustawały; co więcej, ktoś prawdopodobnie kopał w drzwi.

– Kto tam? – zapytał głośno Javier.

– Otwórz te cholerne drzwi, bo je wyważę!

Nie poznał głosu Julii.

– Wynocha stąd, bo wezwę policję.

– Proszę bardzo. Dowiedzą się, że jest pan kochankiem poszukiwanego od lat eksministra Consalvo. Wtedy zapuka do pana Ministerstwo Prawdy, a nie ja.

„Czy to nie ta dziennikarka, która do mnie podeszła na ulicy?“, zaświtało mu w głowie. Nie pamiętał imienia, lecz jedynie to, że dziewczyna jest znajomą tego pomyleńca Virgilia. Jedno pozostawało pewne: sprawiała wrażenie bardzo wzburzonej, a osoby wzburzone często robią głupstwa. Chyba jednak powinien jej otworzyć.

Wpadła do domu niczym wypuszczona z klatki bestia.

– Nie wiem, czemu ma służyć to skandaliczne zachowanie! – ofuknęła ją. – Co pani robi w moim domu o tej porze?

– Straciłam wszystko, rozumie pan? Odebrali mi wszystko, co kochałam. Zniszczyli mi życie. Ale nie mam zamiaru siedzieć z założonymi rękami. Chcę się zemścić. Chcę ich uderzyć w najczulszy punkt. A w tym celu muszę wiedzieć, gdzie się ukrywa pański kochanek. Gdzie jest Daniel Consalvo?

– Powtarzam, że nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

Chwyliła stojący na komodzie ciężki metalowy posążek i groźnym gestem uniosła go nad głowę.

– Dość już mam tych kłamstw. Wszędzie ich pełno, przyklejają się do mnie jak wyplute gumy do podeszwy buta. Nie mogę się od nich uwolnić. Za chwilę będą wszędzie. Kłamał pan wtedy i kłamię teraz. Nie odejdę, póki nie powie mi pan prawdy. Gdzie jest Daniel Consalvo?

Cano nie spuszczał wzroku z jej ręki trzymającej figurkę. Jedno uderzenie nią mogło być śmiertelne.

– Spokojnie. Po co te nerwy? Przysięgam, że nie wiem, gdzie przebywa...

– Łże pan! Gdzie jest Daniel Consalvo?

– Tu.

Obróciła się. Przed nią stał mężczyzna około sześćdziesiątki ubrany w dres groteskowo przywodzący na myśl utraconą godność. Musiał wyjść z tych ukrytych w ścianie drzwi, które teraz były otwarte i odsłaniały niewielkie pomieszczenie, a w nim – łóżko i stolik z resztkami jedzenia.

– Co ty wyprawiasz?! Natychmiast się schowaj!!! Telefon, telewizor! Zaraz cię usłyszą i zobaczą!!! – wykrzyknął Javier Cano, rzucając się w ramiona tamtego.

– Zmęczyła mnie już ta wegetacja. Nie, najdroższy, nie nazywajmy tego życiem. Zbyt długo się ukrywam. Jak cień obejmuję w ciemnościach ukochaną osobę, nie mogąc zobaczyć jej twarzy, ucałować jej w świetle

dnia. Jeśli wrócę do tego pokoju, oni wygrają. Nie rozumiesz? To tak, jakby mnie uwięzili, tyle że więzieniem jestem ja sam. Dość. Nie zamknę się w celi. Jeśli chcą, niech po mnie przyjdą.

Pocałowali się pośrodku salonu.

– Ta sytuacja nie będzie trwała wiecznie – przekonywał Javier ze łzami w oczach. – Zobaczysz, wszystko się zmieni.

– Nic nie zmienia się samo. Trzeba mu w tym pomóc. I w tym miejscu do gry wkraczasz ty – zwrócił się do Julii. – Zdaje się, że mnie szukałaś. Jestem Daniel Consalvo. Żyję w tej klitce, odkąd odszedłem z ministerstwa. Wiem, że mnie szukają. Udawało mi się pozostawać nieuchwytnym, bo nikt albo prawie nikt nie podejrzewał, że mam coś wspólnego z Javierem. A także dlatego, że mojego małego azylu nie ma w oficjalnych planach domu. Rodzice Javiera dobudowali go bez pytania o pozwolenie. To uratowało mi życie. A przynajmniej tak myślałem, bo w rzeczywistości tego, co się działo przez ten czas, nie można nazwać życiem. Znałem twojego ojca. To był niezwykły człowiek. I widzę, że jego córka też taka jest. Nie mamy wiele czasu. Weź to.

Wszedł do pokoiku, przyniósł brązową teczkę z logo Ministerstwa Prawdy i podał ją Julii.

– Oto dokumenty, które wyniosłem. Jest tu wszystko. Wszystkie dowody na to, że demokrację już dawno sprzedano i że żyjemy w przypudrowanej dyktaturze. Najgroźniejszej ze wszystkich, bo ciemńcy sprawili, że niewolnicy sami nakładają sobie kajdany. Zmieniili społeczeństwo w kartonowy skansen, w którym nic nie jest tym, czym się wydaje, a jego mieszkańcy trwają w stanie radosnej głupoty, oddając się nieprzerwanym rozrywkom. Zero analizy, krytycznego myślenia, inteligencji. Tylko konsumpcja i zabawa. Musisz to ujawnić. Niech ludzie

poznają prawdę. Dziś jest to ważniejsze niż kiedykolwiek. A teraz znikaj. Oni zaraz tu będą.

W tym momencie czerwone światełko wyłączzonego telewizora się zazieleniło. Znaleźli ich. W oddali rozbrzmiały syreny. Julia ruszyła tyłem w stronę drzwi. Mężczyźni wciąż stali objęci, a samochody były coraz bliżej. Consalvo podniósł wzrok.

– Uciekaj, Julio. Uciekaj!

Biegła. Za plecami słyszała pisk hamulców policyjnych radiowozów. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, jak uzbrojeni funkcjonariusze bez namysłu wpadają do domu agenta reklamowego. Ktoś zawołał, żeby się zatrzymała, i ciężkie buciory ruszyły w pościg za nią. Przyspieszyła. Na ulicy panował mrok. Tylko światła radiowozów tańczyły na budynkach. Krzyki i wyzwiska były coraz bliżej. Czyjaś ręka dotykała jej kaptura. Już ją mieli. Wtedy usłyszała huk i głuchy odgłos dwóch upadających ciał. Przerazona raz jeszcze spojrzała przez ramię. Jeden z policjantów podnosił się z ziemi i przeklinał bezdomnego, który się z nim zderzył. Towarzysze pomagali mundurowemu wstać. Julia się uśmiechnęła. Nie była sama. Nagle czyjaś ręka pochwyciła ją i wciągnęła do ciemnej bramy. Drugi bezdomny! Pchając ją przed sobą i poganiając, zmusił do zbiegnięcia po schodach i otworzył drzwi na patio. Przedostali się przez dziurę w płocie i wpadli do innego budynku. Wyglądał na opuszczony.

– Zdejmuj kurtkę. Mamy mało czasu – polecił dziewczynie obdartus, ściągając własny płaszcz i podając jej. Potem nałożył jej na głowę grubą, wyświechtaną wełnianą czapkę, która niemal zasłaniała oczy. – Załóż plecak z przodu i zwiąż płaszcz paskiem. Będziesz się wydawała grubsza. Jak wyjdiesz na ulicę, nie patrz na nich. Spuść wzrok i kieruj się do stacji metra naprzeciwko. W ogóle nie zwracaj na nich uwagi. Szukają młodej

dziewczyny, więc jeśli będziesz szła wolno i się garbiła, wezmą cię za kogoś starszego. Ale musisz już ruszać. Przy okazji: pozdrowienia od Virgilia.

W bramie westchnęła, nabrała powietrza i wyszła na ulicę. Cała okolica była obstawiona przez policję. Ludzie wyglądali przez okna i patrzyli, jak uzbrojeni funkcjonariusze przemierzają chodniki i każą wszystkim zejść z drogi.

Julia dołączyła do grupki czekającej na przejściu dla pieszych. Stała ze spuszczoną głową i zdrętwiałymi ze strachu nogami.

– Szukajcie jej! – wołali policjanci. – Nie mogła odejść daleko!

Ulicą przejechało kilka radiowozów, po czym jeden z mundurowych dał znać pieszym, że mogą przejść na drugą stronę. Julia powolutku zeszła po schodach na stację, by metro mogło ją wywieźć jak najdalej od tego miejsca.

Właściciel kafejki internetowej nie chciał jej wpuścić, póki mu nie pokazała, że ma czym zapłacić. Płaszcz i czapka od bezdomnego działały odpychająco, ale dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Upewniła się, że w lokalu jest skaner, bo po przeczytaniu otrzymanych od eksministra dokumentów oczywiście musiała je umieścić w sieci, żeby wszyscy mogli się z nimi zapoznać. Zrozumieć, jak posępną przyszłość szykuje im rząd. Poznać prawdę. Zeskanowała wszystko, a potem usiadła przy komputerze i wrzuciła to do jednego foldera. Miała niepodważalny dowód szwindlu.

Przed 2023 rokiem międzynarodowe korporacje technologiczne odkryły, że mogą wpływać na przebieg wyborów, i zaczęły zbierać wszystkie możliwe dane klientów, by następnie bombardować ich fałszywymi informacjami na temat kandydatów i w ten sposób skłonić do głosowania na wybrane osoby. Szefowie korporacji zrozumieli, że ludzki

umysł jest znacznie mniej krytyczny wobec przekazu, który potwierdza nasze przekonania. Lubimy wierzyć w to, co pasuje do naszej ideologii. Tworzono więc skrojone na miarę wiadomości, których nikomu nie chciało się podważać. Na podstawie tych założeń Virgilio stworzył algorytm, od którego potem się odżegnał. Na tym jednak korporacje nie poprzestały. Zrozumiały, że mają niemal nieograniczoną władzę. Dlaczego powinny się zadowalać świadczeniem usług, skoro trzymały w ręku czarodziejską różdżkę? Postanowiły działać – dogadały się z kandydatem mającym najmniejsze szanse na zwycięstwo i zaproponowały mu układ: one w ciągu najbliższych ośmiu lat zrobią z niego prezydenta, a on da im posady Doradców Generalnych w każdym z czterech ministerstw. Julia trzymała podpisany przez niego dokument, w myśl którego nominacje leżały wyłącznie w gestii korporacji, co de facto oznaczało oddanie w ich ręce całej władzy. Obywatele nie mieli już wpływu na to, kto rządzi w ministerstwach, a zatem nie mogli decydować o tym, kto rządzi krajem. Ot, potajemny zamach stanu, którym nikt się nie przejął, ponieważ dzięki technologii korporacje już wcześniej zawładnęły umysłami.

Wtedy do gry wkroczył pokój sto jeden, którego celem było przeobrażanie społeczeństwa w posłuszne owieczki. Odciągał uwagę od spraw ważnych, tworząc pozorne polemiki polaryzujące debatę i pozwalając politykom rozwodzić się nad wymyślonymi problemami, wydumanymi informacjami i nieistniejącymi zagrożeniami, by nikomu nie przyszło do głowy zajmować się tym, co naprawdę ważne. A jeśli ktoś ośmielił się zasugerować korporacyjno-rządowy spisek, przypinano mu łątkę pomyleńca i zwolennika teorii spiskowych, rujnowano mu reputację, niszczone go w mediach społecznościowych za pomocą nieprawdziwych oskarżeń, plotek i sfabrykowanych filmików, zmieniając ostatecznie w pariasa, o którym ludzie szybko zapominali.

Prawda przestała istnieć. Zabił ją pokój sto jeden. To w nim rodziła się nowa rzeczywistość, to tam rozbrzmiewał dzwon, na którego dźwięk społeczeństwo śliniło się niczym psy Pawłowa. Demokracja i wybory stały się fikcją, groteskowym teatrykiem, którego jedyny cel stanowiło zapewnienie ludziom spokojnego snu. Czymś na kształt zdjęcia morskich głębin na ścianie akwarium, by ryby myślały, że pływają w oceanie, podczas gdy w rzeczywistości ich świat ogranicza się do kilkudziesięciocentymetrowego szklanego zbiornika. W pokoju sto jeden decydowano o wszystkim: co należy myśleć, w co wierzyć, co jeść, co nosić, co kochać, a czego nienawidzić... Hodowano posłusznych konsumentów w kajdanach obszytych aksamitem rozrywki. Zinfantylizowane społeczeństwo odbierające polecenia z ekranów, nieświadome niczego, pragnące jedynie rozrywki i tego, by ich problemy rozwiązywał ktoś inny.

Julia co rusz zerkała na drzwi kafejki trawiona lękiem, że lada chwila staną w nich agenci Ministerstwa Prawdy. Musiała się spieszyć. Potwór okazał się znacznie potężniejszy, niż sobie wyobrażała. Należało opublikować te dokumenty, gdzie tylko się dało. Na konwencjonalne media nie mogła liczyć. Wszystkie były w rękach ministerstwa. Weszła do Deep Webu, wyszukiwała najbardziej radykalne antysystemowe strony, wysyłała im nagranie, w którym opisywała całą sytuację, i dołączała każdą stronę, każdy dowód, każdy dokument. Wiedziała, że to pozwoli na rozprzestrzenienie materiału w sieci, choć jedynie wśród wąskiego grona. Musiała dotrzeć także do mainstreamu. Postanowiła nagrać filmik podsumowujący zawartość teczki. Wiedziała, od czego zacząć. Włączyła kamerę komputera, przed którym siedziała.

– Jeśli oglądasz ten film, bardzo prawdopodobne, że już nie żyję...

Dzięki temu nagranie prędej zyska popularność. Sensacja zawsze się sprzedaje – nawet jeśli, jak w tym przypadku, jest to sensacja prawdziwa.

Julia zamieściła film na YouTube i innych platformach z materiałami wizualnymi. Potem znalazła program pozwalający wysyłać przez WhatsAppa setki tysięcy wiadomości jednocześnie. Film szybko stał się wiralem: liczba odwiedzin na liczniku cały czas rosła. Dziewczyna rozparła się wygodnie w fotelu, radując się swoim dziełem i patrząc, jak prawda toruje sobie drogę pomiędzy tonami kłamstw.

Poranek rozwiązał wszystkie tajemnice nocy, zastępując występki i pożądanie obowiązkami oraz pracą. Ludzie jak zawsze pędzili przed siebie. Wpadali na Julię i nawet nie przepaszali. Ona sama powoli przemieszczała się w przeciwną stronę. W odróżnieniu od pozostałych nie miała dokąd iść. Nie wiedziała, do kogo dotrze filmik, na którym obnażała praktyki ministerstwa, ale zrobiła tyle, ile mogła. Rzuciła kamyczek na zbocze góry i liczyła na to, że wywoła lawinę. I mimo wypełniającej ją pustki czuła, że się udało. Gdy wychodziła z kafejki, film miał już siedem milionów wyświetleń i figurował wśród hitów dnia.

Nogi zaniósł ją do domu niczym zabłąkanego psa, który zawsze znajdzie drogę. Myślała o rodzicach, Varonie, Maxie. O cenie, którą musieli zapłacić, by ujawnić prawdę. I poczuła osobliwe pragnienie, by z tym wszystkim skończyć. Co innego jej pozostało? Zajrzała do skrzynki na listy i znalazła w niej książkę: *1984. Ostrzeżenie*. Niemy krzyk, który już nie miał znaczenia. Ani on, ani nic innego.

Otworzyła drzwi mieszkania i zdrygnęła się na dźwięk aplauzu. Na sofie siedziała jakaś kobieta i się uśmiechała. Za nią stał mężczyzna, w którym dziewczyna rozpoznała Poetę. Nagle olśniło ją, kim jest ta druga. Przypomniała sobie swój pierwszy dzień w redakcji. Dzień, w którym

dowiedziała się o Wielkim Bracie. Nie widziała go wtedy dokładnie, a usłyszawszy z ust Varony przydomek, była pewna, że chodzi o mężczyznę.

– Wejdź, wejdź. Czekaliśmy na ciebie. Chyba nie myślałaś, że nie będziemy chcieli ci podziękować za wszystko, co dla nas zrobiłaś – powitała ją kobieta ciepłym, niemal matczynym głosem.

Zdezorientowana i oniemiała Julia usiadła w fotelu naprzeciwko tamtych dwojga.

– A cóż to za mina? Niech zgadnę: nie przypuszczałaś, że twój największy koszmar okaże się kobietą? No jasne, twoja mama była taaaka dobra – ciągnęła protekcjonalnym tonem Wielka Siostra. – Wracając do sedna sprawy: powinnaś była się domyślić, że śledziliśmy twoje kroki od samego początku. Nie mogliśmy spuścić z oka córki Gabriela Romero. Podejrzewaliśmy, że po śmierci twojego oj...

– Po zabójstwie – poprawiła Julia.

– Ta biedna sierotka jeszcze nic nie rozumie. Wymiar sprawiedliwości ustalił, że było to samobójstwo. Nie pamiętasz? Tak czy owak, przypuszczaliśmy, że zaczniesz coś kombinować. Ale to coś mogło się okazać dla nas korzystne, jeśli tylko popchniemy cię w odpowiednim kierunku. I tak się stało. W tej kwestii całą zasługę muszę przyznać swojemu kompanowi. On zawsze w ciebie wierzył, podczas gdy ja nie byłam cię pewna.

Poeta pochylił lekko głowę w wyrazie wdzięczności dla przełożonej.

– Co to wszystko ma znaczyć? – zdziwiła się Julia.

– Jeszcze nie rozumiesz, dziecińco? To proste. Można to podsumować jednym zdaniem, czytaj mi z ust: pra-cu-jesz dla-nas. A konkretnie dla Ministerstwa Prawdy. Wiedzieliśmy, że nie mamy do czynienia z naiwniaczką, więc nie mogliśmy podtykać ci rozwiązań pod nos, bo

stałabyś się podejrzliwa. Dlatego początkowo ukryliśmy przed tobą artykuły ojca, a potem za pomocą twojego kolegi Collado podsunęliśmy pomysł skorzystania z biblioteki trybu A i... co za niespodzianka, tam je znalazłaś!

– Nie. To nieprawda. To nie może być prawda.

– Tylko kilka razy udało ci się zniknąć z naszego radaru. Wiedzieliśmy, że jesteś uparta, więc postanowiliśmy trochę poluzować ci smycz. Zastanawiasz się, po co to wszystko? Jezu, dosłownie widzę te słowa, jak wibrują w twoim ptasim mózdzku. To proste. Od początku chcieliśmy, żebyś nas zaprowadziła do tego obmierzłego typu Virgilia. Prawda, że jest obmierzły, Poeto?

– Niemożliwie.

– Prędzej czy później go dorwiemy. Statystyki są po naszej stronie. My możemy popełniać wiele błędów, ale jeśli on popełni choćby jeden, będzie nasz. Po tym, jak nam się wymknął, znów w ciebie zwątpiłam i już miałam skasować całą operację, ale wpadliśmy na lepszy pomysł: dlaczego by nie wykorzystać twojej znajomości z Maxem? Między nami mówiąc, ułatwiłaś nam zadanie, zakochując się w takim imbecylnym. Nie dorastał ci do pięt. Nie dostrzegał pułapki, póki w nią nie wpadł. Przypadkowe spotkanie przy automacie do kawy, zdesperowana kobieta w średnim wieku zauroczona obiecującym młodym urzędnikiem... Muszę przyznać, że świetnie się spisałam. Fałszywa skromność jest dla miernot. Tak czy owak, skarbie, twój narzeczony był kretynem. Chcesz więcej przykładów? Gdy nie przyszedł na spotkanie w ogródku, myśleliśmy, że cię zgubiliśmy, ale nie. Byłaś na tyle miła, że weszłaś dalej.

Julia przeniosła skonsternowane spojrzenie na Poetę.

– Jeszcze nie rozumiesz? Sprzedałaś nam Daniela Consalvo. Nasze największe zagrożenie. Jedną z niewielu osób znających Ministerstwo

Prawdy od środka. Złodzieja, który wykradł nasze tajne dokumenty. Odkąd odszedł, bezskutecznie próbowaliśmy go namierzyć. A ty doprowadziłaś nas pod jego drzwi w ciągu paru dni. Brawo, Julio, brawo.

– Co mu zrobiliście?

– Obawiam się, że zapadł się pod ziemię. W sensie dosłownym – odparła lekceważąco kobieta.

– Jak to zwykle bywa w przypadku zmarłych – dodał Poeta.

– Przekłęci mordercy! Ja nikogo wam nie sprzedałam. Pan Consalvo sam się poświęcił, żeby ludzie mogli poznać prawdę. Chciał przywrócenia demokracji, którą ukradliście narodowi. Cała dokumentacja, którą wyniósł z ministerstwa, już krąży w sieci. Wszyscy się dowiedzą, kto naprawdę nimi rządzi. I nie sądzę, żeby im się to spodobało. Wasz czas się kończy. Ostatecznie prawda zawsze zwycięża.

– Demokracja? Chcesz rozmawiać o demokracji? Znasz słowa Churchilla o tym, że demokracja to zły ustrój, tyle że wszystkie pozostałe okazały się gorsze? Nie wydaje ci się, że pobrzmiwa w nich rezygnacja? Naprawdę uważasz, że nie możemy próbować niczego lepszego?

– I tym lepszym ustrojem ma być dyktatura? Oszukiwanie społeczeństwa, okradanie go z możliwości decydowania?

– Zaraz tam dyktatura. Dlaczego wy, dziennikarze, uwielbiacie wszystko tak upraszczać? Uważasz, że hierarchiczny system korporacji to dyktatura? Bo my właśnie na nim się wzorujemy. Najwyżej wykwalifikowani podejmują decyzje, a pozostali się im podporządkowują. Tak funkcjonują międzynarodowe korporacje, które mają większy zysk netto, niż wynosi produkt krajowy brutto wielu krajów. I do tego większą władzę. Bo działają, i to skutecznie. A co do okradania ludzi z możliwości decyzji: naprawdę uważasz za sprawiedliwy system, w którym głos kogoś,

kto jest wykształcony i analizuje program każdej partii, by ocenić, która najlepiej nadaje się do rządzenia krajem, wart jest tyle samo co głos jakiegoś półgłówka, który głosuje na najprzystojniejszego w swoim mniemaniu kandydata? Głosowanie to po prostu zwyczaj, rytuał, równie bezsensowny jak wszystkie inne. Demokracja opierała się na kłamstwach. Czy wszyscy są równi wobec prawa? Nie. Czy mają te same prawa i szanse? Nie. My jedynie poszliśmy o krok dalej. Ludzie nie chcą demokracji. Chcą mieć najnowszy model telefonu i subskrypcję platform streamingowych.

– To wy utrzymujecie społeczeństwo w apatii, zaniedbując edukację, krytyczne myślenie, konfrontację idei. Zamiast wolnych i wykształconych obywateli wolicie mieć szczęśliwych niewolników.

– Czy można powiedzieć, że ptak jest zamknięty w klatce, skoro drzwiczki stoją otworem, a on nie chce wylecieć? – zapytał Poeta, ostrożnie wyjmując coś z kieszeni marynarki i głaszcząc. – Nie przyszło ci do głowy, że ludzie w takim położeniu czują się szczęśliwsi?

Przerażona dziewczyna odkryła, że mężczyzna trzyma w dłoniach szczura. Szarego, pulchnego, bez przerwy poruszającego pyszczkiem. Wypuścił go, by mógł chodzić mu po rękach i wspinać się na ramiona niczym zwierzątko domowe.

– Słuchając was, można dojść do wniosku, że życie w dyktaturze jest cudem, o którym marzy każdy obywatel. Dlaczego więc nie zapytacie społeczeństwa? Zorganizujcie referendum. Po co ukrywać się za kłamstwami, przeprowadzając co cztery lata udawane wybory, skoro władza i tak należy do was? Powiem wam dlaczego: bo wykopaliby was z waszych wygodnych stołków. I mam nadzieję, że niedługo, bardzo niedługo, tak właśnie się stanie.

– Masz na myśli film, który rozpowszechniłaś w internecie? To drobiazg. – Poeta podał swojej szefowej tablet. – Julio, powinnaś częściej zaglądać do mediów społecznościowych. Tam wszystko zmienia się w mgnieniu oka. Ministerstwo Prawdy już wydało oświadczenie, w którym stwierdza, że opublikowane przez ciebie dokumenty są fałszywe. I pokazało dowody.

Gdy Poeta mówił, Brianda przesuwiała palcem widniejące na ekranie zdjęcia.

– Widzisz? To nie jest oficjalny papier firmowy ministerstwa. Nie zgadzają się ani logo, ani typografia. Twoje dokumenty są fałszywe! Prawda, że pokój sto jeden świetnie sobie radzi? Ale to nie wszystko. Zobacz! Dotarli do starych wiadomości, które pisałaś na Twitterze i Facebooku. Niektóre są ewidentnie rasistowskie, a nawet faszystowskie. Posunęłaś się wręcz do negowania Holocaustu! Wstyd, Julio, wstyd.

– Nigdy nic takiego nie napisałam!

– A jednak to tu jest. A nawet więcej: na tych zdjęciach widać cię uczestniczącą w manifestacji przekonującej, że Ziemia jest płaska. Odbiorą ci sporo wiarygodności. Teorie spiskowe, płaskoziemcy, faszyzm, rasizm...

– Co za bzdury! To nie ja! To wszystko kłamstwa!

– ...szkalowanie ruchów feministycznych... A przecież my, kobiety, powinnyśmy się wspierać. Co jeszcze tu mamy? No proszę, antyimigranckie posty, nawoływanie do przywrócenia kary śmierci... Nikt nie uwierzy komuś, kto naruszył tyle tabu. O, a to jest najlepsze. – Obróciła tablet w stronę Julii. – Mimo pozorów nasze społeczeństwo jest bardzo purytańskie.

Na ekranie zaczął się wyświetlać film porno z Julią w roli głównej.

– To nie ja... – wykrztusiła dziewczyna przez ściśnięte gardło. Do oczu napłynęły jej łzy bezradności.

Przechadzający się po ramieniu Poety szczur zatrzymał się na chwilę i poruszył pyszczkiem, jakby się z niej śmiał.

– Niewiarygodne, ile można osiągnąć dzięki programowi do obróbki obrazu. Przypomina czary, co? Ale dzięki pokojowi sto jeden rzeczywistość zawsze jest po naszej stronie.

– Przecież ludzie wcześniej czy później się zorientują, że to wszystko kłamstwa.

– Na razie internet widzi w tobie jedynie kolejną wariatkę. Pomyłoną neonazistkę, która uważa, że Ziemia jest płaska, i gra w filmach pornograficznych. Nie sprawiasz wrażenia wiarygodnej. Nikt nie uwierzy w ani jedno twoje słowo. A jutro ludzie nawet nie będą o tobie pamiętać. Prawda nie istnieje, Julio. Prawdą jest to, co fabrykujemy w pokoju sto jeden.

Po tych słowach Brianda wstała i ruszyła do drzwi. Najpierw jednak położyła dłoń na ramieniu dziewczyny.

– Chciałaś być bohaterką, co? Ale bohaterów już nie ma. Wyginęli dawno temu. Nie zapominaj o tym, skarbie.

Poeta podążył za swoją zwierchniczką. Przedtem jednak postawił na podłodze szczura.

– Zostawiam ci prezent, żebyś o nas nie zapomniała. Przyznaję, że sztuczka z: „Jeśli oglądasz ten film” była niezła. Początkowo chcieliśmy od razu cię wyeliminować, ale to mogłoby zostać odebrane jako potwierdzenie prawdziwości twojego przesłania. Nie spieszy nam się. Potrafimy być bardzo cierpliwi. Kiedy będziesz się tego najmniej spodziewać, stanę za tobą i wyrecytuję do ucha parę wersów.

Wyszli drzwiami niczym dwoje złodziei, którzy ukradli jej wszystko, nawet nadzieję.

EPILOG

Góry spowijała szara mgła, jak gdyby niebo zstąpiło na ziemię, by pogłaskać ich ogorzałe twarze. Był wczesny ranek. Julia wyprowadzała na spacer swoją suczkę Lunę. Lubiła zanurzać się w dywanie zieleni, chłonać czyste, rześkie powietrze. Włóczyć się bez celu i bez pośpiechu. Bawić się w przynoszenie patyka z Luną, adoptowanym ze schroniska czarnym mieszańcem, który podobnie jak jego pani wiele w życiu wycierpiał. Teraz mieszkali we dwie w opuszczonej wiosce Sancrudo w prowincji Lugo, z dala od wszystkiego i wszystkich, szczęśliwie w swojej samotności z wyboru. Promienie słońca niby wielkie palce zaczęły rozgarniać mgłę, otwierając drogę błękitowi nieba. Julia dostrzegła w oddali, ponad drzewami, metaliczny blask. Zaciekawiona ruszyła w tamtą stronę. Im bardziej się zbliżała, tym wyraźniej dobiegały jej uszu regularne uderzenia o metal, powtarzane z determinacją, do jakiej zdolne były jedynie maszyny.

Dotarła na polankę i wszystko stało się jasne. Grupa robotników stawiała wieżę telefonii komórkowej z talerzami przypominającymi ogromne uszy, które słyszą wszystko.

„Już tu są”, pomyślała.

– Dzień dobry. Mieszka pani w okolicy? – zapytał jeden z mężczyzn. – Ma pani szczęście. Ta wieża zapewni pani znacznie lepszy zasięg w telefonie, a niedługo także dostęp do internetu. Stawiamy ją w ramach planu modernizacji terytorialnej wdrażanego przez Ministerstwo Prawdy.

Zawołała psa i oddaliła się bez słowa.

Nocą wyszła z domu w towarzystwie wiernej suczki. Pod najeżonym gwiazdami niebem szły w stronę migoczących czerwonych świateł wieży komunikacyjnej, by zatrzymać się przed metalowym gigantem, imponującym i absurdalnym pośrodku lasu niczym ogromny wirus szykowany do tego, by zarazić całą okolicę. Podniosła z ziemi kamień i z całej siły cisnęła nim w okrągłą antenę. Potem podniosła kolejny. I jeszcze jeden. Rzucała tak długo, aż antena urwała się i spadła na ziemię. Dopiero wtedy Julia poczuła niepohamowaną furję, rodzącą się w trzewiach tych, którzy nigdy się nie poddają. I coś jeszcze – coś, czego dawno nie czuła. Coś podobnego do szczęścia.

Po powrocie rozpałała ogień w kominku. Dom wypełnił się zapachem płonącego drewna. Julia usiadła przy maszynie do pisania swego ojca, underwoodzie 5. Leżąc u jej stóp Luna wpatrywała się w swoją panią jak w obraz. Klawisze uderzały o papier, przeobrażając ulotne, nieuchwytnie idee w coś fizycznego, namacalnego i rzeczywistego. Tak jak zawsze mówił jej ojciec.

Na tych stronicach opowiadała całą prawdę o tym, co odkryła na temat ministerstwa. Była to winna tym, którzy stracili życie. Inaczej ich poświęcenie poszłoby na marne. Ale robiła to także dla siebie. Po to, by czuć, że się nie poddała. By pokazać, że jeszcze jej nie złamali. Że mimo wszystkich kalumnii, którymi ją obrzucono, wciąż zachowuje nieskazitelną uczciwość. Zawsze nosiła przy sobie dwa liściki. Ten od ojca i ten od Maxa. One też były namacalne i rzeczywiste. Pomyślała, że ilekroć ktoś coś pisze, ktoś inny prędzej czy później to przeczyta. Dzięki temu prawda w ten lub inny sposób zawsze przetrwa. Zamieszka w czytelniku tych stronic. A póki choć jedna osoba wie, co naprawdę się dzieje, nadzieja pozostaje żywa.

Klawisze stukały coraz głośniej. Litery przechodziły w słowa, a słowa – w zdania. I prawda została spisana.

PODZIĘKOWANIA

Niniejsza książka stanowi owoc poświęcenia, wiedzy i profesjonalizmu grupy osób, wobec których mam ogromny dług wdzięczności.

Przede wszystkim chcę podziękować swojej redaktorce Carmen Romero za to, że ślepo mi zaufała i od początku walczyła o tę książkę. Pablowi Alvarezowi, który jest już nie tylko moim agentem, ale i przyjacielem, za nieustanne wsparcie i niezachwianą wiarę w moją twórczość. Covadondze D'lom za bycie moim sprzymierzeńcem i siecią wsparcia. Całemu zespołowi Ediciones B i Penguin Random House za dobrą robotę. Bez nich nie byłoby *Ministerstwa Prawdy*.

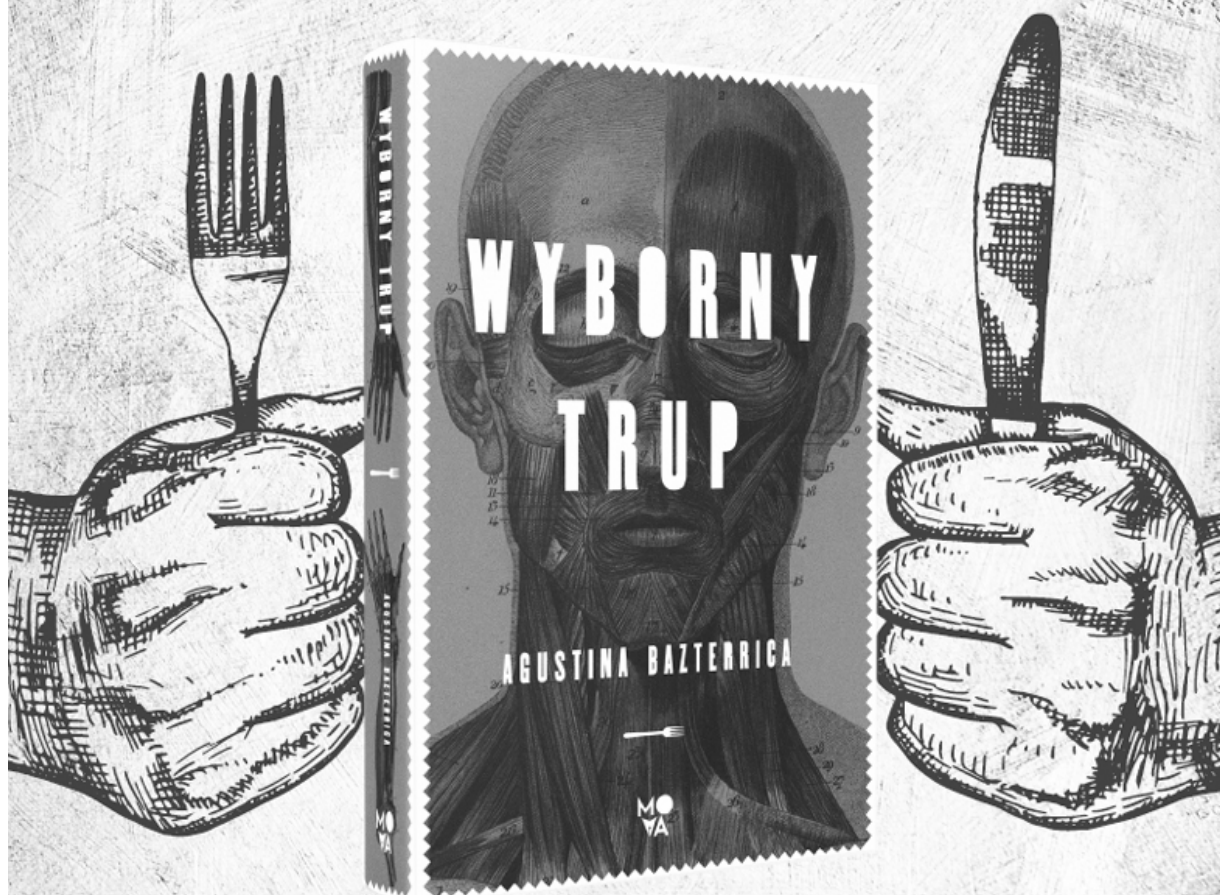
Pragnę również podziękować całej swojej rodzinie, tej biologicznej i tej, którą spotkałem na ulicach swojej dzielnicy. Wielką część tego, kim jestem, zawdzięczam właśnie wam. Dziękuję reżyserce Evie Cabrero i wszystkim moim towarzyszom z programu *La Sexta Noche* za nieustanne wsparcie i ogromną pomoc w pisaniu tej powieści.

Moim psom – Churripinowi, Tangowi i Ambrosiusowi – za to, że w sensie dosłownym trwały u mego boku przez cały czas pisania *Ministerstwa Prawdy*.

Przede wszystkim zaś pragnę podziękować mojej żonie Alicii i moim dwojgu dzieciom za wszystkie godziny, które z powodu tej książki spędziłem – ciałem lub duchem – z dala od nich. Chciałbym, aby po jej przeczytaniu uznali, że było warto.

WYDAWNICTWO MOVA POLECA:

**DYSTOPIJNA, PROWOKACYJNA,
NIEZWYKLE WAŻNA POWIEŚĆ
O MORALNOŚCI I LUDZKICH ŻĄDZACH**



www.mova.com.pl
facebook.com/wydawnictwo.mova
instagram.com/wydawnictwomova

MOVA





HISTORIE WARTE OPOWIEDZENIA



#MOVAODOBRYCHKSIĄŻKACH

TYTUŁ ORYGINAŁU:

El ministerio de la verdad

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Justyna Żebrowska

Redakcja: Zyszczyk.pl Paulina Zyszczyk

Korekta: Małgorzata Lach

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Zdjęcie na okładce: © OSPAN ALI / Unsplash.com

Copyright © 2021, Carlos Augusto Casas

Copyright © 2023 for the Polish edition by Mova an imprint of

Wydawnictwo KobiECE sp. z o.o.

Copyright © for the Polish translation by Iwona Michałowska-

Gabrych, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-256-2

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Angelika Kuler-Duchnik